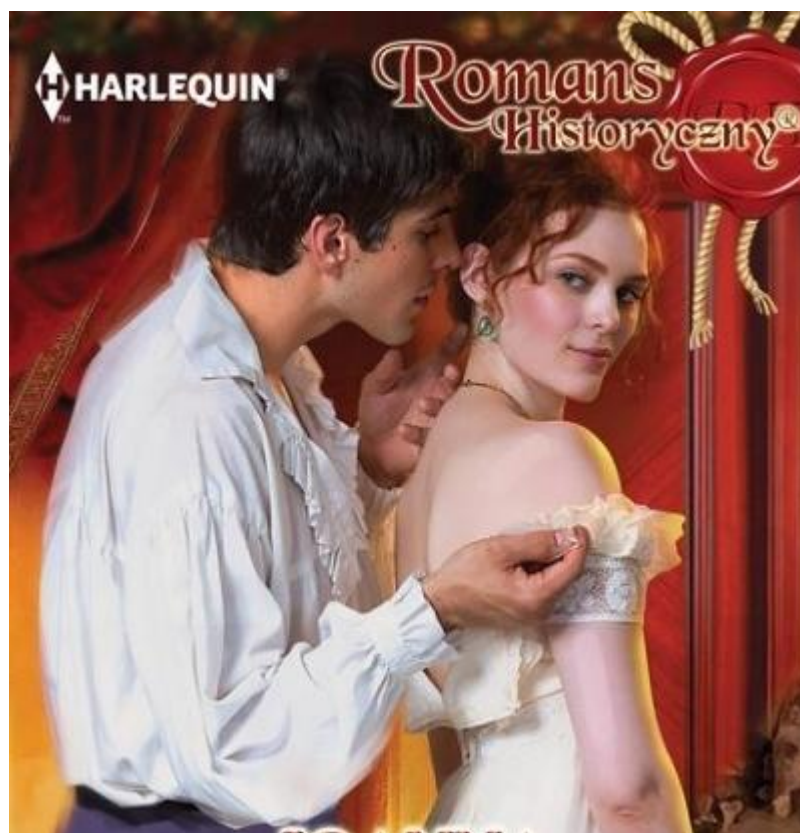




Joanna Maitland



Dama bez przeszłości

Prolog

Czuła silny, przenikliwy chłód. Wiatr przewiewał ją na wylot, lodowate podmuchy kąsały w każdy skrawek odsłoniętego ciała, a gęsty śnieg chłostał jej policzki. Obolałe płuca z trudem wciągały zimne powietrze. Nie miała wyboru: musiała brnąć przed siebie, aby znaleźć miejsce, w którym mogłaby się schronić.

Straciła orientację i z konieczności podążała pustą, zrytą głębokimi koleinami dróżką. Z wysiłkiem uniosła głowę, by spojrzeć przed siebie, i powoli odgarnęła mokre włosy, przylegające do twarzy. Wyteżyła wzrok, niewiele jednak widziała przez zwisające nisko gałęzie drzew i gęste zarośla, częściowo огоłocone z liści. Na grząskiej ścieżce zalegały zasy gnijącego listowia, które wkrótce pochłonie błoto. Ścieżka rozpływała się w zapadającym mroku.

Wzdrygnęła się i opatuliła ramiona cienką chustą. Wiatr przybrał na sile do tego stopnia, że ponownie pochyliła głowę, aby łatwiej było iść. Gdyby teraz przystanęła na tym odludziu, wkrótce zawierucha zwyciężyłaby z nią w nierównej potyczce, a ona przecież jeszcze nie była gotowa się poddać.

Szła, powłócząc ociężałymi z wycieńczenia nogami, krok po kroku, i usiłowała nie zwracać uwagi na marznącą wodę w butach i błoto, które za wszelką cenę pragnęło unieruchomić ją i wessać. Zmęczenie brało nad nią górę. Gdyby tylko...

Na jedną krótką chwilę wiatr zmienił kierunek i uderzył ją w plecy, a wtedy wydawało się jej, że widzi płot ze słupków i desek, taki, jaki mógłby stać przy wiejskiej drodze. Kiedy jednak zamrugała powiekami, płot znikł. Na próżno wyteżyła wzrok, nigdzie nie mogła go dostrzec. Uznała, że zapewne zobaczyła to, co pragnęła ujrzeć - ślad ludzkiej siedziby. Krótki grudniowy dzień miał się ku końcowi, co oznaczało, że lada chwila przyjdzie jej pozostać samej w ciemnościach, w nieznannej okolicy, na krętej ścieżce wiodącej donikąd. Dlaczego zatem ciągle podąża naprzód?

Gdy wyruszyła, wydawało się jej, że postępuje roztropnie. Cóż innego może uczynić kobieta porzucona na odludnych rozstajach przez woźnicę, który wcześniej zaproponował jej podwiezienie? Naiwnie założyła, że chciał jej pomóc z dobroci serca. Tymczasem tylko czekał, aż znajdą się na pustkowiu, gdzie postawił jej ultimatum: zapłata za

jazdę gotówką albo ciałem. Gdy się dowiedział, że jego pasażerka nie ma ani gotówki, ani ochoty na miłosne igraszki, udawana poczciwość ulotniła się bez śladu. Wywiózł ją jeszcze dalej, żeby na pewno nie znalazła pomocy, a potem wypchnął na gościniec. Na domiar złego ukradł jej torbę podróżną, twierdząc, że sprzeda jej zawartość, „co by wyrównać straty”. Strzelił z bata i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Postanowiła nie myśleć o tym niegodziwcu, aby nie tracić resztki siły woli, koniecznej na dalszą drogę. Nie wolno jej dać za wygraną, upomniała się w duchu, powinna za wszelką cenę zmierzać naprzód.

Za wielkim dębem zobaczyła niepokojąco mroczną, bagnistą polanę, otoczoną gęstwiną iglastych krzewów. Wiatr ucichł, a ona wykorzystwała chwilę spokoju na wepchnięcie przemoczonych włosów pod mokry czepek. Kiedy jednak wichura zerwała się ponownie, czepek odfrunął w ciemność. Targane podmuchami kosmyki zaczęły chłostać ją po twarzy i poczuła się tak, jakby ktoś ją spoliczkował. Nagle ujrzała ten sam płot, co wcześniej - tylko czy na pewno?

Zeszła ze ścieżki, żeby nie grzęznąć w biocie. Trawa pod jej stopami była niczym nasiąknięta wodą gąbka i ugiwała się niczym grzędawisko. Krzewy w oddali wydawały się jednak dostatecznie gęste, aby zapewnić jej tymczasową kryjówkę. Postanowiła dobrać do nich, zebrać opadłe, względnie suche liście na stertę i zagrzebać się w nich do końca ulewy. Tylko w taki sposób mogła odzyskać siły.

Przyśpieszyła kroku, aby jak najszybciej dotrzeć do prowizorycznego schronienia. W pośpiechu zapomniała o ostrożności, stanęła nierówno i noga niebezpiecznie przekrzywiła się w kostce. To wystarczyło, żeby sznurowadła trzewików pękły z głośnym trzaskiem. Nim dotarło do niej, co się święci, but przepadł. Bosą stopą wykonała następny krok i nagle poczuła, że grzęźnie w błocie.

Krzyknęła głośno ze strachu. Czowała się tak, jakby ktoś oślizgłymi rękami wciągał ją do bagna. Usiłowała wmawiać sobie, że to tylko wybryk wyobraźni, jednak wyostrzone zmysły podpowiadały co innego. Nie potrafiła nad nimi zapanować. Szarpnęła się mocno, żeby uwolnić stopę, lecz nadaremnie. Rozpaczliwie zamachała rękami i w pewnej chwili natrafiła na gałąź krzewu. Uczepiła się jej kurczowo i podciągnęła.

Nagle była wolna. Wygramoliła się z grzędawiska i głową naprzód runęła na stos liści pod sporej wielkości krzewem. Nos i usta miała w błocie, czuła na języku smak zgnilizny oraz pleśni. Nerwowo otarła twarz i odetchnęła głęboko. Dopiero po kilku minutach odzyskała panowanie nad sobą. Usiłowała usiąść, ale rękę przeszył dotkliwy ból. Czyżby była złamana?

Wiatr wył coraz głośniejsze, jednak szum liści podziałał na nią dziwnie kojąco. Odprężyła się i położyła głowę na zdrowej ręce, tuląc policzek do mokrej dłoni. Pomyślała, że przecież nie stanie się nic złego, jeśli na moment zamknie oczy i odpocznie, aby przeczekać burzę, i dopiero potem wyruszy w dalszą drogę.

Powieki same jej opadły i nagle wszystko uległo zmianie. Wystarczyło zaledwie parę minut, by przestała odczuwać ból i przenikające ją do szpiku kości zimno. Burza nie wydawała się już groźna, wiatr ucichł, a deszcz ledwie kroił. Odniosła wrażenie, że się unosi i powoli wznosi ku niebu, które przybrało jaskrawą, błękitną barwę.

Niespodziewanie ktoś dotknął ciepłymi palcami jej policzka i ściągnął ją z powrotem na ziemię, do surowej, nieznośnej rzeczywistości, chociaż ona nie chciała wracać. Palce wciskały się w jej skórę, natrętnie i natarczywie. Usiłowała otworzyć oczy, lecz ciężkie powieki ani drgnęły. Gdzie jestem? - próbowała spytać, jednak słowa uwięzły jej w gardle. Nigdy dotąd nie czuła się tak słaba i zmęczona. Chciała ponownie zasnąć, odpłynąć w niebyt.

- Proszę się zbudzić! Nie może pani tu zostać. Dalej, niech pani otworzy oczy! - zabrzmiał męski głos.

Poczuła gwałtowne szarpnięcie za ramię. Ból momentalnie powrócił. Jego fala przetoczyła się przez zranioną rękę i dotarła do głowy, niwecząc sen o fruwaniu. Wrzasnęła.

- Jest pani ranna! Chwileczkę, pomogę.

W końcu rozwarła powieki. Otaczał ją mrok rozjaśniony jedynie światłem lampy postawionej na ziemi. Jak poważna była rana? Co się działo? Jak to możliwe, że... Nieznajomy wsunął pod nią rękę, a ona z głośnym jękiem ponownie wzdrygnęła się z bólu. Wcale nie miała ochoty opuszczać podniebnej kryjówki. Zorientowała się jednak, że leży na ziemi, ale tym razem zalewał ją lodowaty deszcz. Chłód zaatakował, pogłębia-

jąc cierpienie. Mężczyzna przysunął lampę do jej twarzy. Leżała nieruchomo, zahipnotyzowana jego spojrzeniem.

Odsunął lampę.

- Proszę mi zaufać. Nic złego pani nie spotka - zapewnił i ściągnął ciężkie palto, aby okryć nim jej bezwładne ciało. Otoczył ją zapach ciepłej, wilgotnej wełny. - Proszę o wybaczenie - dodał. - Potrzebuję wolnej ręki, by nieść lampę.

W milczeniu przerzucił ją sobie przez ramię, a ona szarpnęła się pod wpływem rozdzierającego bólu. Sekundę potem powróciła błogosławiona ciemność.

Wydawało się jej, że słyszy we śnie jego głos, wypowiedane słowa i zdania. Czasami kojące, kiedy indziej ostre, lecz nigdy na tyle donośne, by wyrwać ją z kokonu ciepła, które ją otoczyło i zapewniło bezpieczeństwo. Poczula, że znowu odpływa, tym razem na zawsze.

W pewnej chwili kokon znikł i pozostała sama ze swoim cierpieniem. Z trudem uniosła powieki i uświadomiła sobie, że siedzi na kanapie w dwukółce. W świetle lamp powozu dostrzegła, że oba konie przywiązane są do ogrodzenia. Wydawało się jej, że w oddali zamajaczył dom.

- Wróciła pani do nas. - W ciemności zauważyła wysoką sylwetkę mężczyzny. A zatem jej nie opuścił. - Pozwoli pani, że wniosę ją do środka.

Tym razem bardziej się starał oszczędzić jej bólu. Wziął ją ostrożnie na ręce i przytulił, a ona odprężyła się w jego objęciach. Poczula zapach wyprawionej skóry. Przez moment stał nieruchomo, wpatrując się w nią z troską w ciemnych oczach, po czym ruszył do domu. Na końcu ścieżki zauważyła jasny ganek z otwartymi drzwiami. W progu stał niski, korpulentny jegomość w stroju pastora. Gdy zbliżyli się do budynku, z sieni wyłoniła się drobna starsza pani w koronkowym czepku, a za nią pokojówka.

- Jonathan! - zawołała dama. - Cóż za mile widziany gość. A kogóż to sprowadzasz w nasze skromne progi?

- Pani Aubrey! - Mężczyzna precyzyjnie się obok starszego pana i wszedł do sieni. - Nigdy dotąd jej nie widziałem, ale wygląda na damę. Nieszczęsna istota, znalazłem ją w lesie nieopodal starego dębu. Jest ranna i przemarznięta na kość.

- Dobry Boże - westchnął pastor. - Biedactwo.

- Jak się nazywasz, drogie dziecko? - zapytała pani Aubrey.
- Ja... ja nie wiem - wykrztusiła, uświadomiwszy sobie straszną prawdę.
Straciła pamięć.

Rozdział pierwszy

- Beth, kochanie?

Beth. Czasami zastanawiała się, czy to naprawdę jej imię. *Droga Beth* - tak brzmiały jedyne czytelne słowa na przemoczonym, wymiętym liście wyciągniętym z kieszeni obszarpanej sukni. Nie znaleźli żadnej innej informacji na temat jej tożsamości. Co prawda, próbowali dyskretnie o nią wypytywać, lecz ich wysiłki zdały się na nic. Minęło pół roku i Beth nadal mieszkała we Fratcombe ze swoimi dobroczyńcami.

W progu stanęła pani Aubrey.

- Tak, ciotuniu? - spytała Beth, która została upoważniona, aby tak zwracać się do pastorowej.

- Czy mogłabyś przynieść mi trochę wstążki od pana Greena, kiedy dziś skończysz zajęcia w szkole?

- Oczywiście, ciotuniu - odparła bez wahania Beth. - Jakiej ciotunia potrzebuje?

Pani Aubrey pokazała jej materiał i przez kilka minut gawędziły o stylu sukni, którą pastorowa postanowiła uszyć.

- Wybrała ciotunia przeuroczy odcień, nie całkiem fioletowy i nie całkiem purpurowy. Jedyne problem w tym, że trudno będzie znaleźć wstążkę pasującą do takiej barwy. Obiecuję jednak, że się postaram.

- Czy znajdziesz na to czas?

- Ależ naturalnie. Sklep pana Greena będzie otwarty jeszcze przez godzinę po tym, gdy dzieci pójdą do domów. Nie przypuszczam, bym potrzebowała więcej czasu na dobranie wstążki dla ciebie, ciotuniu Caro.

Beth uśmiechnęła się do pastorowej. Pokochała panią Aubrey za jej dobroć i wspaniałomyślność, dobry humor oraz cięty dowcip i psotne usposobienie. Ani pastor, ani jego żona nie przejmowali się niewiadomym pochodzeniem Beth. Oboje zgodnie orzekli,

że wysławia się jak osoba wykształcona i ma delikatne dłonie, co świadczy o tym, że jest damą. Pomimo protestów Beth i jej poczucia winy nalegali, by z nimi pozostała. Pastorowa dała sąsiadom do zrozumienia, że Beth jest jej daleką krewną i przyjechała do Fratcombe na dłużej. Większość mieszkańców wioski przyjęła to wyjaśnienie za dobrą monetę. Mijały miesiące i w końcu nawet Beth zaczęła myśleć o sobie jak o pannie Elizabeth Aubrey. Ta świadomość dawała jej poczucie bezpieczeństwa i wewnętrzny spokój, na którym ogromnie jej zależało. Mimo to nie potrafiła poradzić sobie z uporczywymi napadami lęku oraz wyrzutów sumienia, które czasami przybierały postać sennych koszmarów. Co takiego mogła uczynić w przeszłości?

Wzięła koszyk z przygotowanymi wcześniej materiałami na lekcje, cmoknęła panią Aubrey w policzek i wyszła z domu. Plebania oraz kościół znajdowały się na skraju Fratcombe, natomiast szkołę zorganizowano w opuszczonym domu w centrum, obok sklepów. Beth chętnie pokonywała tę krótką trasę spacerem, nawet jeśli zapowiadał się upalny dzień, tak jak dzisiaj.

Uniosła głowę i z uśmiechem zapatrzyła się na czyste, błękitne niebo. Podejrzewała, że niebo w Hiszpanii jest ciemniejsze. Widzieli się tylko raz, a ona była wtedy oszłamiona, zboląta i wylękniona. Nie miała okazji mu podziękować. Następnego ranka po tym, jak ją uratował, opuścił Fratcombe, by stawić się na wezwanie królewskiej kawalerii. Zgodnie z dobrym obyczajem, Jonathan zostawił pastorowi krótki list z przeprosinami i wyjaśnieniem, a także z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia dla Beth. Ta życzliwość i troska głęboko zapadły jej w pamięć. Żałowała, że więcej nie zobaczyła swego wybawcy, który, nie licząc bardzo krótkiego urlopu, walczył z armią Napoleona na Półwyspie Iberyjskim.

Beth wątpiła, by miała prawo wypytywać o dzielnego wojaka. Taka ciekawość byłaby nie na miejscu i w złym guście. Wsłuchiwała się jednak w słowa innych i w efekcie budził on jej coraz większy podziw. Nazywał się Jonathan Foxe-Garway i choć Aubreyowie znali go jeszcze jako dziecko i nadal zwracali się do niego po imieniu, obecnie był zamożnym hrabią Portburym, w dodatku protektorem pastora. Aubreyowie cenili go przede wszystkim jako dobrego człowieka i często wspominali. Szczególnie chętnie powracali w rozmowach do jego niewiarygodnych wybryków z czasów dzieciństwa i ko-

micznych psikusów, które płatał po rozpoczęciu nauki w Oksfordzie. Zdarzało mu się robić rzeczy, o których, zdaniem pastora, młoda dama nie powinna wiedzieć, niemniej wszystkie swoje grzechy odpokutował z nawiązką na polu bitwy.

Pastor chwalił poczucie obowiązku i patriotyzm Jonathana, Beth jednak nie całkiem rozumiała, dlaczego jej wybawca postanowił zasilić szeregi armii Wellingtona i wziąć udział w trudnej i niebezpiecznej kampanii wojennej. Czy nie postąpiłby odpowiedzialniej, zarządzając posiadłościami ku chwale i pożytkowi Anglii? Tymczasem nie mógł kierować majątkiem ze smaganego wiatrem namiotu w Hiszpanii.

Miała raczej nikłe szanse na to, by poznać prawdę. Opowieści pastorostwa były zabawne, niemniej oboje zachowywali daleko idącą dyskrecję. Zresztą nie powinna się tym interesować. Cóż jednak miała poradzić na to, że jej myśli nieustannie krążyły wokół Jonathana? Uratował ją i wiedziała, że będzie mu wdzięczna do grobowej deski, choć jego twarz zatarła się w jej pamięci. Trudno się dziwić, przecież Beth była wówczas na wpół przytomna. Jak przez mgłę widziała w wyobraźni wysoką, muskularną sylwetkę oraz niebieskie oczy. Nadal pobrzmiwał w jej uszach krzepiący głos, którym hrabia przemawiał, niosąc ją na plebanie, a potem na piętro domu, i kładąc do ciepłego, miękkiego łóżka. Czasami w snach widziała go całkiem wyraźnie, ale tylko wtedy. Raz przyśniło się jej, że Jonathan galopuje ku niej w srebrnej zbroi na białym rumaku, niczym dzielny rycerz z bajki.

Wiedziała, że to nedorzecznosc. Była przecież dorosłą kobietą, co najmniej dwudziestocztero- bądź dwudziestopięcioletnią. Powinna mieć dość rozumu, aby nie dawać się porwać fantazjom. Mimo to głos Jonathana nawiedzał ją we snach i czuła, że tak będzie do dnia, w którym umrze jako nauczycielka i stara panna.

Jeden z uczniów, chłopczyk o imieniu Peter, podbiegł do niej, tocząc przed sobą obręcz.

- Panno Aubrey! Panno Aubrey, proszę popatrzeć na moje kółko! - krzyknął.

W tej samej chwili stracił panowanie nad zabawką, która odtoczyła się w pokrzywy przy ścieżce. Nim Beth zdołała go powstrzymać, chłopiec rzucił się w zarośla, aby odzyskać zgubę, i wrzasnął, poparzony.

Biedny Peter. Liczył sobie zaledwie pięć lat i nie miał pojęcia o życiu. Beth wzięła go w ramiona i podniosła, a następnie delikatnie otarła mu łzy.

- Mężny z ciebie chłopiec - zapewniła go. - A teraz postawię cię na ziemi i spróbujemy znaleźć lekarstwo na poparzenie. - Dłonią w rękawiczce ostrożnie wyciągnęła obręcz z zarośli. Wręczyła ją Peterowi, a sama rozgarnęła wysoką, zieloną trawę i wskazała liście szczawiu. - Spójrz tutaj. Na poparzenia od pokrzyw najlepszy jest szczaw. Pokażę ci. - Zerwała kilka listków, ściągnęła rękawiczki i wtarła ziele w czerwone plamy na skórze dziecka, a na koniec owinęła obolałą rękę paroma większymi liśćmi. - Przytrzymaj to, Peterze, a ja poniosę twoją obręcz. Wkrótce przestanie boleć.

- Już przestaje, proszę pani. - Wydawał się znacznie pogodniejszy.

- Zuch chłopak. Byłeś bardzo dzielny, a teraz możesz powiedzieć wszystkim kolegom, żeby uważali na pokrzywy. Jeśli mimo to się poparzą, będziesz wiedział, jak im pomóc.

Peter uśmiechnął się łobuzersko, prezentując brak przednich zębów. Beth uważała go za bystrego chłopca, który mógłby sporo w życiu osiągnąć. Potrzebował stosownego wsparcia, gdyż jego ojciec nie miał własnej ziemi, a mieszkał i pracował na terenach posiadłości Jonathana we Fratcombe. Jeśli więc Jonathan czy raczej hrabia Portbury wróci z wojny, będzie musiała go poprosić o zainteresowanie się Peterem. Nie wątpiła, że tak szlachetny człowiek jak jej wybawca wesprze uzdolnione dziecko.

Wkrótce dotarli do szkoły. Peter, pomny na dobre maniere, których nauczyła go Beth, uklonił się grzecznie, a potem pognął do przyjaciół, aby pochwalić się poparzeniami oraz nową obręczą. Pozostałe dzieci zebrały się wokół, pokrzykując z zapalem i piszcząc. Beth miała pod opieką zaledwie dziesiątkę, sześciu chłopców i cztery dziewczynki, ale doszła do wniosku, że dużo ich nauczyła w ciągu kilku miesięcy. Pastorostwo i wioska udzielili jej gościny, zatem powinnością Beth było odwdziwienie się za to pracą. Pomijając wszystko inne, czynienie dobra pomagało jej osłabić nieustające poczucie winy w związku z jej nieznaną przeszłością.

Zbliżała się pora rozpoczęcia lekcji, więc Beth odłożyła czepek oraz rękawiczki i sięgnęła po dzwonek, by przywołać dzieci do klasy.

W zaledwie parę minut wybrała odpowiednią wstążkę spośród wielu, dostępnych w sklepie pana Greena, choć jedwab pani Aubrey był niecodziennej barwy. Wsunęła małą paczuszkę do koszyka i wyszła na upał, zadowolona z ochrony, jaką zapewniały jej parasolka oraz słomkowy kapelusik. Pani Aubrey spodziewała się jej powrotu za więcej niż pół godziny, zatem Beth zostało trochę czasu dla siebie.

Rozejrzała się nieco lękliwie, zastanawiając się, czy dostrzeże kogoś z okolicznych szlacheckich rodzin. Ich członkowie ochoczo udawali się na popołudniowe przejażdżki, a takie spotkanie mogłoby popsuć jej pogodny nastrój. Choć Aubreyowie usiłowali temu zapobiec, nie dało się uniknąć plotek. Bogate damy z sąsiedztwa chętnie odwiedzały plebanię, aby przyjrzeć się Beth. Na swoje nieszczęście nie potrafiła udzielić odpowiedzi na pytania o pochodzenie oraz rodzinę, co wzbudziło podejrzenia czujnych matron. Pośpiesznie nakazały synom trzymać się z dala od uroczej Beth Aubrey. Mogli ją oglądać do woli, lecz w żadnym razie nie wolno im było jej zagadywać ani szukać sposobności, by się przedstawić. W rezultacie tylko jeden młody człowiek zbliżył się do Beth, a był nim najstarszy syn Bertrama Fitzherberta. Jak się jednak okazało, miał on nieprzyzwoite zamiary. Beth udaremniła próbę obłapiania w krzakach i zapamiętała na przyszłość, że lepiej unikać młodych, modnie ubranych mężczyzn. Wszystkim im brakowało honoru i godności Jonathana. Był rycerski, szlachetny i wspaniały, oni zaś byli bezczelnymi młodzieniaszkami.

Nic zatem dziwnego, że większość zaproszeń na wydarzenia towarzyskie kierowano do pastorstwa, z pominięciem ich podopiecznej. Pani Aubrey z początku zamierzała przeciwstawić się tej ostentacyjnej nieuprzejmości. Ta stanowcza reakcja ponownie rozbudziła w Beth dawne lęki oraz poczucie winy. Wiedziała, że pastor nie może sobie pozwolić na obrażanie bogatych rodzin, zwłaszcza że Jonathan przebywał poza Anglią i nie mógł go wesprzeć. Senne koszmary powróciły, często towarzyszył im również dokuczliwy ból głowy. Dlatego Beth poprosiła opiekunów o zignorowanie obrazy, a pocziwa pani Aubrey, poruszona jej wzburzeniem, ostatecznie ustąpiła.

Nie wszystkie rodziny patrzyły z góry na Beth. W dwóch bogatych domach, wolnych od nieżonatych kawalerów, zawarła przyjaźnię z młodszymi córkami. Dziewczęta szczególnie ceniły sobie jej wrażliwość w sprawach mody i chętnie słuchały rad w tak

ważnych kwestiach, jak przyozdobienie kapelusika bądź zmiana fryzury. Beth ochoczo udzielała im pomocy, choć niezbyt dobrze czuła się wśród młodych arystokratek. Wiedziała, że nie jest jedną z nich. Jaka dziedziczka nosiłaby takie łachmany jak te, w których ją znaleziono?

Po raz ostatni rozejrzała się po wiejskiej drodze. Szczęśliwie nikogo nie dostrzegła, więc zamiast skręcić w prawo, w kierunku kościoła, ruszyła w lewo. Gdyby ktoś ją zapytał, wyjaśniłaby, że idzie w odwiedziny do starej pani Jenkinson, która mieszkała w ostatnim domku na skraju Fratcombe, tuż przed ostrym zakrętem. Stamtąd było już niedaleko do rzeczywistego celu spaceru Beth. Szybkim marszem wkrótce dotarła do lasu, choć nieprzyjemnie się przy tym zgrzała. Za zakrętem była niewidoczna ze wsi, a ponieważ mało kto zapuszczał się w te okolice, mogła delektować się samotnością.

Położyła koszyk i parasolkę na ziemi za słupkiem i oparła się o płot, rozglądając po polanie. Właśnie tutaj wszystko się zaczęło. Tu znalazł ją Jonathan. Miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym. Była to najzwyklejsza łąka pod lasem, otoczona gęstwiną iglastych krzewów, z dostojnym dębem przy dróżce. Beth uśmiechnęła się do rozłożystych gałęzi drzewa, które teraz się zazieleniły, ale tamtej pamiętnej nocy były nagie i czarne. Pod wpływem impulsu pochyliła się, przeszła pod belką i ruszyła przed siebie po trawie. Pomimo upału podłoże nadal było miękkie i gąbczaste, gdyż tuż obok płynął strumień, który nigdy nie wysychał. Nic dziwnego, że tamtej nocy łąka zmieniła się w grzęzawisko.

Beth podeszła do kępy rozłożystych krzewów, uniosła gałęzie i pod nie zajrzała. Nadal leżała tam sterta liści, rok po roku nawiewanych przez wiatr i zbyt suchych, aby zgnić. I całe szczęście, bo gdyby położyła się wówczas na mokrym podłożu, przemoczona do suchej nitki, pewnie wyzionęłaby ducha na długo przed przybyciem Jonathana. Nadal nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że ją znalazł.

Podeszła do dębu i z czułością pogłaskała chropowatą korę. Przychodziła tutaj po wielokroć, rozglądała się i spacerowała po ścieżce, usiłując przywołać wspomnienia o tym, jak wyglądało jej życie wcześniej, zanim zimą znalazła się w nieznanym sobie okolicy. Niestety, próby odświeżenia pamięci nie powiodły się i tym razem było podobnie.

Westchnęła ciężko. Spędziła tutaj dostatecznie dużo czasu, nadeszła pora, by wrócić na plebanię. Nie wolno jej dawać pani Aubrey powodów do zmartwień. Dopiero po wyjściu spod dębowych konarów Beth zorientowała się, jak bardzo się ściemniło. Wystarczyło zaledwie kilka minut, aby niebo przybrało jednolitą, niemal czarną barwę. Zanosilo się na solidną burzę, ona zaś była daleko od domu, zdana wyłącznie na siebie.

Rzuciła się biegiem przez polanę, prosto do miejsca, w którym zostawiła koszyk. Zapomniała o zdradzieckiej mokrej ziemi i w pewnej chwili poczuła, że jej noga wykrzywia się w kostce. Beth straciła równowagę i upadła jak długa. Zaklęła w duchu, na czym świat stoi, po czym wstała, zastanawiając się, czy gospodyni pani Aubrey dysponuje jakimś środkiem na plamy z rozgniecionych liści.

- Au! - krzyknęła z bólu, gdy tylko oparła ciężar ciała na prawej stopie.

Co robić? Skręciła nogę w kostce, a nadciągała ulewa. Tym razem zaklęła nie tylko siarczyście, ale i głośno. Popatrzyła na niebo. Gigantyczne, wypiętrzone chmurzyska zapowiadały burzę z piorunami, więc kryjówka pod drzewem nie wchodziła w grę. Pokuśtykała do ogrodzenia i oparła się o nie, żeby złapać oddech. Po namyśle zdecydowała, że parasolka nada się na prowizoryczną laskę, a koszyk może pozostać tam, gdzie go zostawiła. Musiała tylko zabrać wstążkę pani Aubrey, gdyż woda bez wątpienia zniszczyłaby delikatny materiał. Beth ostrożnie wsunęła paczuszkę pod materiał sukni, a potem, zaciskając zęby z bólu, przeszła pod ogrodzeniem i ruszyła drogą do Fratcombe.

W pewnej chwili odniosła nieprzyjemne wrażenie, że nigdy nie zdoła dotrzeć na miejsce. Chciała przynajmniej dojść do zakrętu, za którym stał dom wdowy. Nie wątpiła, że pani Jenkinson udzieli jej schronienia.

Wlokła się, ciężko opierając się na parasolce, która nie okazała się dostatecznie mocna i już po kilku jardach złamała się niczym zapalka. Beth doszła do wniosku, że najwyraźniej wszystko sprzysięgło się przeciwko niej.

Stała na zdrowej nodze, z przygnębieniem wpatrując się w szczątki parasolki.

- Niech to licho! - Z tymi słowami cisnęła na ziemię bezużyteczny uchwyt.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Odwróciła się raptownie, zapominając o nadwężonej kostce, i oparła na niej cały ciężar ciała. Z okrzykiem bólu zachwiała się i niemal upadła.

- Wielkie nieba, jest pani ranna!

Ten głos nie zmienił się ani trochę. Natychmiast rozpoznała Jonathana. Do tego stopnia skupiła się na przeklinaniu kruchej parasolki, że nie usłyszała ani koni, ani turkotu kół dwukółki.

- Przytrzymaj je za uzdy.

Tym razem hrabia nie był sam. Stajenny zeskoczył z kozła, był zająć się końmi, a Jonathan w tej samej chwili wysiadł z dwukółki i wyciągnął rękę do Beth, której udało się odzyskać równowagę.

Z miejsca zapomniała o bólu. Jonathan przybył, aby ją ponownie uratować!

- Pomogę pani wejść do powozu. - Podał jej ramię. - Proszę się o mnie oprzeć. W żadnym razie nie powinna pani obciążać nogi.

Z wdzięcznością wsparła się na jego rękę. Mimo cierpienia czuła się tak, jakby fruwała w powietrzu, jednak przed schodkami do powozu odzyskała trzeźwość umysłu. Zaczęła się zastanawiać, czy w tym stanie zdoła wsiąść.

- Pozwoli pani, że jej pomogę.

Szybkim ruchem wziął ją na ręce i ponownie poczuła jego zapach, tak często przewijający się w jej snach. Zanim zdążyła odprężyć się w objęciach Jonathana, posadził ją na miękkiej, obitej skórą kanapie i cofnął się o krok.

- Czy mam pani podać parasolkę? - Wskazał rozrzucone na ziemi szczątki.

- Gdyby był pan tak uprzejmy - odparła nieśmiało, unikając jego przenikliwego wzroku.

Potrzebowała chwili, aby zebrać myśli i zapanować nad emocjami. To nie był odpowiedni czas na bujanie w obłokach, Jonathan z pewnością zamierzał zasypać ją pytaniami. Poczowała ucisk w żołądku. Na pewno będzie chciał wiedzieć, czy przypomniała sobie coś z przeszłości. Jak mogła mu wyjaśnić, że nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia?

Powrócił błyskawicznie i wręczył jej połamaną parasolkę, a gdy pokręciła głową, cisnął rupieć na podłogę i wskoczył na miejsce obok Beth.

- Naciąga nawałnica - powiedział. - Konie to wyczuwają. Muszę je wprowadzić do stajni, zanim rozpęta się burza.

Nie czekając na polecenie, stajenny przybiegł i usadowił się z tyłu dwukółki, a Jonathan popędził konie, które ruszyły z kopyta. Całą uwagę skupił na powożeniu, prowadząc zaprzęg mocną ręką. Najwyraźniej istniało niebezpieczeństwo, że spłoszone uderzeniem pioruna konie poniosą. Paradoksalnie, Beth była zadowolona z zagrożenia, gdyż nie musiała odpowiadać na kłopotliwe pytania.

Robiła, co w jej mocy, by skupić się na drodze przed sobą, ale mimowolnie rzucała ukradkowe spojrzenia na Jonathana. Postanowiła zapamiętać każdy szczegół. Miał bardzo mocno opaloną, smagłą twarz, zbyt brązową jak na oblicze dżentelmena, rzecz jasna, ale pasującą do kogoś, kto długo przebywał pod palącym słońcem Hiszpanii. W czarnych włosach dostrzegła zaczątki siwizny, szczególnie na skroniach i za uszami. W kącikach oczu widać było drobne, jaśniejsze zmarszczki. Ciekawiło ją, czy świadczyły one o poczuciu humoru i pogodnym usposobieniu. Może powstały dlatego, że musiał często mrużyć oczy, oślepiony jaskrawymi promieniami południowego słońca? Beth nie miała pewności, czy Jonathan był wesołkiem. W tej chwili zrobił surową minę i mocno zaciskał usta. Wyglądał onieśmielająco.

Podejrzewała, a raczej intuicyjnie wyczuła, że jej szlachetny wybawca zmienił się po latach służby wojskowej, a doświadczenia wojenne bynajmniej nie złagodziły jego charakteru. Ponad wszelką wątpliwość uczestniczył w krwawych bataliach, na pewno cierpiał i stracił wielu towarzyszy broni oraz przyjaciół. Beth przyglądała się listom poległych, które publikowano w czytanej przez pastora gazecie, i wtedy serce podchodziło jej do gardła. Spodziewała się, że pewnego dnia ujrzy nazwisko hrabiego Portbury'ego, zwłaszcza że jego pułk ponosił szczególnie ciężkie straty, w szczególności podczas oblężenia Badajoz przed paroma miesiącami.

Prawie dojechali do prowadzącego do Fratcombe zakrętu i Jonathan ściągnął wodze. Miał szczupłe, mocne dłonie, ale jednocześnie delikatne, o czym Beth osobiście się przekonała, i teraz, i wtedy. Te dłonie dotykały jej skóry i... Dość! Spróbowała odegnąć niepokojące myśli i uśmiechnęła się uprzejmie. Dama nie powinna oddawać się takim rozważaniom!

Minęli zakręt i powóz ponownie przyśpieszył.

- A teraz, proszę mi powiedzieć, dokąd mam panią zawieźć.

Jonathan zerknął na Beth, a jego źrenice rozszerzyły się lekko. Czyżby z podziwu? Jej serce raptownie przyśpieszyło. Czy to możliwe, że on...

Ponownie skoncentrował się na powożeniu.

- Jest pani wyjątkowo silną i wytrzymałą damą, skoro uśmiecha się pani mimo obolałej kostki - zauważył. - Za pozwoleniem, chciałbym się przedstawić, nieczęsto bowiem mężczyzna ma przyjemność poznać tak dzielną damę.

Uśmiech Beth nagle zgasł. Pojęła, że Jonathan o niej zapomniał.

TLR

Rozdział drugi

Przedstawili się sobie krótko i raczej oficjalnie. W szybkim tempie przebyli pustą wiejską drogę i zatrzymali się przed plebanią. Rzut oka na zachmurzone niebo wystarczył Jonathanowi, aby się upewnić, że burza rozpęta się lada moment. Uprzejmości musiały poczekać. Przekazawszy wodze stajennemu, hrabia zeskoczył z kozła i obiegnął dwukółkę, aby asystować panie Aubrey przy opuszczaniu pojazdu.

- Nie mamy czasu do stracenia - oznajmił krótko. - Burza jest tuż-tuż. Proszę zatem objąć mnie za szyję, bym mógł panią przenieść do domu.

Nie zwracając uwagi na jej pełne oszołomienia westchnienie oraz bladą jak kreda twarz, jedną ręką otoczył plecy Beth, a drugą wsunął pod jej kolana. Następnie chwycił ją i pośpiesznie ruszył do drzwi.

- Czy byłaby pani łaskawa zastukać kołatką?

Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, o co ją prosi. Jonathan zadał sobie w duchu pytanie, czy dama przypadkiem nie jest mało rozgarnięta, doszedł jednak do wniosku, że nie powinien być dla niej zbyt surowy. Może ból w kostce się nasilił? Nie dość, że była biała jak ściana, to jeszcze przygryzała dolną wargę.

Drzwi otworzyła służąca.

- Och, panienko! - wykrzyknęła.

- Otwórz szeroko, abym mógł wnieść pannę Aubrey do środka. Szybko! - Hrabia niemal wepchnął się do sieni, a potem przeniósł Beth przez najbliższe drzwi do małego saloniku od frontu. Pokój był pusty. - Sprowadź wielebnego albo panią Aubrey. Nie trać czasu!

Pokojówka nadal tkwiła w sieni i z szeroko otwartymi ustami wpatrywała się w niespodziewanego gościa. Tymczasem Jonathan ukląkł, żeby ułożyć pannę Aubrey na kanapie, a potem wstał, groźnie zmarszczył brwi i ze złością zrobił krok ku służącej, która pisnęła i uciekła. Ponownie skupił uwagę na Beth.

- Zechce mi pani wybaczyć, ale konie powinny wrócić do stajni, nim się rozpadą - powiedział. - Czy mogłaby pani w moim imieniu przekazać pastorostwu wyrazy szacunku? Rzecz w tym, że...

- Jonathanie! - Na progu stanęła pani Aubrey.

Odwrócił się i pochylił głowę w ukłonie.

- Właśnie mówiłem, że przed burzą muszę zadbać o konie. Wygląda na to, że biedna panna Aubrey skręciła nogę w kostce. Dobrze, że pani wróciła, gdyż należy opatrzyć nogę. Postaram się rychło wpaść z wizytą. - Ruszył do drzwi, uśmiechając się na widok zdezorientowanej miny pastorowej. - Wtedy porozmawiamy w bardziej sprzyjających okolicznościach - dorzucił i ponownie się ukłonił. - Pozdrowienia dla wielebnego.

Szybkim krokiem skierował się do wyjścia. Nieśmiała służąca znikła, więc Jonathan otworzył sobie drzwi i ruszył ścieżką do dwukółki.

- Sam - zwrócił się do stajennego - zobaczmy, w jakim tempie uda się nam dotrzeć do majątku. Jeśli te konie mają ponieść, to na mojej ziemi.

- Biedne dziecko, cała drżysz! Z pewnością doznałaś wstrząsu. Zaraz otulę cię szalem. - Pani Aubrey energicznie szarpnęła dzwonkiem. - Pastor powiada, że brandy to najlepsze antidotum. Och, szkoda, że go tutaj nie ma - mówiła po części do Beth, po części do siebie. - Hetty - poleciała pokojówce, która właśnie się zjawiała - biegnij na górę i przynieś najgrubszy szal panny Beth, a potem podaj mi karafkę brandy z gabinetu pastora. Migiem!

Filigranowa Hetty dygnęła i znikła.

Beth nie ruszała się ani nie mówiła. Była jak otepiała. Książę z bajki ogromnie ją rozczarował. Wypatrywała go od miesięcy, tymczasem zapomniał o jej istnieniu. Budowała zamki na piasku niczym mała dziewczynka, która jeszcze nic nie wie o życiu. Cóż za ignorancja z jej strony!

Pani Aubrey postawiła krzesło u stóp Beth i uniosła jej ubrudzoną suknię.

- Wielkie nieba, ale spuchła ci noga! - zauważyła i zabrała się do zdejmowania butów Beth. Starła się być delikatna, ale Beth i tak jęknęła z bólu. - Tak, kochana, wiem. Od razu widać, że stała ci się krzywda.

- Pani Aubrey ostrożnie dotknęła palcami opuchlizny.

Beth nie mogła sobie pozwolić na pojękiwanie. Co prawda, przy Jonathanie zachowywała się jak niemądra uczennica, ale nie była beksą gotową wrzeszczeć z byle powodu.

- Jestem prawie pewna, że skrećiałaś nogę w kostce, moja droga. Gdy tylko przetoczy się burza, pošę chłopaka po doktora, niech on rzuci na to okiem.

- Och, ciotuniu...

- Cicho, dziecino. Hetty! Doskonale, daj mi to.

Pani Aubrey pomogła Beth usiąść wygodnie i otuliła ją ciepłym szalem, po czym wsunęła jej pod plecy kilka poduszek. Zanim Beth zdążyła podziękować, służąca przyniosła karafkę i dwa kieliszki.

- Postaw tutaj. - Pani Aubrey wskazała mały stolik przy ręce Beth. Była w swoim żywiole, gdyż uwielbiała opiekować się chorymi. - Przynieś mi jeszcze miskę z zimną wodą, kilka ściereczek i ręczniki. Musimy położyć zimny kompres, nim kostka jeszcze bardziej spuchnie.

Hetty skinęła głową i znowu znikła.

- Zaczniemy od odrobiny brandy. - Pani Aubrey nalęła trochę trunku do jednego kieliszka i jeszcze mniej do drugiego. - Dzisiejszego popołudnia doświadczyłam dwóch wstrząsów. Najpierw twoja skrećona kostka, potem nieoczekiwany powrót Jonathana, który w dodatku przybył w cywilnym ubraniu. Ciekawe dlaczego... - Wbiła wzrok w przestrzeń. Dopiero po chwili ocknęła się z zamyślenia, wcisnęła pełniejszy kieliszek w dłoń Beth i uniosła własny.

- Wypijmy za twój rychły powrót do zdrowia, moja droga - zaproponowała - a także za pomyślność biednego Jonathana.

Jonathan rozsiadł się wygodnie w obszernym skórzanym fotelu i wyciągnął nogi. Co za dzień!

Lokaj Vernon z przesadną troską ściągnął buty swojemu panu, a następnie przeszedł do garderoby, gdzie wcześniej powiesił mokry płaszcz. Jonathan westchnął z ulgą, gdy służący zamknęł za sobą drzwi. W sypialni zapanowała cisza zakłócana jedynie przez syk i trzaskanie ognia w kominku. Cieszył się z powrotu do Fratcombe. Tutaj mógł uniknąć kąśliwych uwag matki na temat ciąży na nim powinnosci, a poza tym nie musiał znosić irytującej obecności brata. Lubił wizyty u swojego dobrego przyjacięła, pastora. Towarzyszyło mu wrażenie, że ostatni raz bawił we Fratcombe wieki temu. Wpadł wtedy tu jak po ogień i nim minęła doba, musiał wyjechać. Zamienił z pastorostwem za-

ledwie parę słów. Nawet się nie rozpakował, kiedy otrzymał wezwanie do Londynu, skąd skierowano go z powrotem do Hiszpanii.

Energicznie pokręcił głową. Wolał nie myśleć o wojnie.

Dręczyło go pytanie, które dotąd odsuwał od siebie, koncentrując się na ucieczce przed burzą. Kim, u licha, jest panna Elizabeth Aubrey? Pastorstwo nie mieli dzieci, nie słyszał o braciach wielebnych, zatem nie była ona jego bratanicą, raczej daleką krewną. Dlaczego jednak nikt o niej nie wspomniał? Zaintrygowany, postanowił z samego rana złożyć wizytę na plebanii. Liczył na to, że kilka uprzejmych pytań rozwieje jego wątpliwości. Młoda kobieta była atrakcyjna. Początkowo był zbyt przejęty końmi, by zwracać na nią szczególną uwagę. To się zmieniło, gdy przenosił ją z powozu do domu pastorstwa. Co prawda, nie zapamiętał koloru jej oczu, za to świetnie wyczuwał kształty pod letnią suknią. Dama była wysoka i szczupła, ale zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach. Wyglądała na dwadzieścia dwa, może nawet dwadzieścia trzy lata. Dziwne, że w tym wieku nie była mężatką. Pewnie brakowało jej posagu. Zaskakując samego siebie, doszedł do wniosku, że ma ochotę zaznajomić się bliżej z tajemniczą panną Aubrey. Może powinien zaprosić całą trójkę do swojej posiadłości? Nie byłoby w tym nic niestosownego, od dawna przyjaźnił się z Aubreyami. Postanowił wpaść do nich jutro. Jeśli młoda kobieta okaże się miłą, czego mógł oczekiwać od krewnej pastora, wówczas zaprosi i ją.

Szyby zatrzęśły się od uderzenia pioruna. Oślepiające błyskawice przecinały niebo, a tuż po nich rozlegały się ogłuszające huki gromów. Za zamkniętymi drzwiami garderoby lokaj zapewne krzątał się przy mokrym kapeluszu i płaszczu albo narzekał po cichu na uwalane błotem buty. Jonathan nie przepadał za Vernonem. Każdy szanujący się hrabia potrzebował osobistego służącego i Vernon niewątpliwie nadawał się na to stanowisko, niemniej Jonathan wolałby kogoś innego. Po powrocie do Anglii powinien był staranniej poszukać odpowiedniego kandydata, ale czuł się zbyt zmęczony wojaczką, żeby zaprzatać sobie głowę dodatkowymi obowiązkami.

Rzecz jasna, zadbał o to, aby Joseph, jego adiutant, otrzymał stosowną rekompensatę oraz roczne wynagrodzenie za lata wiernej służby. Joseph zamierzał założyć mały pub, a może nawet znaleźć sobie żonę.

Żonę...

Wstał, żeby dorzucić dREW do ognia. Często wspominał miłe chwile przy obozowym ognisku, kiedy dzielił z towarzyszami broni miejscową brandy i śmiał się z niemądrych historyjek, które sobie opowiadali. Dobrze, że lokaj przyniósł karafkę brandy. Jonathan uśmiechnął się z satysfakcją i nalał sobie pełny kieliszek. Zamierzał wychylić całość jednym haustem, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Podczas pobytu w Hiszpanii, kiedy tęsknota za domem stawała się nieznośna, raz czy dwa upił się do nieprzytomności. Po powrocie na angielską wieś jednak stracił prawo do utyskiwania. Upijanie się byłoby obelżywe wobec przyjaciół, których pozostawił na spalonej słońcem, hiszpańskiej ziemi. Wypił zatem tylko spory łyk, delektując się smakiem i aromatem zacnego trunku.

W pewnej chwili drzwi do garderoby się otworzyły.

- Czy mogę jeszcze w czymś służyć waszej lordowskiej mości? - spytał Vernon.

Jonathan pokręcił głową i machnięciem ręki odprawił zbyt ugrzecznionego lokaja. Może Joseph jeszcze nie wydał swoich pieniędzy? Nie, pomyślał Jonathan, to na nic. Joseph był adiutantem, nie lokajem, poza tym pragnął czegoś więcej. Chciał mieć pub, założyć rodzinę. Gdyby powrócił do służby, która kobieta zechciałaby go za męża?

Jonathan ponownie usiadł i uraczył się jeszcze jednym łykiem brandy. Z irytacją wspominał matkę, która nieustannie powracała do tematu ożenku. Minął ponad rok od śmierci jego pierwszej żony, więc zdaniem hrabiny wdowy powinien szukać następnej. Podkreślała, że sprawa jest pilna i tym razem Jonathan powinien postarać się o syna, dziedzica tytułu.

Jej pojęcie obowiązku - arystokrata musi zawrzeć odpowiednie małżeństwo i spłodzić co najmniej dwóch synów, następcę oraz rezerwowego spadkobiercę - pokrywało się w dużej mierze z przemyśleniami zmarłego ojca Jonathana. Trzeba przyznać, że pod tym względem mieli wyjątkowo ciasne umysły. Alicia, żona Jonathana, była córką księcia, jednak małżeństwo okazało się nieudane. Nawet hrabina wdowa to przyznała, co nie przeszkadzało jej namawiać syna na kolejny ślub. Ponownie miał wybrać szlachetnie urodzoną małżonkę z grona onieśmielonych debiutantek. Wdowie nawet przez myśl nie przeszło, że różnica wieku może być przeszkodą nie do pokonania. Jakże on, mężczyzna trzydziestopięcioletni, miałby otoczyć opieką niedoświadczoną młódkę? Rzecz jasna, nie

musiałby spędzać z nią czasu, z wyjątkiem tych kilku chwil na spełnienie mężowskiego obowiązku, i na pewno traktowałby ją wyniośle, jak na arystokratę przystało. Mimo to perspektywa wysłuchiwanie pustej paplaniny budziła w nim niechęć. Właśnie w taki związek wstąpił jego ojciec, a wcześniej dziadek. Tyle że żaden z nich nie był na wojnie i nie widział, jak umierają jego przyjaciele. Wojna potrafiła wywrócić do góry nogami cały system wartości człowieka...

Chodząc o lasce, Beth czuła się jak oszustka. Przecież nie była poważnie ranna i właściwie nic poważnego się nie wydarzyło. Inna rzecz, że cierpiała katusze, gdy zdarzało się jej oprzeć ciężar ciała na skręconej kostce, zatem musiała pogodzić się z posługiwaniem się laską. Najtrudniejszą sprawą okazało się pokonywanie schodów bez asysty silnego mężczyzny. Pastor miał swoje lata i w żadnym razie nie mógł nosić Beth. Nawet gdyby zaproponował, zdecydowanie by się sprzeciwiła. Na pewno jednak nie odmówiłaby Jonathanowi...

Poczuła przyspieszone bicie serca i pokręciła głową, zła na siebie za to, że znowu oddaje się rozmyślaniom o hrabim. Od pewnego czasu usilnie próbowała o nim zapomnieć, lecz im bardziej pragnęła przestać o nim marzyć, tym skuteczniej utrwał się w jej pamięci. Nic dziwnego, że dręczyło ją coraz głębsze poczucie winy.

Stała na szczycie schodów i popatrzyła z góry na sień. Droga wydawała się długa i trudna, ale Beth zamierzała sobie poradzić. Jedną dłoń zacisnęła na lasce, drugą na poręczy i powoli ruszyła na dół. Była w połowie drogi, gdy zjawiła się Hetty.

- Och, panienko, chętnie pomogę - oznajmiła służąca.

Beth przystanęła i pokręciła przecząco głową.

- Dziękuję ci. Nieźle sobie radzę. Muszę się nauczyć korzystania z laski, a poza tym z pewnością masz dużo ważniejszych obowiązków niż pomaganie tymczasowej inwalidce.

- Skoro tak panienka uważa. Nie będzie panienka wychodzić z domu, prawda? Jeśli czego potrzeba, to ja chętnie przyniosę.

Beth dotarła do podnóża schodów, nieco zadyszana, ale dumna z siebie.

- Nigdzie się nie wybieram - odparła. - Na szczęście dzisiaj nie ma lekcji. Dzieci martwiłyby się, gdybym nie przyszła do szkoły.

- Pani Aubrey powiedziała, że zastąpi panią na tak długo, jak będzie to konieczne. Mówi, że się cieszy. - Hetty uśmiechnęła się wymownie.

- Doprawdy?

Wyglądało na to, że ciotunia Caro chciała, aby podopieczna odpoczęła jeszcze przez kilka dni. Beth nie była pewna, czy może sobie na to pozwolić. Żona pastora była obarczona licznymi obowiązkami i nie wypadało oczekiwać, że dodatkowo będzie nauczycielką. Powoli przeszła do saloniku od frontu, aby rzucić okiem na przechodniów. W głębi serca liczyła też na to, że dostrzeże dwukólkę Jonathana.

- Na litość boską! - mruknęła z irytacją.

- Zrobiłam coś nie tak, panienko? - spytała urażona Hetty.

Beth uświadomiła sobie, że wypowiedziała ostatnie słowa na głos.

- Wybacz, rugałam siebie, a nie ciebie. Noga wciąż odmawia posłuszeństwa.

Nie był to rzeczywisty powód niezadowolenia Beth, ale Hetty wydawała się uspokojona.

- Pani Aubrey mówiła, żeby panienka siedziała na kanapie z nogą do góry i bym przynosiła, co tylko panienka sobie zażyczy.

Beth dała za wygraną i zajęła na kanapie miejsce przy oknie. Nim zdążyła odechnąć, służąca uniosła jej nogę i położyła na poduszkach.

- Czy panience coś podać?

- Skoro mam tutaj zalec niczym rozpieszczony kot, wylegający się na słońcu, to powinnam się zająć czymś pożytecznym. Przynieś mi koszyk z przyborami do czerowania.

Hetty wkrótce wróciła z koszyczkiem, a Beth, pamiętając o ostatnim postanowieniu, wybrała najtrudniejszą pracę. Chciała w ten sposób zająć myśli do powrotu cioci Caro. Samotność i nadmiar wolnego czasu sprzyjały niebezpiecznym rozważaniom, a ostatnie, czego potrzebowała, to kolejna migrena. Ledwie udało się jej zacerować największą dziurę, do domu wróciła pani Aubrey. Tuż za progiem ściągnęła czepek, który od razu wręczyła Hetty.

- Zechciej zaparzyć nam herbaty - poleciała służącej. - Panna Beth z pewnością chętnie się napije.

- Jesteś niezwykle życzliwa, ciotuniu, ale obawiam się, że nie zasłużyłam na nagrodę. Spójrz, jak niewiele zrobiłam.

- Drogie dziecko, jesteś rekonwalescentką. Powinnaś wypoczywać z romansem w dłoni, a nie brać się do pracy. Chorzy nie cerują koszul.

- Zatem jestem skromnym wyjątkiem - odparła Beth.

Uśmiechnęła się do pani Aubrey, która zachichotała i usiadła naprzeciwko niej.

- Dzisiaj rano odwiedziłam wdowę Jenkinson, która przesyła ci najlepsze życzenia rychłego powrotu do zdrowia - oznajmiła. - Z żalem dowiedziała się, że w trakcie burzy nie dowieziono cię do jej domu.

- Gdyby tak się stało, miałyby o czym plotkować przez najbliższy miesiąc, zwłaszcza gdyby ujrzała, jak Jo... jak pan hrabia niesie mnie na rękach.

Pastorowa miała prawo mówić o nim po imieniu, lecz Beth rozumiała, że nie powinna tego robić. Pani Aubrey zachichotała ponownie.

- Zupełnym przypadkiem przechodziłam obok posiadłości Jonathana, toteż wpadłam do niego z wizytą, ale niestety, bawił poza domem.

Beth wymownie uniosła brwi. Dom pani Jenkinson i siedziba hrabiego znajdowały się po przeciwnych stronach Fratcombe.

- Moja droga, twoja mina jest co najmniej niestosowna - zauważyła pastorowa z rozbawieniem.

Brwi Beth podjechały jeszcze wyżej.

- Dobrze, niech ci będzie. Nie zjawiłam się tam przypadkiem, i obie o tym wiemy. Rozmyślnie udałam się do Jonathana, by spytać, jak długo zabawi w majątku, noszę się bowiem z zamiarem zaproszenia go na kolację, gdy tylko wydobrzejesz.

- Lepiej będzie, jeśli zostanę wtedy na górze - oznajmiła cichym głosem Beth. - Pan hrabia i wielebny z pewnością mają mnóstwo spraw do omówienia, a ja bym im przeszkadzała.

- Pleciesz androny, moja panno. - Pani Aubrey żartobliwie pogroziła Beth palcem.

- Udam, że w ogóle nie słyszałam tych słów.

Hetty pojawiła się z herbatą. Gdy ostrożnie stawiała tacę na stoliku przed panią Aubrey, ktoś energicznie zastukał kołatką do drzwi.

- Wielkie nieba! Któż to może być o tej porze? Hetty, otwórz.

Pastorowa wyjęła robótkę z rąk Beth i włożyła materiał oraz przybory do koszyka, który następnie wsunęła pod krzesło w najciemniejszym kącie pokoju. Na koniec potruchtała z powrotem na swoje miejsce i skromnie złożyła ręce na kolanach. Beth z trudem zdołała ukryć uśmiech.

- Jaśnie pan hrabia Portbury - zapowiedziała Hetty i dygnęła.

Na widok Jonathana Beth pomyślała mimowolnie, że jej dwukrotny wybawca jest zbyt wysoki i postawny jak na mały salonik. Pani Aubrey podniosła się z miejsca i lekko dygnęła w odpowiedzi na elegancki ukłon gościa.

- Jonathanie, jakże miło cię widzieć - powiedziała. - Napijesz się z nami herbaty? Hetty, przynieś jeszcze jedną filiżankę.

Jonathan podszedł bliżej i ukłonił się Beth.

- Pan hrabia zechce mi wybaczyć, lecz nie mogę...

- Panno Aubrey, proszę nawet nie próbować wstawać. Jestem pewien, że i tak natrudziła się pani dzisiaj rano, kiedy musiała zejść po schodach - odparł Jonathan i po kilkusekundowym namyśle skierował wzrok na panią Aubrey. - Czy pozwoliłaby mi pani przysłać jednego z moich służących na czas rekonwalescencji panny Aubrey? Mógłby przynieść ją po schodach, a ponadto wykonywałby wszelkie inne obowiązki.

- Jonathanie, nie śmiałabym...

- Oddałaby mi pani przysługę. Po rezydencji kręci się stanowczo za dużo służby. Mieszkam samotnie i nie mają oni praktycznie nic do roboty, a ja nie cierpię lenistwa.

- No cóż...

- Czyżbym nie miała nic do powiedzenia w związku z pomysłem pana hrabiego? - odezwała się Beth, czując przyływ złości. Dlaczego ten człowiek potraktował ją niczym paczkę?

Jonathan skierował na nią spojrzenie.

- Najmocniej przepraszam. - Ściszył głos. - Nie zamierzałem się narzucać.

Beth natychmiast złagodniała. Zachował się arogancko, niemniej miał dobre intencje, a ona nie powinna dawać upustu irytacji.

- Propozycja jest wspaniałomyślna, niemniej niekonieczna - oświadczyła. - Stan mojej kostki poprawia się w szybkim tempie i im częściej będę ją ćwiczyła, tym rychlej odzyskam pełną sprawność.

- Doskonale, droga pani. - Z tymi słowy hrabia usiadł obok pani Aubrey.

- Ponadto sugeruję, by pan hrabia skierował służących do pracy we wsi - ciągnęła, czując, że zapanowała nie tylko nad sobą, ale i nad przebiegiem nieoczekiwanego spotkania. - Skoro narzekają na nadmiar wolnego czasu, niech popracują dla ludzi. Jestem pewna, że pani Aubrey może przygotować długą listę obowiązków i napraw, którymi ktoś powinien się zająć.

- Beth, posuwasz się za daleko - oznajmiła pastorowa.

- Ależ skąd, droga pani, panna Aubrey ma słuszość. Mimo burzy zauważyłem wczoraj, że część domostw wymaga pilnego remontu. Mój zarządca dopuścił się karygodnego niedopatrzenia, zaniedbując tę sprawę. Jeszcze dzisiaj skieruję ludzi do przeprowadzenia napraw. - Pani Aubrey wręczyła hrabiemu filiżankę herbaty, którą podał Beth. - Obawiam się jednak, że muszę rozczarować pannę Aubrey. Wątpię, aby moi służący mieli chęci i umiejętności potrzebne do wykonania remontów.

Beth przyjęła filiżankę i skromnie skinęła głową, ściągając usta. Czyżby ją krytykował?

- Jonathanie, jak długo tym razem zabawisz we Fratcombe? - Pani Aubrey podała mu herbatę.

- Niezbyt długo, proszę pani, niemniej zamierzam wkrótce wrócić. Przyjazd na angielską wieś to dla mnie ogromna zmiana. W Hiszpanii wystarczyło walczyć z wrogiem, tu mam liczne powinności: muszę dbać o posiadłości, a także o pozycję społeczną. - Przez moment wydawał się zasepiony, ale nagle uśmiechnął się ciepło do pastorowej, a jego twarz wydała się Beth młodszą i łagodniejszą. - Wiem, że na plebanii jestem mile widziany jako niesforny chłopak, który tylko trochę wyrósł.

Pani Aubrey skinęła głową, usiłując zamaskować uśmiech. Najwyraźniej Jonathan miał w dzieciństwie nieograniczony dostęp na plebanie, pomyślała Beth. Czyżby zamierzał stać się tutaj stałym gościem i odświeżyć bliskie relacje z wielebnym i jego żoną? Kiedy siedział całkiem odprężony wyglądał stanowczo zbyt atrakcyjnie.

Pani Aubrey odchrząknęła.

- Może opowiesz nam o służbie w Hiszpanii? - zasugerowała.

Jonathan spochmurniał.

- Jeśli pani pozwoli, wolalbym o tym nie rozmawiać. Większość tego, co tam się działo, nie była... przyjemna, zwłaszcza ostatnio.

- Rozumiem - odparła pastorowa. - Wiemy, że uczestniczyłeś w oblężeniu Badajoz.

- Wiedzieli też, że Jonathan został wymieniony w raportach za wyjątkowe męstwo podczas ostatecznego szturm, lecz pani Aubrey nie chciała o tym wspominać, aby nie wprawić go w zakłopotanie. - Czytaliśmy też o haniebnym wypadkach po bitwie.

Nie odpowiedział, ale jego twarz nagle stała się surowa i nieprzystępna. Beth wolała sobie nie wyobrażać, czego doświadczył i co widział podczas oblężenia i plądrowania miasta. Podczas ataku Anglicy ponieśli ogromne straty, a zachowanie żołnierzy po zwycięskiej bitwie było odrażające.

Zapadło milczenie. Hrabia siedział nieruchomo i Beth była pewna, że wspomina dramatyczne wydarzenia. Postanowiła oderwać jego myśli od okropności wojny. Pani Aubrey ją ubiegła.

- Jonathanie, co sądzisz o naszej podopiecznej? - zapytała. - Beth w niczym nie przypomina przemoczonej niebogi, którą przyniosłeś tu na Gwiazdkę, prawda?

- Co takiego? - zdumiał się. - Panna Aubrey jest damą z polany?

Rozdział trzeci

Zakłopotany Jonathan poruszył się na krześle i wbił wzrok w Beth.

- Najmocniej panią przepraszam - powiedział pośpiesznie. - Zapomniałem o tym incydencie. Dopiero teraz, gdy pani Aubrey o nim napomknęła... Chodzi o to, że wygląda pani tak... - Urwał zakłopotany.

Wczoraj założył, że panna Aubrey jest krewną wielebnego, zapewne nieco zubożałą, tymczasem wcale nie należała do tej rodziny. Obszarpana kobieta, którą uratował, mogła być kimkolwiek, nawet ulicznicą. Wprawdzie, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, przeszło mu przez myśl, że to dama, niemniej...

Wydawała mu się coraz atrakcyjniejsza, w miarę jak jej się przyglądał. Powiódł spojrzeniem po kręconych kasztanowych włosach i urodziwej twarzy, a potem przeniósł wzrok na szczupłe ciało, by w końcu popatrzeć na zabandażowaną kostkę.

- Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pani nieporównanie szlachetniej niż wówczas - oświadczył szczerze, niemniej zabrzmiało to obcesowo.

Natychmiast skarcił się w duchu. Niepotrzebnie wyrwał się z tą opinią. Na litość boską, co się z nim działo? Panna Aubrey miała prawo poczuć się urażona, zwłaszcza że wpatrywał się w nią badawczo. Przypomniawszy sobie, że milczenie jest złotem, więc uraczył się herbatą, jednocześnie próbując zebrać myśli. Po długiej przerwie skierował wzrok na żonę pastora.

- Zatem nasza droga znajda przebywała z państwem przez cały ten czas, używając nazwiska Aubrey? - zagadnął uprzejmie. - Jak rozumiem, nie udało się państwu ustalić jej prawdziwej tożsamości.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, łącznie z zamieszczeniem dyskretnie sformułowanych ogłoszeń w prasie - wyjaśniła pani Aubrey. - Usiłowaliśmy skontaktować się z kimkolwiek, kto wiedziałby o zaginięciu młodej kobiety o imieniu Elizabeth, lecz nikt się nie zgłosił. Wygląda na to, że biedna Beth pojawiła się znikąd, niczym duch.

- Ogromnie mi przykro, że niczego nie dało się zrobić w pani sprawie. - Jonathan zwrócił się do „biednej Beth”, która nagle pobladła. - Rzeczywiście nie zdołała pani pobudzić swojej pamięci przez te wszystkie miesiące?

- Niestety nie, panie hrabio.

Jonathana nasza refleksja, czy należy wierzyć Beth. Słyszał o wypadkach, kiedy to pozbawieni skrupułów ludzie żerowali na swoich dobroczyńcach, symulując utratę pamięci. Zastanawiał się, czy nie ma do czynienia z podobną sytuacją. Może Beth jest oszustką i dlatego tak zbladła? Państwo Aubreyowie, rozmyślał, są niesłychanie wspa- niałomyślni i szczodroblwi, więc źli ludzie bez trudu mogą ich oszukać.

- Przyznam, że to osobliwa sytuacja - oświadczył. - Czy doktor Willoughby wypowiedział się w tej kwestii? Jak mniemam, miał okazję zbadać pannę Aubrey.

- Gdybyśmy skonsultowali się z nim w sprawie utraty pamięci przez pannę Aubrey, wówczas jej przypadłość stałaby się tajemnicą poliszynela - zauważyła pastorkowa. - Pomijając wszystko inne, cóż może wiedzieć wiejski lekarz o tak skomplikowanej i nie- często spotykanej przypadłości? Wraz z mężem postanowiłam zatem uciec się do nie- winnego kłamstwa. Obwieściliśmy wszem wobec, że Beth jest naszą daleką krewną, która zdecydowała się zamieszkać z nami na pewien czas, jako że jej najbliżsi zmarli i pozostała sama.

- Rozumiem. Zatem nikt w okolicy nie wie, jak panna Aubrey tutaj trafiła?

- Część lokalnej szlachty podejrzewa, że Beth nie jest tym, za kogo się podaje. Mu- szę z przykrością zauważyć, że niektórzy nasi sąsiedzi zapominają o chrześcijańskich powinnościach i traktują ją jak służącą, nie zaś jak damę. - Pani Aubrey ze smutkiem po- kręciła głową. - Nie takiej postawy należałoby po nich oczekiwać.

- W istocie - zgodził się Jonathan. - Dawniej zdumiewała mnie dobroć i hojność wszystkich liczących się rodzin z naszej okolicy.

- To mogło mieć istotny związek z faktem, że pan był dziedzicem majątku oraz ty- tułu hrabiowskiego - zauważyła nieco kąśliwie Beth.

Jonathan uznał, że trudno się dziwić jej sceptycyzmowi, skoro spotykały ją nie- przyjemności. Obrzucił ją badawczym wzrokiem i zdumiał się, gdy odpowiedziała mu buńczucznym spojrzeniem.

- Tak się składa, droga pani, że wówczas nie byłem dziedzicem - odparł spokojnie. - Pierwszym w kolejności spadkobiercą był mój starszy brat. Zgadza się jednak, że jako dziecko arystokraty miałem nieco skrzywione spojrzenie na rzeczywistość. Z przykrością

dowiadam się, że nie zawsze była pani należycie traktowana. Opieka pastora winna być wystarczającym świadectwem godności kobiety, bez względu na jej status.

Ponownie pożałował swoich słów, gdy tylko je wypowiedział. Poczł się niezręcznie, ponieważ był odpowiedzialny za tę sytuację. Przecież uratował Beth od prawdopodobnej śmierci z zimna i wyczerpania i przekazał ją pastorostwu, choć nie przypuszczał, że zabawi ona na plebanii tak długo. Jeśli nie kłamała, to jego obowiązkiem było odwiedzenie jej tam, skąd przybyła. Jeśli zaś mieli do czynienia z oszustką, to on powinien ją zdemaskować.

Pani Aubrey położyła dłoń na jego rękawie.

- Gdybyś publicznie zademonstrował, że akceptujesz Beth, inne rodziny z pewnością poszłyby za twoim przykładem - powiedziała. - Jako hrabia Portbury, jesteś szlachetniej urodzony niż ktokolwiek z naszych sąsiadów.

Nie mijala się z prawdą, lecz Jonathan się zawahał, czy przystać na prośbę pastorewej. Przyszło mu do głowy, że lepiej byłoby zacząć od sprawdzenia, czy Beth

Aubrey zasłużyła na jego wsparcie. Gdy zwlekał z odpowiedzią, drzwi do salonu nagle się otworzyły.

- Przyszła lady Fitzherbert i pyta, czy...

Hetty nie zdołała dokończyć. Lady Fitzherbert, ubrana w kosztowne, szeleszczące jedwabie o barwie fioletu, w przystrojonym piórkami kapelusiku na głowie, bezceremonialnie odepchnęła służącą i wmaszerowała do pokoju. Zdawkowo dygnęła przed panią Aubrey, po czym z miejsca zabrała się do utyskiwania.

- Przychodzę, aby poskarżyć się pastorowi w niebywale pilnej sprawie, a tymczasem służąca powiada, że nie ma go dla nikogo - oznajmiła wyraźnie niezadowolona. - Śpieszę zaprotestować. Nie jestem...

Jonathan wstał w tym samym momencie, co pani Aubrey, ale poza tym nie zrobił niczego, by skupić na sobie uwagę nowo przybyłej. Postanowił w milczeniu obserwować przebieg wypadków.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie - odparła spokojnie pastorowa. - Wielbny nie może się z panią widzieć, bowiem nie ma go w domu. Spodziewam się jednak, że powróci w ciągu godziny, może zatem zechciałaby pani...

- Ależ to hrabia Portbury! Wspaniale jest widzieć pana całego i zdrowego! - Lady Fitzherbert raptownie odwróciła się od gospodyni i elegancko dygnęła.

Jonathan wiedział, że za moment będzie zmuszony obejrzeć popis służalczości najgorszego gatunku. Sir Bertram Fitzherbert i jego niesympatyczna żona pojawili się w okolicy stosunkowo niedawno, jednak uważali się za nieporównanie lepszych od innych. W ich oczach Beth, bez odpowiedniego pochodzenia i statusu społecznego, była nikim, osobą niegodną nawet wzmianki. Uznał, że takie zachowanie jest obraźliwe zarówno wobec niego, jak i Beth. Jakkolwiek patrzeć, to on ją znalazł, a słowo pastora powinno w zupełności wystarczyć. Doszedł do wniosku, że należy odpowiednio zmitygować lady Fitzherbert.

- Sir Bertram będzie zachwycony wieścią o tym, że pan hrabia powrócił do rezydencji - kontynuowała lady Fitzherbert. - Doprawdy, w tych okolicach ze świecą szukać arystokracji z krwi i kości.

- Cóż, życie na wsi wiąże się z pewnymi ograniczeniami - wtrącił Jonathan, kiedy tylko umilkła, aby nabrać powietrza. - Jest tu jednak kilka rodzin, do których można dotrzeć łatwo i szybko. Pod moją nieobecność we Fratcombe mogli państwo cieszyć się towarzystwem pastorostwa oraz panny Aubrey, rzecz jasna. - Odsunął się na bok, żeby lady Fitzherbert zobaczyła leżącą na kanapie Beth. - Jak rozumiem, panie już się znają, prawda?

- Ja... uhm... - Lady Fitzherbert zacisnęła usta. Przez kilka sekund wpatrywała się z góry w Beth, po czym odwróciła głowę, by popatrzeć na panią Aubrey. - Przykro mi, ale na mnie pora. Proszę przekazać wielebnemu, że sir Bertram usuwa bandę Cyganów, która miała czelność wdrzeć się na nasze ziemie. Sir Bertram jasno oświadcza, że nie życzy sobie, by ktokolwiek w tej okolicy dawał schronienie tym przybłędom. Dotyczy to wszystkich, bez wyjątku.

- Dziwi mnie, że pani mąż nie pofatygował się osobiście, aby przekazać tak ważne polecenie.

Lady Fitzherbert zarechotała nieprzyjemnie.

- Och, sir Bertram przenigdy nie ośmieliłby się wydawać poleceń wielebnemu - odparła. - Chodzi o... przestrożę.

Jonathan miał tego serdecznie dosyć.

- Pastor Aubrey z pewnością będzie pani wdzięczny, tyle że ostrzeżenie sir Bertrama jest cokolwiek spóźnione - wycedził. - Cyganie rozbili obozowisko na terenie mojej posiadłości.

Lady Fitzherbert odetchnęła głęboko i poczerwieniała jak burak.

- Ponieważ pastora nie ma z nami, nie będę dłużej zaprzętała pani głowy - zwróciła się do pani Aubrey i dodała: - Panie hrabio. - Ponownie dygnęła przed Jonathanem, zdawkowo ukloniła się pastorowej i wyszła, nie czekając na służącą.

- A to dopiero! - Pani Aubrey skierowała wzrok na Jonathana i zmarszczyła brwi. - Odkąd Cyganie mogą obozować na twoich gruntach?

- Właściwie wcześniej do tego nie dochodziło, niemniej...

- Panie hrabio, proszę nie dopuścić do tego, aby sir Bertram Fitzherbert wygnał tych biedaków z Fratcombe - odezwała się Beth. - Ucierpią na tym ich konie oraz dobytki, nie mówiąc o licznych bezbronnych dzieciach i...

Jonathan uniósł dłoń, aby powstrzymać pannę Aubrey. Znowu stwarzała problemy - teraz najwyraźniej postawiła sobie za cel wystąpić w obronie społecznych wyrzutków.

- Zapowiedziałem, że mogą korzystać z mojej ziemi co najmniej przez tydzień bądź dwa - oznajmił.

- Nie cofnę danego słowa.

W gruncie rzeczy nie zamierzał tego robić, chyba że Cyganie nadużyliby jego gościnności. Postanowił poinstruować swoich ludzi, aby dawali baczenie na przybyszów i informowali go o wszelkich kradzieżach lub dewastacjach. Przy pierwszym tego typu zdarzeniu planował odprawić cały tabor. Doświadczenie podpowiadało mu, że dojdzie do tego za kilka dni.

- Dziękuję, panie hrabio - powiedziała Beth. - Uczulę ich, aby zachowywali się należycie.

- Pani? Utrzymuje pani kontakty z Cyganami?

Beth zarumieniła się, ale jednocześnie buńczucznie uniosła głowę.

- Jestem nauczycielką we Fratcombe - odparła. - Uczę wszystkie dzieci w okolicy, niezależnie od ich pochodzenia.

- Drogi Jonathanie, wiedz, że Beth od czasu do czasu odwiedza obozowisko, aby dawać lekcje dzieciom - wtrąciła pani Aubrey. - Chodzi o naukę czytania i zapoznanie z Biblią. Cyganie również są dziećmi bożymi.

Pastor często wspominał w kazaniach o miłosiernym Samarytaninie i teraz Jonathan miał okazję dowieść, że wziął sobie do serca nauki wielebnego.

- Ma pani rację. Dlatego krzywdą nie spotka ich z mojej strony pod warunkiem, że okażą szacunek prawu. Nie zwykłem prześladować bezdomnych i wagabundów.

Pani Aubrey uśmiechnęła się do Jonathanana.

- W rzeczy samej - przyznała. - Co więcej, ratujesz ich, drogi chłopcze. Dzięki tobie mamy córkę, o której zawsze marzyliśmy.

Jonathan pojął, że sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. Jeśli Beth jest oszustką, to nie może jej zdemaskować, nie krzywdząc przy tym pastorostwa, a szczególnie pani Aubrey, a tego pragnął za wszelką cenę uniknąć. Pastorowa była dla niego niczym matka, kiedy wraz z bratem dorastał we Fratcombe, i pocieszała go po jego śmierci. Dzięki jej wsparciu mógł stawić czoło pogrążonemu w żałobie ojcu, który uważał pozostałego przy życiu syna za niegodnego zastępcę prawowitego dziedzica. Jonathan często się zastanawiał, czy pani Aubrey wiedziała, jak bardzo mu zależało na zyskaniu sympatii i szacunku ojca. Nigdy nie poruszyła tego tematu, ale zarówno ona, jak i pastor doskonale rozumieli ludzkie ułomności i z pewnością dostrzegali, jak bardzo Jonathan się starał i jak niewiele osiągnął.

Ojciec wychowywał go według własnych reguł i dlatego konsekwentnie zakorzenił w nim dystans oraz nieufność do innych. Niemal mu się udało, jednak nie zdołał podważyć zaufania syna do pastorostwa. Jonathan uważał, że są to chyba jedyni dobrzy ludzie, których znał, a skoro pokochali Beth...

Odwrócił się do niej.

- Czy lady Fitzherbert kiedykolwiek panią przywitała? - spytał pełnym napięcia głosem.

Beth zarumieniła się i, kręcąc głową, opuściła wzrok na zaciśnięte dłonie.

Zatem ta nieznośna i arogancka kobieta usiłowała zająć należną mi pozycję w towarzystwie, uznał Jonathan. Porażka w sprawie Cyganów nie mogła wystarczyć. Należa-

ło publicznie wskazać lady Fitzherbert należne jej miejsce, najlepiej wykorzystując do tego sprawę Beth Aubrey.

- Noszę się z zamiarem urządzenia wykwintnej kolacji, na którą zaproszę wszystkie szlacheckie rodziny z okolicy - oznajmił. - Pani Aubrey, gdyby zechciała pani pełnić honory gospodyni wraz ze swą podopieczną, nauczylibyśmy naszych niekulturalnych sąsiadów, że pannę Aubrey należy traktować z należyтым szacunkiem.

- Ależ, panie hrabio, pan nie może... - zaprotestowała słabo Beth.

- Mogę i zrobię to, o ile pani Aubrey wyrazi zgodę - przerwał jej. - Czy aprobuję pani mój plan?

Pastorowa mrugnęła do niego porozumiewawczo.

- Jak najbardziej, drogi Jonathanie. Twój plan z pewnością się powiedzie, gdyż żadna licząca się rodzina nie odrzuci zaproszenia hrabiego Portbury'ego. Nawet jeśli ceną za to jest zaaprobowanie panny Elizabeth Aubrey.

Jonathan ujął dłoń pastorowej i serdecznie ją ucałował.

- Zatem umowa stoi - oświadczył.

Beth pomyślała, że jej dobroczyńcy zawarli porozumienie, jednak żadne z nich nie raczyło spytać jej o zdanie. Innymi słowy, nadal była traktowana przedmiotowo.

- Istnieje niebezpieczeństwo, że w dniu przyjęcia fatalnie rozboli mnie głowa - ostrzegła zirytowana.

- Bardzo proszę, aby pani postarała się tego uniknąć - powiedział Jonathan.

Sięgnął po stojące przy drzwiach krzesło i postawił je przy kanapie, na której leżała Beth. Gdy usiadł i wziął ją oburącz za dłoń, przyszło jej do głowy, że jego uścisk jest łagodny i krzepiący. Wyczuła na ręce Jonathana zgrubienia od konnej jazdy oraz fechtunku. Miała do czynienia z człowiekiem czynu, a nie z dandysem.

- Może spróbuje pani potraktować to przedsięwzięcie nie jak zemstę na małostkowych ignorantach, ale jak życzliwy gest wobec pastorostwa - powiedział. - Jakkolwiek patrzeć, ofiarowali pani schronienie i przyjęli pod swój dach. Świadomość, jak traktuje panią okoliczna szlachta, to dla nich policzek. Zgadzając się na uczestnictwo w mojej kolacji i prezentując siłę woli, spłaci pani część długu zaciągniętego u państwa Aubrey-ów. Chyba pani to dostrzega?

Rzecz w tym, że w tej chwili Beth towarzyszyło wrażenie, że spogląda na świat przez mgłę. Dotyk Jonathana ją elektryzował i przyprawiał o przyspieszone bicie serca. Kręciło się jej w głowie, jakby lada moment miała zemdleć. Gdy usiłowała coś powiedzieć, słowa nie przechodziły jej przez gardło.

- Panno Aubrey, czy zgodzi się pani przez wzgląd na naszą zacną pastorową?

Nie miała wyboru.

- Uczynię, o co pan hrabia prosi - odparła stłumionym głosem.

- Dziękuję. - Hrabia ucałował ją w rękę, podobnie jak przed chwilą panią Aubrey.

Beth ogarnęła fala ciepła. Nie było to ani szczególnie przyjemne, ani całkiem przykre. Siedziała bez ruchu, usiłując odzyskać przytomność umysłu. Jonathan pocałował ją w rękę! Zwrócił się do niej po imieniu! Wyglądało na to, że nie zauważył jej reakcji. Po krótkiej chwili puścił dłoń Beth, odstawił krzesło pod ścianę przy drzwiach i ponownie zajął miejsce przy pani Aubrey.

- Doskonale. - Odetchnął z zadowoleniem. - W takim razie muszę panią poprosić o sprawowanie nadzoru nad przygotowaniem. Tak się składa, że na kilka tygodni wyjeżdżam do King's Portbury. Nim jednak opuścę Fratcombe, zastanowimy się wspólnie, kogo należy zaprosić. Zapowiada się pierwszorzędna rozrywka!

Pastorowa lekko ściągnęła brwi.

- Wszyscy ci ludzie zostaną należycie ukarani za brak chrześcijańskiej wspaniałości, drogi Jonathanie, ale nie zapominaj o moralnych zasadach - napomniała go. - Pamiętaj, że wyrozumiałość jest cnotą. Nie wolno ci czerpać nadmiernej uciechy z tego, co zrobimy, gdyż dopuściłbyś się grzechu.

- Postaram się zapanować nad niskimi instynktami. Poza tym wiem, że moja wspaniałość i wyrozumiałość przeważą, gdyż wprowadzę plan w życie z pani pomocą.

- Zaśmiał się szczerze. - Obiecuję, że wszystko dobrze się skończy. Potrzeba nam tylko czasu.

- Na co? - W progu stanął pastor. Ze zdumioną miną powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. - Czy mam rozumieć, drogi chłopcze, że pod moim dachem spiskujesz z moją żoną?

Jonathan zerwał się na równe nogi i uprzejmie uklonił.

- Pani pastorowa życzliwie zgodziła się pełnić honory gospodyni podczas uroczystej kolacji, którą zamierzam wydać w przyszłym miesiącu - wyjaśnił. - Mam nadzieję, że wielebny nie ma nic przeciwko temu?

Rozbawiony pastor spoważniał.

- Ależ skąd - odparł. - Wiem, że uczestnictwo w przyjęciach musi być ci wyjątkowo niemiłe. Słyszeliśmy o śmierci twojej żony i jest nam niezmiernie przykro. Z pewnością ciężko to przeżyłeś, zwłaszcza że smutne wieści dotarły do ciebie, gdy przebywałeś na obczyźnie. Zechciej przyjąć nasze najszczerze kondolencje.

Jonathan pobladł.

- Dziękuję - szepnął.

Beth nie posiadała się ze zdumienia na widok jego przemiany. Na wzmiankę o żonie wyraźnie przygasł, zupełnie jakby w jednej chwili postarzał się o kilka lat. Z pewnością ogromnie ją kochał, skoro tak cierpiał po jej odejściu. Nie mógł opuścić posterunku w Hiszpanii i należycie pożegnać się z najdroższą osobą, a gdy dotarły do niego smutne wieści, było już dawno po pogrzebie. Biedaczysko...

- Jak rozumiem, twoja żona zmarła wskutek gorączki? - Pastor jak zwykle starał się być uprzejmy w obliczu tragedii i pragnął dać cierpiącemu okazję do rozmowy o utraconej osobie.

- Jestem wielebnemu wdzięczny za współczucie, niemniej proszę o wybaczenie, gdyż nie chciałem mówić o śmierci żony - oznajmił nieco sztywno hrabia. - Minął już ponad rok. Mam nadzieję, że pastor to rozumie.

- Ależ oczywiście, drogi chłopcze. Jak najbardziej.

Przyjemna atmosfera w saloniku wyparowała bez śladu. Hrabia uklonił się pani Aubrey i zdawkowo skinął głową Beth.

- Panie wybaczą, ale mam mnóstwo spraw do załatwienia przed wyjazdem z Fracombe - oświadczył, skinął głową pastorowi, a następnie pośpiesznie wyszedł.

Beth z trudem zwlekła się z łóżka i w ostatniej chwili dobiegła do miski. Od wielu miesięcy nie doskwierała jej tak silna migrena, ale wczorajsze spotkanie z Jonathanem przywołało wszystkie jej obawy, a także poczucie winy. Przez całą noc przewracała się z boku na bok, a teraz z trudem znosiła uporczywe dudnienie w głowie oraz mdłości.

Sięgnęła po ręcznik, zanurzyła go w dzbanie z zimną wodą i przetarła twarz. Potem wróciła do łóżka i znieruchomiała, ciężko dysząc. Uznała, że nie warto zapalać świecy. Na tym etapie migreny i tak mało co widziała. Czuła się tak, jakby trafiła do mrocznego tunelu, w którym od czasu do czasu pojawiały się oślepiające błyski.

Usiłowała odegnać lęki, oczyścić umysł ale myśli uporczywie tłukły się w jej głowie. Zgodziła się wystąpić w roli honorowej gospodyni na kolacji w posiadłości hrabiego Portbury'ego i będzie musiała znosić wycelowane w siebie palce oraz szeptane obelgi. Zasłużyła na to, skoro jest nikim. Uległa prośbie hrabiego, zgodziła się na udział w przyjęciu i nie może się wycofać.

Ponownie dopadła ją fala nudności. Podeszła do miski i tym razem przyniosła ją i postawiła na podłodze koło łóżka. Czuła się coraz gorzej. Do tej pory bóle głowy trwały godzinę lub dwie i zdołała zataić je przed pastorostwem, a nawet przed Hetty. Na ogół jednak nie dręczyły jej wymioty, których przecież nie miała szansy ukryć. Przez dłuższy czas leżała na plecach, z zamkniętymi oczami, i trzęsła się, zupełnie jakby był środek zimy, nie zaś pełnia lata. Usiłowała głęboko oddychać, rozmyślać o kwiatkach na łące albo o roześmianych dzieciach. W końcu dreszcze ustąpiły i udało się jej zdrzemnąć.

We śnie znajdowała się w przestronnej jadalni, niewątpliwie w porze Gwiazdki, gdyż pomieszczenie udekorowane było ostrokrzewem i bluszczem. W jednej chwili siedziała na honorowym miejscu przy stole, w następnej wszyscy goście wytykali ją palcami, wrzeszczeli obelgi, ciskali w nią gałązkami. Uniosła ręce, żeby osłonić się przed nimi, a wtedy poczuła, że na jej dłoniach rozmazują się śluzowate jagody jemioli. Nie bronili jej nawet Aubreyowie. Skuliła się, wystraszona napaścią. Broniła się przed natarczywymi rękami, które usiłowały ją pochwycić...

- Panienko Beth! Panienko Beth, proszę się zbudzić!

Z trudem rozchyliła powieki, czując, że ma mokrą, zimną szmatkę na czole. Przekonała się, że Hetty kręci się przy niej niespokojnie i ociera pot z jej twarzy. Nastął ranek i przez okiennice wpadały promienie słońca, błogosławione światło, na które Beth wreszcie mogła patrzeć. Tunel znikł.

- Ma panienka jedną ze swoich migren - zauważyła Hetty. - Powiem pani Aubrey, a potem zaparzę panience herbatki miętowej.

- Nie mów nic cioci, proszę - szepnęła Beth.

Pokojówka pokręciła głową.

- Muszę - odparła. - Przecież w takim stanie nie może panienka uczyć dzieci. - Wskazała brodą miskę na podłodze. - Ja wiem, że panienka ukrywa bóle głowy, ale tym razem to coś gorszego. Pani Aubrey będzie chciała, żeby panienka została w łóżku, aż choroba ustąpi.

Beth usiłowała zaprotestować, próbując wstać, ale okazało się to ponad jej siły. Nudności momentalnie powróciły, więc opadła na poduszki i znieruchomiała, żeby uspokoić podrażniony żołądek.

- Niech panienka leży spokojnie i głęboko oddycha - poradziła jej Hetty. - Ani się panienka obejrzy, jak wrócę z naparem.

Uśmiechnęła się i wybiegła z sypialni.

Beth potulnie zastosowała się do polecenia. Nie miała wyboru. Do czasu ustąpienia ataku nie mogła nic działać, pozostały jej tylko rozmyślania. Obiecała hrabiemu, że zrobi to, o co ją poprosił. Podkreślił przy tym, że chodzi o dobro pastorstwa. Kiedy trzymał ją za rękę, gotowa była uczynić wszystko, bez względu na to, czego by zapragnął. Wcześniej udzieliła sobie reprimendy za to, że widzi w nim rycerza w srebrnej zbroi. Teraz postrzegala go jako mężczyznę energicznego i pociągającego, co było jeszcze głupsze. Nie powinna wiązać z nim żadnych nadziei, przecież jest arystokratą, a ona znajdują bez przeszłości, nawet bez nazwiska. Jeśli jej senne koszmary miały cokolwiek wspólnego z prawdą, to zapewne, w dawnym życiu uczyniła coś bardzo złego, a jej obecne cierpienia to zasłużona kara.

Może kolacja w posiadłości hrabiego to mordęga, przez którą musi przejść, by oczyścić się z grzechu? Świadomość ta okazała się dziwnie kojąca, a dudnienie w głowie zaczęło słabnąć. Uznała, że to znak, którego nie powinna lekceważyć. Trzeba znaleźć sposób na to, by stawić czoło wyzwaniu i je przetrwać. Tylko tak mogła pokonać nawiedzające ją demony.

Późnym popołudniem Jonathan wszedł do salonu matki we wschodnim skrzydle Portbury Abbey, swojej największej posiadłości. Wdowa przesiadywała tam popołudniami, aby uniknąć słońca, które, jak twierdziła, jest zabójcze dla cery damy. Odkąd syn

wrócił z Hiszpanii brązowy niczym orzech, przestała dodawać, że promienie słoneczne katastrofalnie wpływają również na karnację dżentelmena.

- Jonathanie! - wykrzyknęła. - Nareszcie!

- Dzień dobry, mamó. - Podszedł bliżej, aby ucałować ją w rękę. - Mam nadzieję, że zastaję cię w dobrym zdrowiu.

- Nie narzekam, mój drogi. - Poklepała miejsce obok siebie, ale nim zdążył usiąść, popatrzyła na niego pytająco. - Czy zleciłeś, by przyniesiono nam herbaty? Naturalnie, że nie - odpowiedziała samej sobie. - Bądź tak uprzejmy i zadzwoń po kamerdynera.

Zatem nic się nie zmieniło, uznał hrabia. Matka miała dobre intencje, ale nadal traktowała synów tak, jakby nie wyrosli z krótkich spodenek. Zastanawiał się, ile czasu potrzeba, aby jej zachowanie ponownie skłoniło go do opuszczenia rodzinnego domu. Wprawdzie zapowiedział, że pozostanie w Portbury Abbey przez trzy tygodnie i zajmie się sprawami posiadłości, ale już nabrał ochoty, żeby wymyślić pilny powód powrotu do Fratcombe. To przypomniało mu o powinności, której starał się uniknąć. Jeśli chciał przeorganizować dom zgodnie z własnymi oczekiwaniami, to należało się ożenić. Tym razem jednak zamierzał samodzielnie wybrać towarzyszkę życia, a na to potrzebował czasu. Wierzył, że w końcu nowa hrabina obejmie tu rządy, jego matka zaś przeniesie się do Wdowiego Domu. Z biegiem czasu sytuacja się ustabilizuje, a on odzyska spokój.

Drzwi się otworzyły, lecz Jonathan nawet nie spójrzył w ich kierunku. Wydawanie poleceń służbie było rolą jego matki.

- Och, proszę o wybaczenie! - rozległ się młodzieńczy głosik.

To nie mogła być służąca.

Jonathan odwrócił się raptownie. W progu stała bodaj najśliczniejsza młoda kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Złociste loki wiły się wokół jej twarzy w kształcie serca, oczy o barwie niezapominajek zajmowały niemal pół twarzy. Matka znowu zabawiła się w swatkę, domyślił się bez trudu. Zastanawiał się, ile piękności sprowadziła do domu, żeby go kusić. Czyżby odwiedziny w interesach zamierzała zamienić w serię wieczorów zapoznawczych?

Śliczna młoda dama dygnęła i dopiero potem weszła do pokoju.

- Proszę o wybaczenie - powtórzyła. - Gdybym wiedziała, że ma pani towarzystwo, z pewnością nie zaprzętałabym jej głowy.

- To mój syn, Jonathan, który wrócił do domu, by przejąć obowiązki gospodarza. Najwyższy czas! - Hrabina wdowa wstała. - Czy pozwolisz, że ci go przedstawię, drogie dziecko?

Policzki dziewczęcia przybrały barwę dojrzałych truskawek.

- Lady Cissy, to mój syn, hrabia Portbury, do niedawna major w armii ekspedycyjnej w Hiszpanii - oznajmiła z dumą hrabina. - Jonathanie, poznaj lady Cissy Middleton, drugą córkę księcia Sherford.

Hrabia powściągnął gniew i uklonił się kurtuazyjnie.

Jakkolwiek patrzeć, to nieszczęsne dziewczę nie odpowiadało za przewinienia jego matki. Lady Cissy ponownie dygnęła, po czym z wystudiowaną elegancją podała mu dłoń.

- Jestem zachwycona, mogąc wreszcie poznać pana hrabiego - oświadczyła. - Spojrzała na niego spod gęstych, złocistych rzęs, a następnie szeroko otworzyła oczy, jakby spoglądała na urzekające zjawisko.

Jonathan pomyślał, że do jej zachowania wyjątkowo pasują słowa „nienaturalne” i „wystudiowane”. Czemu jego matka zawsze przedkładała rangę i pozory nad zasady i uczciwość? Mimowolnie przypomniał sobie cięte riposty Beth Aubrey i ogarnął go większy podziw niż wtedy, gdy ich wysłuchiwał. Beth była szczerą, broniła słabszych i, w przeciwieństwie do lady Cissy, nie flirtowała. Pomógł nowej znajomej zająć miejsce obok jego matki. Miał poczucie, że czeka go bardzo nużące popołudnie.

Wystarczyły trzy zdania wypowiedziane przez lady Cissy, by potwierdziły się jego najgorsze obawy. Młodziutka piękność miała pusto w głowie, zresztą jak większość podobnych jej młodych dam. Co więcej, chichotała piskliwie i głośno, co każdego przyzwoitego mężczyznę musiałoby prędzej czy później wpędzić w alkoholizm.

Rozdział czwarty

Jonathan zignorował obecność brata przy stole i w milczeniu jadł śniadanie. Przez trzy niekończące się tygodnie tkwił w Portbury Abbey niczym więzień we własnym domu. Ucieczka nie wchodziła w grę, bo pod jakim przekonującym pretekstem mógłby opuścić pełną gości posiadłość? Dobre maniere zmusiły go do pozostania na miejscu. Żadna z przybyłych piękności nie zdołała go usidlić i skłonić do oświadczeń, choć kilka z nich uciekło się do przebiegłych sztuczek. Pozostałe były tak onieśmiałe, że w jego obecności stały niczym słup soli, albo tak głupie, że rozmowa z nimi śmiertelnie go nudziła. Co oczywiste, wszystkie mogły się poszczycić pochodzeniem bądź urodą, jednak Jonathanowi to nie wystarczało. Nie mógł się doczekać ich jutrzejszego wyjazdu. Wśród kandydatek nie dostrzegł ani jednej kobiety, przy której mógłby odnaleźć upragniony spokój.

W pewnej chwili drzwi się otworzyły i do środka wszedł nieoczekiwany gość.

- Panna Mountjoy! Jak miło! - wykrzyknął brat Jonathana, George Foxe-Garway. Zerwał się od stołu i postąpił o krok, żeby ucałować dłoń nowo przybyłej.

Ruchem ręki odprawił kamerdynera i sam podsunął jej krzesło.

Jonathan również wstał i lekko pochylił głowę w symbolicznym geście powitania. Poznał tę kobietę na tydzień przed ślubem z Alicią i od pierwszego wejrzenia jej nie ufał. Louisa Mountjoy była wieloletnią, bliską przyjaciółką Alicii i wkrótce się okazało, że przecucie nie myliło Jonathana. W pierwszych tygodniach po ślubie Alicia odgrywała rolę kochającej, troskliwej żony, zarówno w domu, jak i publicznie. Z perspektywy Jonathana było to cudowne wyzwolenie się spod emocjonalnej tyranii ojca. Ponownie odważył się żywić uczucia, a nawet je okazywać. Wszystko zmieniło się w dniu jego dwudziestych pierwszych urodzin, kiedy to przyłapał nagą Alicię na miłosnych igraszkach z Louisą Mountjoy.

Pojął, że został wykorzystany, ale nic nie mógł na to poradzić z obawy przed skandalem. Do końca życia będzie związany z kobietą, która publicznie będzie odgrywała rolę jego żony, ale prywatnie nie zechce dzielić z nim łoża. Wtedy to poprzysiągł sobie, że nikt, a w szczególności kobieta, nie zyska nad nim takiej mocy, aby go upokorzyć. Wy-

glądało na to, że ojciec miał słuszność, twierdząc, że mężczyzna winien wystrzegać się uczuć, gdyż jedynie go osłabiają.

Jonathan uwolnił się od Alicii, ale nie od Louisy Mountjoy. Zgodnie z zapisem w testamencie zmarłej żony, miał obowiązek zapewnić jej kochance roczną rentę, aby do końca swych dni mogła być niezależna finansowo. Jonathan był pewien, że po powrocie z Hiszpanu nie zastanie Louisy Mountjoy w King's Portbury. Niestety, zamieszkała w niedużym domu nieopodal jego posiadłości. Jonathan uznał, że za późno na wtajemniczenie matki w prawdę o jego małżeństwie.

George, jedyny pozostały przy życiu brat Jonathana, z ożywieniem gawędził z Louisą Mountjoy. Sądząc po jego minie, miał na temat tej podstępnej kobiety równie wysokie mniemanie jak hrabina. Ten fakt budził uzasadnione zdumienie Jonathana, który wiedział, w jakich kobietach gustuje jego brat. George był stałym bywalcem burdeli i nie miał nic przeciwko napastowaniu bezbronnych pokojówek. Nie robił tego jednak w King's Portbury, odkąd Jonathan omal nie złamał mu szczęki, po czym dobitnie wyjaśnił, że jeszcze jeden taki wybryk, a wyrzuci go na zbity pysk i pozbawi wszelkich środków do życia.

Gdyby posiadłością zarządzał George, żadna kobieta nie byłaby bezpieczna, podobnie jak, choć z innych powodów, żaden dzierżawca. George nie miał pojęcia o obowiązkowości. Uważał, że posiadłość powinna generować zyski, które on będzie przeznaczał wyłącznie na własne przyjemności. Pod nieobecność Jonathana George „przekonał” zarządcę Fratcombe do przekazania mu znaczących sum w formie zaliczki na poczet ewentualnego odziedziczenia spadku po wojującym w Hiszpanii bracie. Skutki tej niefrasobliwości okazały się katastrofalne, co Jonathan uświadomił sobie przy okazji krótkiego urlopu. Wiedział, że ofiarą poczynań jego brata wkrótce padnie King's Portbury, zrezygnował więc ze służby wojskowej i wrócił do Anglii, aby uratować posiadłości przed George'em. Skierował wzrok na Louisę Mountjoy.

- Czemu zawdzięczamy pani wizytę? - spytał. Panna Mountjoy zjawiła się o dość osobliwej porze.

Większość goszczących w posiadłości dam jeszcze spała, a te, które się obudziły, jadły śniadanie w łóżku.

- Och, to nic ważnego w porównaniu z trudnym zadaniem kierowania posiadłością - odparła. - Przyniosłam pewien przepis, który obiecałam lady Portbury.

Przepis? - zdziwił się w duchu Jonathan. Matka nie zaprzętała sobie głowy gotowaniem, które wolała pozostawić kucharkom. Panna Mountjoy usiłowała go oszukać w wyjątkowo nieudolny sposób. Wiedział z doświadczenia, że ta kobieta nie robi niczego bez przyczyny.

- Obawiam się, że mama przebywa nadal w swojej sypialni - wtrącił George. - Mniemam jednak, że wkrótce zejdzie na śniadanie. Może miałaby pani ochotę na filiżankę kawy bądź czekolady?

Panna Mountjoy obrzuciła uważnym spojrzeniem Jonathana, który wpatrywał się w nią z kamienną twarzą.

- Niestety, mam ważne sprawy do załatwienia i w tej sytuacji opuszczę panów - odparła, po czym wstała i sięgnęła po rękawiczki.

Obaj bracia podnieśli się z miejsc.

- Jeśli zechce pani przekazać mi przepis, osobiście dopilnuję, by trafił on w ręce mojej matki. - Jonathan wyciągnął rękę do panny Mountjoy.

- Właściwie... nie... Dziękuję, wolę wręczyć go osobiście. Zasadniczo nie ma pośpiechu, a przepis... jak by to ująć... wymaga omówienia.

George postanowił interweniować, nim panna Mountjoy pogubi się we własnych kłamstwach.

- Nie musisz się angażować w tę sprawę, Jonathanie - oznajmił. - Wspomnę o tym mamie, gdyż dzisiejszego ranka zabieram ją na przejażdżkę.

- Jestem przekonana, że hrabina Portbury będzie zachwycona. Pan tak świetnie powozi - pochwaliła go panna Mountjoy.

George z dumą uniósł głowę.

- Tak się składa, że zamierzałem przewietrzyć mój zaprzęg, aby konie trochę się wyhasały przed późniejszą przejażdżką - powiedział. - Mama woli spokojne spacery. Może odwiozę panią do wsi?

- Ach, to byłoby doprawdy cudownie!

Jonathan uklonił się z obojętną miną i powiódł wzrokiem za bratem i panną Mountjoy, odchodzącymi ramię w ramię. Mógłby przysiąc, że ta kobieta szepcze George'owi do ucha, gdy tylko minęli próg. Czyżby coś ich łączyło? Wykluczone, Mountjoy nie interesowała się mężczyznami. Dlaczego zatem tak znakomicie się dogadywali? Może postanowili wspólnie konspirować, żeby wyciągnąć pieniądze z posiadłości?

Musi mieć się na baczności, i to przed własnym bratem! Westchnął ciężko i zapatrzył się w dal, z filiżanką kawy uniesioną w pół drogi do ust. Rozmyślenia o wadach George'a nie miały sensu. Był samolubny i rozrzutny, a dla pieniędzy zrobiłby niemal wszystko. Nawet ich matka przestała szukać dla niego usprawiedliwień.

- Dzień dobry, Jonathanie.

Zaskoczony hrabia drgnął, hałaśliwie odstawił filiżankę i zerwał się z krzesła,

- Dzień dobry, mamó. - Gdy pomagał jej usiąść, kamerdyner jak zwykle poszedł po dzbanek z czekoladą, którą codziennie pijała. - Czy mogę spytać, dlaczego przychodzisz o tak wczesnej porze?

- Jako gospodyni mam obowiązek dbać o dobre samopoczucie gości - odparła. - Ponadto George zabiera mnie na poranną przejażdżkę. Czy zdążył już wstać?

- Dawno temu, mamó. Tyle że wyjechał, aby ułagodzić konie. Uważa, że jesteś nerwową pasażerką.

- Nic podobnego. Lubię jednak, gdy konie są dobrze ułożone, a tymczasem George stale kupuje niesforne wierzchowce.

Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że George gustuje w koniach, z którymi ledwie daje sobie radę. Wmawiał sobie, że powozi równie umiejętnie jak Jonathan, gdyż irytowało go, że nie dorasta bratu do pięt.

Kamerdyner wkrótce przyniósł dzbanek z czekoladą, a lady Portbury odprawiła go skinieniem głowy.

- Zadzwoń, jeśli będzie mi potrzeba czegoś jeszcze - oznajmiła.

Służący uklonił się i opuścił pokój, cicho zamykając za sobą drzwi. Jonathan wiedział, na co się zanoszą.

- Muszę z tobą poważnie porozmawiać - usłyszał.

Sięgnął po dzbanek z kawą, żeby nalać sobie jeszcze jedną filiżankę. Niestety, dzbanek okazał się pusty, jednak Jonathan nie dzwonił po kamerdynera, tylko westchnął i usiadł wygodniej na krześle.

- Słucham, mamó - powiedział.

- Drogi chłopcze, zapełniłam dom najatrakcyjniejszymi pannami z wyższych sfer. Jak zwykle znakomicie wcieliłeś się w rolę gospodarza, lecz nie widziałam, byś... - Westchnęła ze zniecierpliwieniem. - Czy żadna z nich nie przyciągnęła twojej uwagi? Co z panną Danforth? Przecież to rozkoszna dziewczyna, o lady Cissy też nie da się złego słowa powiedzieć. Nawet ty musisz przyznać, że jest urocza.

Jonathan przez chwilę wpatrywał się w sufit, a potem sięgnął po filiżankę i zaczął obracać ją w dłoniach, podziwiając finezyjną porcelanę.

- Mamó, obie są ładne i dobrze ułożone, lecz żadna z nich nie ma jednej interesującej myśli w pustej głowie - odparł. - Spędziły długie lata na nauce i należałoby oczekiwać, że coś wyniosły z lekcji. Nic bardziej mylnego.

- Przecież one są bardzo młode. Dopiero niedawno zyskały status panien na wydaniu. - Lady Portbury położyła dłoń na ramieniu syna. - Mąż może wedle uznania kształtować żonę. Za kilka lat będzie dokładnie taka, jak sobie wymarzysz.

- Czy na pewno? - Nieżyjący hrabia wierzył w sens kształtowania panien, nawet brutalnie, jeśli zajdzie potrzeba. Jonathan nigdy nie poszedłby za jego przykładem. Pragnął kobiety spokojnej i z zasadami, nie zaś pustej szczebiotki, bezwolnej kukły. - Te dziewczęta mogłyby być moimi córkami. Nie wezmę za żonę dziecka.

- W takim razie po naszym powrocie do stolicy zorganizuję kilka przyjęć w londyńskiej rezydencji i zaproszę na nie bardziej dojrzałe, samotne damy. Znajdzie się także parę wdów o nienagannej reputacji. Może one cię zainteresują, skoro...

Jonathan energicznie kręcił głową, nim matka skończyła mówić, i powiedział:

- Nie, mamó. Natychmiast po wyjeździe gości wracam do Fratcombe.

- Do Fratcombe? Ale dlaczego? Przecież tam nie ma nikogo z wyższych sfer.

- Nie potrzebuję wyższych sfer, tylko praktycznego zajęcia. Pod moją nieobecność George doprowadził posiadłość na skraj bankructwa i teraz trzeba... - Urwał i zmarszczył brwi. - Nie rób takiej przygnębionej miny. Przecież nie mogłaś wiedzieć, co on wyczy-

nia. Przywrócenie Fratcombe do normalnego stanu potrwa kilka miesięcy i muszę przyznać, że z przyjemnością myślę o zadaniu, które mnie czeka - podkreślił hrabia. - Nie mógłbym tkwić w beczynności, tak jak tutaj.

- Przecież nie jesteś beczynny! - zaprotestowała lady Portbury. - Masz gości...

- Nie robię nic pożytecznego - przerwał jej ostro. Nigdy dotąd nie rozmawiał z matką takim tonem. - Błahe rozrywki z gośćmi nie są tym, do czego przywykłem przez ostatnie lata - dodał łagodniej.

- Wiedziałam, że wojsko będzie miało na ciebie fatalny wpływ - odparła z westchnieniem lady Portbury.

Ucałował jej dłoń na przeprosiny, choć zwykle zachowywał się bardziej powściągliwie.

- Mamo, wiem, że przysparzam ci zmartwień, choć bardzo się starasz. Po prostu mamy odmienne poglądy na to, czego powinienem oczekiwać od życia.

- Potrzebujesz żony i syna - oświadczyła stanowczo. - Chyba w tej kwestii się zgadzamy?

Jonathan cofnął się i wziął głęboki oddech, żeby zapanować nad emocjami. Z pewnością straciłby cierpliwość, gdyby ktoś inny odezwał się do niego tak bezpośrednio.

- Obiecuję, że przestanę się wtrącać - pośpiesznie zapewniła lady Portbury, widząc minę syna. - Pamiętaj jednak, że jeśli oczekujesz ode mnie jakiegokolwiek wsparcia, mów bez wahania. Czy takie rozwiązanie cię zadowala?

- Ponad wszelką wątpliwość. Dziękuję. - Jonathan pochylił się i pocałował matkę w policzek.

Była tak zdumiona, że aż się zarumieniła. Drzwi nagle się otworzyły.

- O, mama! Dzień dobry - rozległ się silny głos George'a. - Muszę powiedzieć, że zjawiłaś się w nader odpowiednim momencie i doskonale się ubrałaś na wyjście. Czy to nowa suknia na spacer? Olśniewająca.

Podszedł bliżej i cmoknął lady Portbury w policzek. Wszyscy wiedzieli, że to tylko pusty gest.

Jonathan wstał, widząc, że jego brat dotrzyma matce towarzystwa.

- Za pozwoleniem, dzisiaj rano muszę zająć się sprawami posiadłości, ale później będę wolny i chętnie dowiem się wszystkiego o twojej wyprawie. Nie pozwól, żeby George przewrócił powóz - dodał z łobuzerskim błyskiem w oku i dotknął rękawa jedwabnej sukni matki. - Tak delikatna tkanina nie powinna mieć kontaktu z błotem. Wyglądasz naprawdę pięknie. Jak mniemam, masz jeszcze kapelusz do kompletu?

Uśmiechnął się, a matka wyciągnęła do niego rękę i po sekundzie ją opuściła. Jonathan odetchnął z ulgą. Nie cierpiał publicznego demonstrowania uczuć.

Hrabia stanowczym ruchem ściągnął wodze i Saracen zatrzymał się na szczycie wzgórza. Obaj ciężko oddychali po wspinaczce, ale warto było. Z tego miejsca widać było nie tylko całą posiadłość w Portbury, ale też przyległe do niej tereny. Tutaj Jonathan mógł spokojnie pomedytować. Zeskoczył na ziemię, pozostawiając wodze na karku dużego gniadosza, pewny, że dobrze ułożony koń nie ucieknie, a sam oparł się plecami o pień starego głogu, pochylonego pod wpływem silnych wiatrów, które smagały wznieście każdej zimy.

W trakcie rozmowy z matką uświadomił sobie, że jak najszybciej powinien pojechać do Fratcombe. Musiał skupić się na pracy. Przecież odpowiada za dzierżawców, pracowników i służbę, i jako hrabia ma obowiązek o nich dbać. Chciał otoczyć tych ludzi opieką, tak jak do niedawna sprawował pieczę nad żołnierzami. Zamierzał choć trochę poprawić jakość ich życia, zapewnić ich dzieciom naukę, nawet cygańskim, których panna Beth zajadle broniła.

Panna Aubrey... W przeciwieństwie do głupiutkich pańienek, których spęd jego matka urządziła w Portbury Abbey, Beth była kobietą o wyrazistej osobowości, praktycznym podejściu do życia, a do tego miała poukładane w głowie. Starła się choć trochę naprawić świat, w miarę swoich skromnych możliwości. Nie dostrzegał w niej ani odrobiny sztucznej słodyczy, która otaczała go przez ostatnie tygodnie. Pozostawało jednak fundamentalne pytanie: czy może mieć niezachwianą pewność, że panna Beth nie jest oszustką?

Odetchnął głęboko świeżym, czystym powietrzem, a następnie pomyślał o tym, że już za kilka dni wróci do Fratcombe, gdzie wyda kolację we własnej posiadłości. Postanowił, że zajrzy do plebanii pod pretekstem rozmowy z pastorem o przygotowaniach do

kolacji, i podczas wizyty spróbuje ocenić charakter Beth. Jeśli okaże się tak prostolinijna i szczerą, jak mu się wydawało, wówczas on wykorzysta swoją pozycję do wywindowania jej w hierarchii społecznej Fratcombe. Wówczas nikt nie będzie śmiał przedkładać osądów lady Fitzherbert nad opinię hrabiego Portbury.

Jak zwykle drzwi plebani otworzyła filigranowa służąca. Na widok Jonathana zrobiła wielkie oczy i znieruchomiała, zamiast od razu wpuścić go do środka. Pomyślał, że nie powinna tak ostentacyjnie demonstrować, że jest zdumiona ponowną wizytą hrabiego Portbury'ego.

- Czy zastałem panią Aubrey?

Hetty skinęła głową i od razu wprowadziła hrabiego do salonu, nawet nie pytając chlebobawczynie o pozwolenie, jakby był on członkiem rodziny.

- Jonathanie - powiedziała uśmiechnięta pastorowa - dzień bez twojej wizyty byłby dniem straconym. To dla nas zaszczyt gościć cię po raz trzeci w ciągu trzech dni.

Wstała od stołu i lekko skłoniła głowę. Beth zerwała się z miejsca, odkładając pióro. Dygnęła wręcz modelowo, demonstrując przy tym szczupłą kibić i dworskie maniery. Było jasne, że ktoś starannie wyuczył ją zasad etykiety.

- Dzień dobry, panie hrabio - odezwała się niskim głosem.

Jonathanowi zdawało się, że usłyszał w nim lekkie napięcie. Może niepokoiła się z powodu jutrzejszej kolacji? Uśmiechnął się do niej z sympatią.

- Jak widzę, przepracowuje się pani. Obawiam się, że na palcach dostrzegam atrament.

Miał nadzieję, że ją rozbawi, jednak Beth zrobiła przestraszoną minę, podniosła rękę i ze zgrozą wpatrywała się w ciemne plamy.

- Wielkie nieba, za żadne skarby nie uda mi się oczyścić rąk na czas! - wykrzyknęła. - I co ja teraz pocznę?

Pani Aubrey krzepiąco zacisnęła pomarszczone dłonie na palcach podopiecznej.

- Bez obaw, moja droga, znajdę na to remedium - zapewniła. - Obiecuję, że będziesz biała jak śnieżynka, gdy włożysz nową suknię.

Beth ponownie usiadła, ale na jej twarzy malowała się niepewność. Dotąd Jonathan nie uświadamiał sobie, że ona może się obawiać publicznego występu. Sprawiała wraże-

nie pewnej siebie nawet podczas rozmowy z nim. Uznał, że jest damą, ale jako osoba, która nic o sobie nie wiedziała, musiała stawić czoło miejscowym notablom, w dodatku nieprzychylnie do niej nastawionym. To oczywiste, że zżerały ją nerwy. Dlaczego nie dostrzegł tego wcześniej? Wiedział, że w dłuższej perspektywie jej życie stanie się prostsze, ale na razie najwyraźniej o tym nie myślała. Postanowił podnieść ją na duchu.

- Tak czy siak, będzie pani nosiła wieczorowe rękawiczki, więc...

- Jonathanie! - przerwała mu pani Aubrey i ostrzegawczo pokręciła głową. - Napijesz się z nami herbaty?

Nie rozumiał, o co jej chodzi, jednak po chwili uprzytomnił sobie, że przecież damy zdejmują rękawiczki przy stole. Innymi słowy, ani trochę nie pomógł Beth. Uśmiechnął się ze skruchą do pastarowej i postanowił w inny sposób przywrócić spokój zdenerwowanej młodej kobiecie.

- Wydaje się pani niebywale zajęta - zauważył, siadając obok niej na kanapie i wskazując rozłożone na stole kartoniki. - To również na moją kolację? - Sięgnął po jeden z nich, z napisem „Sir Bertram Fitzherbert”.

- To wizytówki na stół - wyjaśniła Beth. - Przypomnialiśmy sobie o nich dopiero dzisiejszego ranka.

- Ach, tak. Jeszcze jeden z obowiązków gospodyni.

Nie zastanowiłem się nad tym, że nadmiernie obarczam panią Aubrey, prosząc ją o zorganizowanie kolacji. - Zerknął ku pastarowej, która stała w drzwiach, instruując Hetty. - To musi być znacznie trudniejsze dla kogoś, kto nie mieszka pod moim dachem. Beth pokręciła głową.

- Mogłoby być, ale kamerdyner pana hrabiego jest niezwykle pomocnym i kompetentnym człowiekiem. Poza tym pod nieobecność pana miałyśmy kilka tygodni na przygotowania... - Zawiesiła głos, spojrzała na Jonathana, po czym pośpiesznie odwróciła wzrok.

Zastanawiał się, czy to miała być pretensja. Czy jej zdaniem nie powinien był ogłaszać, że urządza kolację, a następnie zniknąć bez śladu? Szkoda, że panna Aubrey nie wie, co przez trzy tygodnie działo się w King's Portbury. Gdyby nie był uczulony na knowania swatek, zapewne utkwilby do końca życia przy jakiejś nieznośnie głupiej pannicy.

Fratcombe jawiło mu się jako oaza spokoju; tutaj mógł się odprężyć i być sobą. Nikt nie usiłował nim manipulować i sam był dla siebie zagrożeniem. Jonathan zaśmiał się, rozbawiony tym przewrotnym wnioskiem.

- Panie hrabio? - Beth wydawała się urażona.

Nie знаła go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie przyszłoby mu do głowy, by z niej się śmiać.

- Proszę mi wybaczyć.

Pod wpływem impulsu zacisnął dłoń na jej uwalanych atramentem palcach i krzepiąco poklepał ją po ręce. Momentalnie znieruchomiała, a on zmusił się, by jeszcze raz klepnąć ją przyjacielsko po dłoni, po czym nonszalancko cofnął rękę, jakby nie zrobił nic niestosownego.

- Rozbawił mnie własny wizerunek, który pani nakreśliła - wyjaśnił z uśmiechem. - Wygląda na to, że jestem zbyt wyniosły, aby angażować się w pracę. Gdy powinienem czymś się zająć, od razu rejteruję. Mam świadomość, że to z mojej strony fatalne uchybienie.

- Och, bynajmniej! - Beth zaczerwieniła się, ale rumieńce na policzkach tylko przydały uroku jej doskonałej cerze.

Przysunęła do siebie jeszcze jedną kartę i starannie wykaligrafowała nazwisko. Woląca nie spoglądać na Jonathana, zorientowała się bowiem, że patrzył na nią z zainteresowaniem. Nie powinien tego robić, przecież ona jest nikim, w najlepszym razie jego protegowaną. Zadawanie się z kimś takim jak ona jest poniżej jego godności.

- Och, do licha! - Zbyt mocno przycisnęła pióro i na kartce powstał kleks. - Ojej! - poprawiła się szybko i zerknęła na Jonathana. W przeciwieństwie do debiutantek, miała dość rozumu, aby uświadomić sobie, że jego gest nic nie znaczył. - Proszę wybaczyć, ale muszę zauważyć, że nadzór pana hrabiego nad moją pracą nie pomaga.

Zatem ponownie była sobą, zachowywała się roztropnie. To odpowiadało Jonathnowi. Pozwolił sobie na uśmiech.

- Już zmykam, droga pani - zadeklarował i przeszedł na drugi koniec pokoju, by dołączyć do pastarowej. - To oczywiste, że dzisiejszego popołudnia panna Aubrey uważa moją obecność za kłopotliwą. Zapewniam jednak, że miałem szlachetne intencje. Wie-

działem, że w ostatniej chwili zawsze jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, a ponieważ chodzi o moją kolację, postanowiłem zaproponować pomoc.

- Nie licząc wizytówek na stół, wszystko jest gotowe - odparła pani Aubrey. - Chyba że chcesz pomóc przy ich wypisywaniu, mój chłopcze?

- Gdyby pani widziała mój charakter pisma, z pewnością nie prosiłaby mnie o to.

- Tak podejrzewałam. Dżentelmeni zazwyczaj bazgrzą jak kura pazurem. Wobec tego usiądź przy mnie, pogawędzimy przy filiżance herbaty, a Beth dokończy pracę. Miło nam, że do nas zaglądasz, i doceniamy twoją pomoc oraz radę. Muszę cię jednak uprzedzić, drogi chłopcze, żebyś jutro nie przychodził. Wraz z Beth będę zajęta przygotowywaniem sukien i kręceniem loków, a w takiej sytuacji męskie towarzystwo jest zdecydowanie niepożądane.

- W takim razie zaczekam na efekt tych niesłuchanie skomplikowanych zabiegów - zadeklarował hrabia. - Podejrzewam, że nie uda mi się rozpoznać ani gospodyni, ani honorowego gościa, kiedy panie przekroczą próg dworu.

Oczy pani Aubrey rozbłysły, a Jonathan zachichotał. Po chwili pastorowa śmiała się w głos. Z niezrozumiałych względów Beth nie zareagowała w żaden sposób. Najwyraźniej była zbyt zajęta pracą, aby słyszeć ich swobodną pogawędkę.

Beth przyłożyła palce do ust, a potem do włosów. Fryzura była piękna, jednak, jej zdaniem, zbyt kunsztowna dla kobiety bez nazwiska i przeszłości. Zastanawiała się, czy zdoła sobie poradzić. Przymknęła powieki, gdyż tak naprawdę nie chciała patrzeć na kobietę w lustrze. To nie była ona, tylko elegancka dama, która swobodnie czuje się w towarzystwie osób z wyższych sfer.

Obiecała hrabiemu, że nie zawiedzie, i powtórzyła tę obietnicę podczas jednej z jego ostatnich wizyt. Gdy z nim gawędziła lub żartowała, jak w ciągu ostatnich dni, czuła się spokojna, wręcz odprężona. Jonathan traktował ją tak jak panią Aubrey. Tylko kim ja jestem? - To pytanie Beth zadała sobie po raz kolejny i nadal nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

Niewątpliwie nie należała do służby, o czym świadczyły jej delikatne, dłonie. Równie dobrze mogła być damą do towarzystwa bądź piastować inną poślednią pozycję w cudzym domu. Lubiła uczyć dzieci i najwyraźniej miała pewne doświadczenie, co su-

gerowało, że być może dawniej pracowała jako nauczycielka lub guwernantka. Innymi słowy, była kimś w rodzaju damy, lecz nie osoby o arystokratycznym rodowodzie, która powinna zasiąść do stołu po prawicy hrabiego. Uparł się, że ona zasiądzie na honorowym miejscu przy stole, a pani Aubrey ochno wyraziła zgodę. Jak głośiły wydrukowane zaproszenia, kolacja i późniejsze przyjęcie miały na celu „prezentację panny Aubrey”. Innymi słowy, uwaga zaproszonych skupi się na niej. Obiecała sobie, że nie wykręci się migreną, niestety, zaczął jej doskwierać ból głowy.

Wstała, żeby pospacerować po sypialni. Nowa piękna suknia zdawała się pieścić ciało. Pani Aubrey zadała sobie mnóstwo trudu i wydała tyle pieniędzy... Suknia, uszyta z delikatnej, białej koronki na seledynowym jedwabnym spodzie, rzucała się w oczy. Beth nie była pewna, czy powinna się pokazywać w tak pięknym stroju.

W progu sypialni stanęła Hetty.

- Pani Aubrey to przesyła. - Pokojówka niezwykle ostrożnie otworzyła płaskie skórzane puzderko.

- Och... - Beth zamarła na widok sznura przepięknych pereł oraz kolczyków do kompletu.

- Niech panienka Beth usiądzie, to założę naszyjnik.

Czy miała wybór? Najwyraźniej domownicy zdecydowali, że ich Kopciuszek uda się na bal. W przeciwieństwie do bohaterki znanej bajki, Beth nie czuła się warta księcia. Hetty zapięła perły i pomogła założyć kolczyki. Nie było odwrotu. Beth wciągnęła na rękę długie do łokcia rękawiczki i wzięła wachlarz oraz torebkę.

- Dziękuję ci, Hetty, za wspianą fryzurę - powiedziała, a następnie spontanicznie położyła dłonie na ramionach służącej i pocałowała ją w policzek. - Jesteś skarbem.

Pokojówka zaczerwieniła się, po czym pośpiesznie dygnęła.

- Dziękuję, panienko.

Beth nie wiedziała, która z nich jest bardziej zakłopotana. Nie chcąc pogarszać sytuacji, poklepała Hetty po ramieniu i wyszła z pokoju. U podnóża schodów czekali już pastor i jego żona, ubrana w niezwykle, purpurowofioletowe jedwabie. Beth znieruchomiała w połowie schodów.

- Ciotuniu! Wyglądasz przepięknie! - zawołała. - Pan hrabia nie mógłby liczyć na wspanialszą gospodynię.

Nieco zakłopotana pastorowa dotknęła siwych loków. Hetty zadbała także o jej fryzurę.

- Śmiem twierdzić, że obie moje damy prezentują się wręcz wyjątkowo - oznajmił pastor.

Gdy Beth dołączyła do nich na parterze, delikatnie otoczył jej ramiona wieczorową peleryną.

- Chodźmy już, moi drodzy - zarządziła pani Aubrey. - Jonathan przysłał po nas powóz, więc nie możemy zwlekać. Jak stoimy z czasem, Jamesie?

Pastor zerknął na srebrny zegarek kieszonkowy.

- Jeśli wyruszymy w tym momencie, to będziemy na miejscu na co najmniej kwadrans przed przybyciem pierwszych gości.

Chyba że nie znają dobrych manier, dodała w myślach Beth. A jeśli zjawią się wcześniej, żeby obrzucić wzgardliwym wzrokiem znajdę, która w ogóle nie powinna zjawić się na wydawanym przez hrabiego przyjęciu, a co dopiero odgrywać rolę honorowego gościa? Niektórzy goście z pewnością byli zdolni do takiej impertynencji, jak choćby sir Bertram Fitzherbert i jego żona, która zachichotałaby piskliwie i oświadczyła, że z pewnością pomyliła dni.

Nie pozwolę tym ludziom wprawić mnie w zakłopotanie, postanowiła stanowczo Beth. Nie dam patrzeć na siebie z góry. Kimkolwiek byłam kiedyś, teraz jestem panną Aubrey. Skoro pastorostwo mogą traktować mnie jak równą sobie, to od innych należy tego oczekiwać. Poza tym Jonathan wierzy we mnie, a to ważne.

Rozdział piąty

Jonathan spacerował po bibliotece w oczekiwaniu na kamerdynera, który miał go powiadomić o przybyciu powozu. Ku swemu zdziwieniu, był podenerwowany, chociaż czekało go przyjęcie, a nie potyczka na polu bitwy. Kamerdyner dyskretnie stanął w progu i oznajmił:

- Powóz pana hrabiego zjawi się za chwilę. Czy wprowadzić gości do szkarłatnego salonu?

- Nie, Sutton. Pani Aubrey jest moją gospodynią, a panna Aubrey gościem honorowym - odparł Jonathan. - Osobiście powitam je w drzwiach.

Wyszedł na korytarz, mijając kamerdynera, który w wyrazie dezaprobaty zacisnął usta. Najwyraźniej nie aprobował spoufalania się chlebodawcy z pastorem i jego rodziną.

Wcześniej lokaj otworzył drzwi wejściowe na całą szerokość. Pani Aubrey weszła pierwsza, za nią pastor z panną Beth. Pastorowa wręczyła nakrycie wierzchnie lokajowi, po czym dygnęła w odpowiedzi na ukłon hrabiego.

- Dobry wieczór, Jonathanie - przywitała się. Hrabia uśmiechnął się szeroko. Pani Aubrey nadal, jak w czasach dzieciństwa, zwracała się do niego po imieniu, co sprawiało mu przyjemność. Odwrócił się do pastora.

- Dobry wieczór, wielebny - powiedział. - Witam serdecznie.

Pastor był zbyt zajęty uwalnianiem panny Beth od peleryny, by odpowiedzieć. Po chwili wziął ją za rękę i podprowadził do gospodarza.

- Dobry wieczór, Jonathanie - odparł w końcu i skinął głową. - Czy mogę zaprezentować gościa honorowego, pannę Aubrey?

Beth dygnęła z głębokim ukłonem, niczym przed królową, a nie miejscowym hrabią. Jonathan zrobił krok do przodu i ujął ją za rękę, by pomóc jej się wyprostować. Wyglądała tak pięknie, że przez chwilę nie mógł znaleźć słów - bo jak powiedzieć kobiecie, że zmieniała się w księżniczkę z bajki?

Pani Aubrey spoglądała z dumą w oczach i z lekkim uśmiechem na ustach na swoją podopieczną. Pastor pierwszy przerwał milczenie.

- Beth wygląda prześlicznie - oznajmił. - Chyba się ze mną zgodzisz, chłopcze?

- Wielebny, nie ulega wątpliwości, że obie panie są najpiękniejsze w całym hrabstwie - oświadczył Jonathan, gdy tylko był w stanie mówić.

Kiedy goście zasiedli przy stole, Jonathan zdążył ochłonąć po zaskoczeniu widokiem elegancko ubranej i uczesanej Beth, której uroda zajaśniała pełnym blaskiem. W Hiszpanii, po oblężeniu Badajoz, pijani brytyjscy żołnierze napastowali wiele kobiet. Jonathan i jego towarzysze nie byli w stanie uchronić nieszczęsnych Hiszpanek przed agresją i gwałtem. Wówczas przysiągł sobie bronić każdej samotnej kobiety w opałach. Między innymi dlatego postanowił wraz z pastorstwem otoczyć Beth szczególną opieką. Teraz odkrył, że piękność w zwiewnej sukni jest ucieleśnieniem marzeń każdego mężczyzny.

Serce Jonathana nadal biło szybciej niż zwykle, ale udało mu się bez przeszkód wprowadzić Beth do jadalni. Tak lekko oparła dłoń na ramieniu odzianym w rękaw fraka, że musiał zerknąć, aby się upewnić, iż ciągle jest przy nim. Czy była równie świadoma jego bliskości, jak on jej? Nie potrafił tego orzec, wiedział jednak, że nie wolno mu jej pożądać, natomiast należy potraktować ją z należyтым szacunkiem.

Wkrótce do kolacji zasiedli państwo Aubreyowie, Beth, Jonathan i kilka szacownych par, które usilnie się starały, by kobieta niewiadomego pochodzenia nie czuła się dobrze w hrabstwie. Wśród zaproszonych najgorsi byli Fitzherbertowie. Jonathan miał przyjemność zasiadać po lewej stronie panny Beth, lecz obyczaj nakazywał, by miejsce z jego lewej strony zajęła trudna do wytrzymania lady Fitzherbert.

Kolacja przebiegała bez większych problemów. Świadom, że lady Fitzherbert wsłuchuje się w każde słowo, Jonathan przy pierwszym daniu usiłował wciągnąć Beth w rozmowę na niewinne tematy, takie jak książki czy muzyka. Beth odpowiadała uprzejmie, ale niezbyt entuzjastycznie, i wcale jej się nie dziwił.

Która dama pragnęłaby dzielić się opinią ze złośliwą i apodyktyczną lady Fitzherbert?

Po trzeciej cichej, monosylabicznej odpowiedzi Beth Jonathana ogarnęła irytacja. Co się stało z młodą kobietą, która nie wahała się korzystać z ciętego języka? Uznał, że woli tamto wcielenie, jeśli ceną fizycznej transformacji Beth miała być utrata niezależ-

nego ducha. Piękno, jak się przekonał w odniesieniu do zmarłej i nieopłakiwanej żony, nie gwarantowało dobrego charakteru.

- Pani Aubrey mówi, że poczyniła pani niezwykle postępy w wiejskiej szkółce. Może mógłbym złożyć wizytę i przyjrzeć się, jak pani naucza? - Kiedy w odpowiedzi doczekał się wyłącznie niepewnego spojrzenia Beth, dodał: - Ma pani wielu uczniów?

Pytanie okazało się strzałem w dziesiątkę. Niechętnie mówiła o sobie, ale gdy z entuzjazmem zaczęła opowiadać o podopiecznych, na jej policzki powrócił rumieniec.

- Najbardziej obiecujący jest Peter - oznajmiła. - Ma bystry umysł, jest ciekawy świata i doskonale czyta jak na tak małe dziecko. Z matematyką też świetnie sobie radzi.

- Innymi słowy, przewiduje pani dla niego świetlaną przyszłość?

Beth spojrzała na talerz i zaczęła popychać widelcem resztki jedzenia. Najwyraźniej czuła niepokój na myśl o Peterze, domyślił się Jonathan.

- Z mojego doświadczenia wynika, że najinteligentniejsze dzieci są często najbardziej niegrzeczne - powiedział. - Jeden z moich kuzynów, nie powiem który, żeby oszczędzić mu wstydu, był tego najlepszym przykładem. Psocił i sprowadzał innych na złą drogę.

- W szkole Peter nie jest bardziej rozbrykany niż inni chłopcy, a i po zajęciach rzadko bywa niegrzeczny. Chodzi o to, że... - urwała z głębokim westchnieniem, a jej biust uniósł się, wypełniając obcisły stanik sukni.

Jonathan nakazał sobie w duchu nie odrywać spojrzenia od oczu Beth, musiał bowiem pamiętać o obowiązkach gospodarza.

- Ojciec Petera jest pracownikiem fizycznym - podjęła Beth. - Gdy tylko chłopiec będzie na tyle silny, aby podjąć jakieś zajęcie, ojciec zabierze go ze szkoły. Naturalnie, ma do tego prawo. W jego rodzinie jest wiele osób do wyżywienia.

- Gdzie pracuje ojciec chłopca? - spytał Jonathan, choć wiedział, że przy stole w otoczeniu gości nie powinien drażnić tematu.

Beth popatrzyła na niego znacząco. Miała olbrzymie, piękne oczy koloru czekolady.

- Aha - mruknął domyślnie. - Rozumiem, że pracuje u jednego z moich dzierżawców?

- Nie - Beth ściszyła głos - jest zatrudniony w majątku pana hrabiego.

W tej sytuacji Jonathan mógł podarować zdolnemu chłopcu przyszłość.

- Potrzebujemy dobrych pracowników na wszystkich stanowiskach, panno Aubrey - oznajmił. - Mój zarządca o to zadba. Jeśli Peter nadal będzie czynił postępy w nauce, to w przyszłości znajdzie się dla niego miejsce w moim biurze, gdzie wyuczy się zawodu. Czy to panią zadowala?

Beth skinęła głową. Uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, wyrażał nie tylko zdawkową uprzejmość, a jej oczy błyszczały.

- Bardzo dziękuję, panie hrabio - szepnęła. - To bardzo wspaniałomyślne. Ja... Dziękuję.

Jonathan chciał wziąć ją za rękę i zapewnić, że docenia jej intencje, ale kamerdyner dał znak lokajom, by uprzątnęli naczynia po pierwszym daniu. Może tak będzie lepiej, uznał hrabia. Co go opętało, na dodatek na oczach lady Fitzherbert? Powinien bardziej uważać na to, co robi.

Beth zaczęła rozmawiać z dżentelmenem siedzącym po jej prawej stronie, Jonathan musiał więc znosić nieprzerwaną paplaninę lady Fitzherbert. Pocieszał się, że ta męka nie potrwa zbyt długo. W końcu lokaje zmienią obrus, a on będzie mógł ponownie zająć się Beth, tym razem ostrożniej, rzecz jasna.

Podczas drugiego dania rozmowa przy stole stała się coraz głośniejsza. Bez wątplenia przyczyniła się do tego imponująca zawartość piwniczki pana domu. Jonathan nieuważnie słuchał, jak lady Fitzherbert przechwalała się łowieckimi wyczynami najstarszego syna. Wyglądało na to, że jedna lekcja nie wystarczy, aby usadzić tę nieznośną kobietę.

- Znakomicie. - Skinął głową i uśmiechnął się pod nosem, po czym nieco podniósł głos, by zyskać pewność, że słyszą go inni goście, i zapytał od niechcienia:

- Fitzherbert to niezbyt popularne nazwisko, prawda? Czy jest pani przypadkiem spokrewniona z inną panią Fitzherbert, dawną... przyjaciółką księcia regenta?

Kilkoro gości głośno odetchnęło, a zapytana wybałuszyła oczy i znieruchomiała. Wyglądała jak wypchana kukła. W końcu zaczęła poruszać ustami, ale nie wydobyło się z nich nawet słowo.

Dźwięczny głos Beth Aubrey przerwał pełną napięcia ciszę.

- Czy to możliwe, że lata spędzone w Hiszpanii zamąciły osąd pana hrabiego? Może nie wie pan, że pani Fitzherbert to katoliczka?

Obrzuciła Jonathana niewinnym spojrzeniem przepastnych oczu, choć w jej obronie lady Fitzherbert nie było nic niewinnego. Zastanawiał się, czemu Beth robiła to dla kobiety, która tak źle ją potraktowała. Od razu odpowiedział sobie na to pytanie. W przeciwieństwie do niego, Beth okazywała dobroć nawet nieprzyjaciółom. Podejrzewał, że wydawał się teraz nieco zakłopotany, musiał więc coś powiedzieć, aby jak najszybciej dojść do siebie.

- Ma pani rację, naturalnie - przyznał. - To mój błąd. Fitzherbertowie z Fratcombe są filarami Kościoła anglikańskiego.

Kiedy popatrzył na lady Fitzherbert, spostrzegł, że piorunowała Beth wzrokiem, jakby to ona ją obraziła, a nie Jonathan. W postawie damy nie dostrzegł ani krztyny chrześcijańskiego miłosierdzia, jednak on powinien je okazać.

- Proszę o wybaczenie, droga pani, jeśli moja nieprzemyślana uwaga wytrąciła panią z równowagi. - Uniósł brwi, czekając na reakcję.

Lady Fitzherbert pochyliła głowę i demonstracyjnie powróciła do tematu osiągnięć swojego potomstwa. Napięcie minęło, lecz, niestety, lady Fitzherbert wydawała się jeszcze bardziej wrogo nastawiona do Beth. Czy dlatego, że stanowiła łatwy cel, w przeciwieństwie do mnie? - zastanawiał się Jonathan. Od początku posiłku lady Fitzherbert wpatrywała się w nią niczym kot w mysz, jednak zachowanie Beth było nienaganne. Jonathan podejrzewał, że doskonale maniery przyswoiła sobie w dzieciństwie. Wszystko robiła prawidłowo i bez chwili wahania. Beth jest damą, już nie żywił co do tego najmniejszych wątpliwości. Świadczył o tym jej olśniewający wygląd tego wieczoru, podobnie jak nienaganne maniery oraz altruizm. Jonathan pomyślał, że po dzisiejszym posiłku nikt nie odważy się obrazić panny Aubrey, a kiedy on przeprowadzi ostatnią część planu, nawet Fitzherbertowie będą musieli respektować granice, które im wyznaczy.

Służba czekała na znak, by usunąć obrus, a damy wkrótce miały przejść do salonu. Właściwa chwila nadeszła. Jonathan skinął na kamerdynera, aby ponownie napełnił kieliszki winem, po czym wstał.

- Panie i panowie, z przyjemnością witam was na pierwszej od lat kolacji, którą mam okazję wydać. Gdy przebywałem tu jako chłopiec, zapamiętałem Fratcombe jako jedno z najbardziej przyjaznych i życzliwych miejsc w Anglii. Od tamtego czasu niezmiennie wspominam je z radością. Zaprosiłem was tutaj, by choć częściowo się zrewanżować, gdyż stanowicie elitę rodzin w tej okolicy.

Zgromadzeni przy stole zaczęli się dumnie puszyć. Większość uśmiechała się z wyższością, a dwie damy energicznie potrząsnęły głowami strojnymi w pióra.

- Jak państwo wiedzą, drugim powodem przyjęcia jest chęć powitania panny Aubrey wśród nas. - Kątem oka Jonathan dostrzegł, że Beth się rumieni i wpatruje w zaciśnięte dłonie. Nieważne, musiał to zrobić, tego wymagał honor. - Panna Aubrey jest daleką kuzynką naszego pastora. - Uśmiechnął się do duchownego, który siedział mniej więcej w połowie długiego stołu. - Odkąd zamieszkała na plebanii, zrobiła dużo dobrego, pracując charytatywnie jako nauczycielka dzieci z naszej okolicy. Ma równie altruistyczną naturę jak wielebny i jego szacowna małżonka. Z pewnością zgodzą się państwo, że wszyscy powinniśmy być wdzięczni panie Aubrey.

Hrabia rozejrzał się po twarzach gości, zatrzymując wzrok na każdym z nich tak długo, aż wszyscy skinęli głowami.

- Panna Aubrey pozostanie na plebanii, gdyż, niestety, nie ma już bliskich krewnych - ciągnął. - Cieszymy się, że będzie przebywała między nami. Proponuję wznieść toast za pannę Aubrey, niezwykle cenioną i wartościową członkinię społeczności Fratcombe.

Jonathan uniósł kieliszek. Rozległo się szuranie krzeseł, kiedy dżentelmeni wstawali. Jedni robili to chętnie, inni z oporami, jednak żaden się nie wychylił i toast został spełniony. Ukontentowany powodzeniem planu Jonathan jednym haustem wypił zawartość kieliszka, po czym odetchnął głęboko, uśmiechnął się do gości i usiadł.

Beth nawet nie drgnęła, nadal wpatrzona w zaciśnięte dłonie. Jonathan wiedział, że jest zawstydzona i nie ma ochoty rozmawiać. Skierował wzrok na panią Aubrey i lekko skinął głową. Następny ruch należał do niej. Dziesięć minut po wyniesieniu przez służbę talerzy, sztućców oraz obrusa, kiedy na lśniącym mahoniu pojawiły się desery i karafki, pani Aubrey dopiła wino i wstała.

- Drogie panie, zapraszam - zwróciła się do zebranych nieznoszącym sprzeciwu tonem i rozejrzała się wokół.

Lady Fitzherbert szepnęła coś do swojej towarzyszki po lewej stronie. Jonathan nie zrozumiał całego zdania, był jednak pewien, że wychwycił słowo „oszustka”. Na moment jego dłonie zacisnęły się w pięści, wiedział jednak, że nie może dać po sobie poznać, że cokolwiek słyszał. Liczył na to, że pani Aubrey zdoła zneutralizować lady Fitzherbert.

Hrabia i pozostali dżentelmeni zerwali się z krzeseł, by pomóc paniom wstać. Beth wydawała się nieświadoma, że inne damy wychodzą. Jonathan stanął za jej krzesłem, położył dłonie na oparciu i pochylił się tak, że jego usta znalazły się blisko loków Beth. Poczł zapach lawendy i polnych kwiatów.

- Panno Beth - wyszeptał, starając się nie myśleć o kuszącej woni - proszę dołączyć do pań.

Drgnęła, ale natychmiast zapanowała nad emocjami. Z pełnym gracji uśmiechem podniosła się z miejsca.

- Dziękuję, panie hrabio, również za miłe słowa. Zachowam je w pamięci - powiedziała, patrząc na Jonathana lśniącoymi oczami.

Chyba nie błyszcząły od łez? - zadał sobie w duchu pytanie hrabia. Przecież od początku doskonale nad sobą panowała.

- Odwagi - powiedział. Ujął jej dłoń i położył na swoim przedramieniu. Razem skierowali się do drzwi, które sam otworzył. - Wkrótce do pani dołączymy, panno Beth - zapewnił i niechętnie ją puścił.

Patrzył, jak szła ku schodom sztywna, jakby kij połknęła. Z tyłu wyglądała jak żołnierz szykujący się do bitwy. Wiedział, że w salonie na górze będzie musiała stawić czoło harpii.

Beth była w połowie schodów, nadal zaskoczona pochlebnymi słowami Jonathana, kiedy nagle poczuła, że coś mocno ciągnie ją do tyłu. Na szczęście przytomnie uchwyciła się balustrady. Ktoś bardzo mocno nastąpił na rąbek jej sukni.

- Och, tak mi przykro - usłyszała damski głos. Naturalnie, należał do lady Fitzherbert. - Czy podałam pani suknię, drogie dziecko? Co za pech, to taki ładny, dziewczęcy fatalaszek.

Beth nie zdradziła się słowem ani gestem, że w jej opinii szkoda była zamierzona. Gdyby tak postąpiła, pozwoliłaby zatriumfować kobiecie, która na to nie zasługiwała. Trzymając się mocno balustrady, odwróciła się z uśmiechem i powiedziała:

- Byłabym wdzięczna, gdyby raczyła pani usunąć but. Sprawdź, co da się zrobić z rozdarciem.

Lady Fitzherbert cofnęła nogę tak szybko, jak gdyby dotąd opierała ją na rozżarzonych węglach.

- Bardzo przepraszam. Co za przykry wypadek. Zwykle nie jestem taka niezdarna.

- W to nie wątpię, droga pani - rozległ się oschły głos pani Aubrey, stojącej w holu na parterze.

Podobnie jak Beth, domyśliła się, że wypadek został sprowokowany przez lady Fitzherbert. Gdyby Beth nie chwyciła się balustrady, prawdopodobnie spadłaby aż do podnóża schodów.

Pozostałe damy wymieniały uwagi szeptem. Pastorowa zmarszczyła czoło.

- Chodźmy, drogie panie - zarządziła. - Proszę usiąść w salonie i poczekać na kawę, a ja i Beth oddalimy się, by oszacować szkody.

- Dziękuję, ciotuniu Caro - szepnęła Beth.

Uniosła białą koronkę, żeby oderwany fragment nie ciągnął się po schodach. Lady Fitzherbert raczej nie powtórzyłaby tej samej podłej sztuczki, jednak bezpieczniej było nie dawać jej ku temu okazji. Beth pośpiesznie pokonała pozostałe schody, a na szczycie przystanęła w oczekiwaniu na panią Aubrey.

- Dziękuję, ciotuniu - powtórzyła, gdy pastorowa dotarła na górę. - To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, jestem jednak pewna, że nie musimy obie zostawiać gości. Pokojówka pomoże mi naprawić suknię.

Pani Aubrey skinęła głową. Obie wiedziały, że lepiej będzie, jeśli jedna z nich dotrzyma towarzystwa reszcie dam, gdyż pozostawione samopas, niechybnie zajęłyby się obgadywaniem Beth. Lady Fitzherbert bez wątplenia chętnie odegrałaby rolę prowokato-

ra, jednak było mało prawdopodobne, że odważy się na to pod czujnym spojrzeniem pastorowej.

Beth była przekonana, że dżentelmeni wkrótce do nich dołączą, w końcu Jonathan ją o tym zapewnił. Był bardzo troskliwy, robił wszystko, by Beth czuła się dobrze, a kolacja przebiegała bez zgrzytów. I rzeczywiście, Beth nie była przesadnie zdenerwowana obecnością gości, co do gospodarza jednak, sprawa okazała się daleko bardziej zawiła. Rozmowa, komplementy, dotyk...

Zbyt często jej dotykał.

Odciągnięcie dżentelmenów od karafek z winem zajęło hrabiemu więcej czasu, niż się spodziewał. Naturalnie, najbardziej niezdolnie zachowywał się sir Bertram Fitzherbert. Upierał się przy wznoszeniu coraz bardziej idiotycznych toastów, a najgłupszy z nich dedykował wierzchowcowi, którego niedawno kupił. To było już za wiele nawet dla cierpliwego pastora.

Sir Bertram chwiejnym krokiem otwierał pochód dżentelmenów zmierzających na piętro. Jako gospodarz Jonathan szedł na końcu. Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia sir Bertram opadnie na wygodny fotel i z miejsca zaśnie. Nie wątpił, że panie wolałyby słuchać jego chrapania niż sprośnych uwag, które z entuzjazmem wygłaszał nad portem. Liczył w duchu na to, że pijany sir Bertram nie będzie sprawiał dalszych kłopotów. Fitzherbertowie zachowywali się w sposób niegodny i trudny do zaakceptowania dla miejscowej szlachty. Jonathan obiecał sobie, że więcej nie przekroczą progu jego domu.

Powoli szedł po schodach, niechętnie myśląc o dołączeniu do hałaśliwej, zachwyconej sobą grupki. Wiedział, że za jakieś pół godziny zaczną przybywać goście na wieczorne przyjęcie i zbierze się ich ponad trzydzieścioro. W ich gronie znajdzie się kilka młodych dam oraz dżentelmenów. Siłą rzeczy, poziom hałasu się zwiększy. Ta perspektywa go zirytowała.

Nagle uświadomił sobie, że tęskni za spokojem. Pragnął przytulnego domu, miejsca, w którym mógłby odbudować swoje życie. Może znalazłaby się w nim łagodna, uśmiechnięta żona, która zrozumie i podzieli jego dążenie do ciszy i stabilizacji. Nie oczekiwał miłości ani namiętności. Z doświadczenia wiedział, że rzadko są obecne w małżeństwach ludzi z jego sfery. Miłość dawała kobiecie władzę, którą nie powinna dys-

ponować. Natomiast wygodne lokum, ogień w kominku, cierpliwa partnerka i dzieci... Czy prosił o zbyt wiele? Liczył na to, że prędzej czy później zdoła znaleźć taką towarzyszkę wśród kobiet w wyższych sferach.

Podjął decyzję bez wahania, jak zwykle. Postanowił, że pozostanie trochę dłużej we Fratcombe, by w parkowej ciszy odzyskać spokój umysłu i cieszyć się samotnością teraz, gdy wiedział już, czego pragnie od życia. Później poszuka odpowiadającej mu narzeczonej.

Kilka razy odetchnął głęboko, delektując się chwilowym osamotnieniem. Teraz był w stanie stawić czoło zgiełkowi. Uniósł głowę i wszedł do salonu. Zaskoczyła go panująca tam cisza, zwłaszcza że spodziewał się paplaniny i śmiechów kobiet oraz gromkich głosów mężczyzn. Zdumiony, przekonał się, że pani Aubrey siedzi przy otwartym instrumencie, a lekko zarumieniona Beth stoi obok. Najwyraźniej właśnie zakończyły występ. Zastanawiał się, jak to możliwe, że Beth śpiewała. Przecież niczego nie pamiętała z dawnego życia, jak zatem mogłaby pamiętać poprzednio wykonywane przez siebie utwory?

- Brawo, moja droga! - rozległ się głos pastora i zebrani w salonie zaczęli klaskać. Nawet lady Fitzherbert biła brawo, choć bez entuzjazmu.

Jonathan usiłował wśliznąć się do pomieszczenia niezauważony, lecz to się nie udało. Pastor podszedł do niego i klepnął go w ramię.

- Gospodarz zawsze ma dużo do roboty, co? - zagadnął. - Jaka szkoda, że nie słyszałeś śpiewu Beth.

- Może, jeśli poproszę, panna Aubrey zaśpiewa coś jeszcze?

Właściwie Jonathan nie zamierzał tego powiedzieć, ale słowa same wydostały się z jego ust. Spostrzegł znaczące spojrzenia, które wymienili lady Fitzherbert i jej mąż. Zrozumiał, że przekłeta kobieta znowu planuje jakąś podłość. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że nie jest za późno, by uratować sytuację. Postanowił, że odtąd jego relacje z Beth będą modelowe, zwłaszcza przy świadkach.

Stał przy drzwiach nieruchomo w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Poczuł się tak, jakby wkroczył na cudze terytorium, choć przecież przez cały czas przebywał we własnym domu. Pastor powiedział coś cicho do żony, a potem do Beth. Początkowo wy-

dawała się zawstydzona, ale w końcu skinęła głową i wymieniła szeptem kilka uwag z panią Aubrey. Duchowny z promiennym uśmiechem wrócił na miejsce.

Jonathan stał oparty o drzwi. Pomyślał, że goście uznają zapewne, że zbyt dużo wypił, lecz to go nie obchodziło. Nie chciał być blisko nich, kiedy Beth śpiewała. Nie chciał patrzeć na ich pełne hipokryzji twarze. Gdy rozległy się pierwsze dźwięki, przy-
mknął powieki. Nie znał tego utworu; był łagodny i kojący. Pani Aubrey dobrze dostosowała pieśń do nastroju gospodarza.

Beth pamiętała, jak śpiewać utwory muzyczne. Może człowiek nie zapomina o takich umiejętnościach? - zastanawiał się Jonathan. Miała głos jasny, słodki i pieszczotliwy. Hrabia czuł, jak muzyka przenika go, rozpraszając smutki i odprężając. Dzięki tej pieśni odnalazł w sobie spokój, którego brakowało mu od lat.

TLR

Rozdział szósty

Jonathan jęknął głośno i ten dźwięk go obudził. Zmusił się do otwarcia oczu. Był mokry od potu. Poprawił poduszki i z trudem usiadł. Powiew chłodnego, nocnego powietrza przyprawił go o dreszcz. Wziął do ręki świecę i w jej blasku spojrzął na leżący na nocnym stoliku zegarek. Dochodziła czwarta nad ranem, a zatem do wschodu słońca pozostała jeszcze godzina z okładem. Wszystko było lepsze od ciemności i duchów przeszłości, które w niej krążyły.

Postanowił o nich nie myśleć ani nie spać. We śnie często padał ofiarą emocji, których nie potrafił kontrolować. To wszystko było śmiechu warte. Tyle lat spędzonych z ojcem, który usiłował nauczyć go, jak być pozbawionym uczuć, wycofanym i wyrachowanym człowiekiem... Stary hrabia uznał, że dopiął celu. Nawet Jonathan tak uważał, jednak nie w chwilach takich jak ta.

Postanowił, że za żadną cenę nie ulegnie słabości. Położył się z rękami za głową i wbił wzrok w jedwabny baldachim nad łóżkiem, zmuszając się do myślenia o minionym wieczorze. Był dumny z tego, jak usadził tego świeżo upieczonego szlachcica, marnego baroneta, sir Bertrama, oraz jego okropną żonę. Nie żywił wątpliwości, że odtąd Fitzherbertowie nie odważą się atakować Beth. Aubreyowie mogli nie aprobować metod Jonathanana, ale z pewnością byli zadowoleni z rezultatu. Pomógł im ze względu na olbrzymi dług, który u nich zaciągnął, a nie z powodu samej Beth. W zasadzie aż do wczorajszego wieczoru nie myślał o niej jak o kobiecie. Podejrzewał, że może być oszustką, i co za tym idzie, źródłem kłopotów w jego poukładanym życiu. Obecnie nie mógł oceniać jej w ten sposób. Właściwie nie wątpił, że straciła pamięć. Poza tym jej niezwykła uroda wzbudziła w nim pożądanie, a gdy zaczęła śpiewać...

Nie sądził, że tak mocno zareaguje na śpiew, który okazał się kojący niczym łagodne morskie fale. Odnalazł spokój i pociechę, jednak ten stan nie trwał długo. W ciemnościach sypialni demony odżyły.

Doszedł do wniosku, że za długo obywatel się bez kobiety. Odkąd parę miesięcy temu wrócił z Hiszpanii, żył w celibacie. Po wypadkach w Badajoz czuł obrzydzenie na samą myśl o zbliżeniu fizycznym, jednak jego reakcja na atrakcyjną Beth dowiodła, że

pozostał pełnokrwistym mężczyzną. Niestety, została przybraną krewną ludzi, których z całego serca szanował i podziwiał.

Postanowił rozważyć fakty. Uratował ją w wigilię Bożego Narodzenia, po czym pozostawił u Aubreyów, niczym podtopionego kociaka. Beth nie wiedziała, kim jest, nie pamiętała dawnego życia, lecz niewątpliwie знаła dobre maniere i zachowywała się jak dama, co udowodniła podczas kolacji, a dobrocią i wspaniałomyślnością dorównywała pastorostwu. Troszczyła się o tych, którym w życiu powodziło się gorzej niż jej. Nie wypadło uwodzić kobiety znajdującej się pod opieką ufających mu, zacnych osób. Miał tylko dwie możliwości: trzymać się od niej z dala lub ją poślubić!

Skąd, na Boga, ta myśl? Jako hrabia Portbury nie mógł się ożenić z kobietą bez przeszłości, nie pochodzącą z jego sfery. To było nie do pomyślenia. Uczynienie z Beth kochanki również nie wchodziło w grę. Może jednak zechciałaby zostać jego przyjaciółką? Przyjaźnie rodziły przywiązanie, które było niebezpieczne. Chyba jednak przyjaźń między nim a Beth mogłaby rozkwitnąć pod warunkiem, że potrafiłby się zachowywać jak na dżentelmena przystało.

Jonathan uznał, że na razie powinien się trzymać z dala od Beth Aubrey. Jeśli przez pewien czas będzie jej unikał, to pożądanie zniknie.

Postanowił, że spędzi tydzień lub dwa sam, nadzorując prace remontowe w posiadłości. Ciężka praca z pewnością odwróci jego uwagę od Beth i przyniesie fizyczne zmęczenie. Potem zamierzał zaprosić pastorostwo oraz pannę Beth do Fratcombe Manor. Będzie traktował ją jak każdego innego gościa i udowodni sobie, że tak jak mówił ojciec, szlachcic powinien być zimny i pozbawiony uczuć. Tego wymagała jego pozycja w społeczeństwie. Uleganie uczuciom prowadziło do słabości, którą inni wykorzystywali.

Z podwórza dobiegło szczekanie psa. Jonathan, któremu stanął przed oczami Cesarz, z całej siły zacisnął powieki. O tym nie zdołał zapomnieć: o ojcu, małym chłopcu i jego ukochanym ogarze, psie myśliwskim, który bał się wystrzałów. Ojciec zdecydował, że trzeba przeprowadzić test. Uważał bowiem, że psy służące do polowań, a obawiające się huku należy zabijać, by nie mogły się rozmnażać. Pierwsza kula udowodniła słabość zwierzęcia, drugi wystrzał zakończył jego życie. Dziesięcioletni Jonathan został zmuszony do naciśnięcia spustu, a potem do wykopania dołu i pochowania najlepszego przyja-

ciela. Nigdy nie znalazł innego. Nawet Aubreyowie nie byli jego przyjaciółmi, gdyż traktowali go raczej jak syna. Choć twierdzili, że przyjaźnią się z Jonathanem, on nie traktował ich jak druhów od serca, chociażby z powodu różnicy wieku. Odkąd Jonathan został spadkobiercą ojca, nikomu się nie zwierzał. Ciężar związany z dzieciństwem i małżeństwem spoczywał wyłącznie na jego barkach, podobnie jak wspomnienia o okropnościach wojny.

- Proszę wybaczyć, panno Beth, ale nurtuje mnie pewna kwestia. Nie pamięta pani swego życia sprzed przybycia do Fratcombe, a jednak potrafi pani śpiewać, na dodatek wyjątkowo pięknie. Jak to możliwe?

Spotkali się po raz pierwszy od czasu kolacji wydanej przez hrabiego na cześć Beth. Podczas następnych dwóch tygodni nie widzieli się ani nie zamienili ze sobą ani słowa. Beth rozmyślała o Jonathanie, śniła o nim, on jednak najwyraźniej postanowił zachować dystans, więc się podporządkowała. Wymieniali jedynie zdawkowe ukłony w kościele. Zdziwiła się, że podczas spaceru po parku, znajdującym się na terenie jego posiadłości, zainteresował się akurat jej śpiewem.

Domyśliła się, że rozważał, czy ona nie jest oszustką. Poczula się głęboko urażona, tym bardziej że w trakcie kolacji publicznie ją wychwalał, a teraz powątpiewał w jej uczciwość. Niepotrzebnie łudziła się, że jej zaufał. Wcale nie był jej wybawicielem. Gdy czekał na odpowiedź, przypominał raczej inkwizytora.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - odparła. - Przypuszczam, że uczyłam się śpiewu. Z pewnością działa tu mechanizm podobny do utrwalenia umiejętności czytania lub pisania. Potrafię jedno i drugie, lecz nie pamiętam, jak i kiedy się nauczyłam. Nie dziwi pana hrabiego, że umiem czytać i pisać. Dlaczego śpiew traktować inaczej?

Jonathan nadal miał podejrzliwą minę. Beth poczuła, że dłużej nie zdoła ukrywać żalu.

- Widzę, że pan hrabia mi nie dowierza - powiedziała suchym tonem. - Wobec tego nie będę pana dłużej męczyła swoją obecnością.

Obróciła się na pięcie i skierowała ku Aubreyom. Widziała ich z oddali, jak spacerowali po kwiatowym ogrodzie przy dworze, i postanowiła do nich dołączyć. W przeciwieństwie do Jonathanana, oni nie wątpili w jej uczciwość. Nie zdołała jednak przejść na-

wet kilku kroków, kiedy hrabia dogonił ją i chwycił za ramię. Beth znieruchomiała, lecz nie podniosła wzroku.

- Proszę mnie natychmiast puścić - wycedziła ze złością.

Jak on śmiał? Ten dotyk nie był ani przyjacielski, ani łagodny. Jonathan poluzował uścisk, ale nie puścił Beth dopóty, dopóki nie stanął przed nią, blokując jej drogę. Dopiero wtedy cofnął rękę.

- Proszę mi wybaczyć moje słowa i czyny, lecz nie zamierzałem pani obrazić - powiedział.

Uniósł dłoń i popatrzył na swoje palce tak, jakby należały do kogoś innego. Po chwili wzruszył ramionami i opuścił rękę. Beth doszła do wniosku, że w ogóle go nie rozumie. Ogromnie nalegał na zorganizowanie kolacji, której była gościem honorowym, a przez następne dwa tygodnie zwyczajnie ją ignorował. Uświadomiła sobie, że wszystko zmieniło się po tym, jak usłyszał jej śpiew. Bez żadnych dowodów wykoncypował, że Beth jest oszustką. Pomyślała, że ponownie zaprosił ją i pastorostwo do posiadłości, żeby wziąć ją w krzyżowy ogień pytań. A ona naiwnie sądziła, że chciał okazać jej uprzejme zainteresowanie! Czy jest aż tak przewrotny?

- Panno Aubrey... - Mówił cicho, niemal szeptem.

Z pochyloną głową Beth wpatrywała się w trawę.

- Jeśli pani sobie życzy, to odprowadzę ją na plebanię. Czy mogę jednak zaprosić panią na wycieczkę nad jezioro? Po tylu dniach deszczu z pewnością ma pani ochotę na przechadzkę. Sam chętnie zażyję ruchu. - Umilkł, po czym zaproponował łagodnie: - Może ogłosimy rozejm?

Beth doszła do wniosku, że tym razem są to szczerze przeprosiny, nie zaś puste słowa. Uniosła głowę i popatrzyła Jonathanowi w oczy. Wydawały się chmurne, do tego zmarszczył brwi. Czyżby miał wyrzuty sumienia? Postanowiła dowieść hrabiemu Portbury'emu, że nie da się wprawić w zakłopotanie, bez względu na to, co sobie o niej pomyśli. Nie jest nieszczęsną, zahukaną dziewczyną.

- Jeśli pan hrabia będzie patrzył na mnie ponuro, to zrezygnuję z pańskiego towarzystwa. - Zrobił zaskoczoną minę, ale momentalnie się rozpogodził. Beth uśmiechnęła

się z aprobatą. - Znacznie lepiej. Przyjmuję pańską propozycję rozejmu. Nie powracajmy do przeszłości, ani mojej, ani pańskiej. Zgoda?

Rozbawiony Jonathan również się uśmiechnął.

- Dopiero teraz zaczynam rozumieć, jak mądrą jest pani kobietą. Czy mogę wyznać, że przez ostatnie tygodnie niebywale brakowało mi naszych pogawędek? Pani spojrzenie na świat jest odświeżające.

Beth poczuła, że się rumieni.

- Chętnie wybiorę się na spacer, aby podyskutować o... - rozejrzała się w poszukiwaniu odpowiednio niewinnego tematu do rozmowy - ...hodowli owiec - dokończyła triumfalnie.

Jonathan parsknął głośnym śmiechem, Beth także się roześmiała. Jej absurdalna uwaga sprawiła, że napięcie między nimi zelżało.

- Wobec tego przejdźmy się, droga pani, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby panią oświecić w kwestii... hodowli owiec. - Gdy lekko się zawahała, wziął jej rękę i delikatnie wsunął sobie w zgięcie łokcia. - O wiele lepiej.

Rzeczywiście tak było. Tym razem nie pozwoliła sobie na myślenie o sile ramienia ukrytego w rękawie eleganckiego surduta.

Ruszyli w stronę odległego jeziora. Beth zauważyła, że Jonathan dostosowywał się do jej tempa, i była mu wdzięczna za troskę. Z trudem wygłosił kilka niezwykle ogólnikowych uwag na temat hodowli owiec.

- Rzecz jasna, sprzyjająca pogoda oraz deszcz sprawiają, że trawa rośnie lepiej, a to dobre dla owiec. Więcej wełny, więcej mięsa - podsumował.

Beth czekała grzecznie, że coś doda, nie zrobił tego jednak. Przeszli kolejnych dwadzieścia jardów, ale Jonathan uparcie milczał. Tym razem to Beth pierwsza się roześmiała.

- Czy pan hrabia zaprezentował mi całą swoją wiedzę na temat hodowli owiec? - zapytała. - Teraz już wiem, że lepiej się prezentują, gdy skubią smakowitą trawę. - Nie mogła przestać się śmiać. - Wydaje mi się, że nawet pięciolatki z mojej szkoły byłyby w stanie to wywnioskować.

- Obawiam się, że ma pani rację. - Z udawaną skruchą Jonathan pochylił głowę. - Niestety, spędziłem młodość na marzeniach o służbie w armii. Nie byłem dziedzicem, a zatem nauka zarządzania posiadłością mijała się z celem. Ja...

Beth położyła rękę na jego ramieniu.

- Umówiliśmy się, że nie będziemy rozmawiać o przeszłości - przypomniała. - Proszę mi lepiej powiedzieć, czy w jeziorze jest dużo pstrągów?

Ożywił się na to pytanie i długo opowiadał o przyjemności wędkowania oraz o pięknych okazach ryb, które przez lata złowił w jeziorze.

- Czy pani wędkuje? - zapytał. - Wiele dam to robi.

- Nie wiem - odparła z westchnieniem Beth.

Zastanawianie się nad tym nie miało sensu. Może gdyby wsunął wędkę do jej ręki, zarzuciłaby ją odruchowo? Może ciało było w stanie zapamiętać takie odruchy, podobnie jak śpiew lub pisanie?

- Proszę wybaczyć, to była niezręczność z mojej strony. Poza tym łamię warunki naszej umowy. Jeśli jednak chciałaby pani nauczyć się wędkowania, będę zachwycony, służąc pani... - Urwał, uderzony nagłą myślą. - Niestety, nie w tym roku. Co za szkoda.

Najwyraźniej hrabia zaplanował wyjazd z Fratcombe. Jej rycerz w lśniącej zbroi uratował ją, a teraz zniknął w poszukiwaniu nowych przygód. Być może zamierzał nieść pomoc innej damie w opałach. Jeśli jej twarz odzwierciedliła te gorzką refleksję, to Jonathan tego nie zauważył, gdyż ciągnął niezrażony:

- Jazda konna to jednak co innego, można się nią cieszyć przez cały rok. Czy pani jeździ? Nie, proszę nie mówić, że pani nie wie, proszę powiedzieć, czy zechciałaby pani spróbować. Osiodłam dla pani najłagodniejszą klacz i oboje sprawdzimy, jak pani radzi sobie w siodle.

- Ja... - zaczęła Beth, lecz hrabia nie pozwolił jej skończyć.

- Jeśli okaże się, że pani jeździ, będziemy mogli wspólnie odbyć konny spacer. Co pani na to?

Planował wyjazd czy też nie? To pytanie nie dawało Beth spokoju. Pokręciła głową, usiłując rozeznąć się w sytuacji.

- Zapewniam panią, że w mojej propozycji nie ma niczego niestosownego, a przez cały czas będzie nam towarzyszył stajenny.

Najwyraźniej źle ją zrozumiał. Nic dziwnego, czuła się całkiem skonfundowana.

- Najmocniej przepraszam. Nie odrzucam propozycji, tylko... - Zamknęła usta, żeby nie paplać jak podekscytowana pensjonarka, i odetchnęła głęboko. - Nie mam pojęcia, czy uczyłam się jeździć konno, i zgadzam się, że warto byłoby się tego dowiedzieć. Nie mogę jednak uwierzyć na słowo, że pańska propozycja jest właściwa z punktu widzenia przyjętych zwyczajów. Może pan hrabia pozwoli mi zasięgnąć rady pani Aubrey i po tym podjąć decyzję?

- Trzeba przyznać, że niezależnie od utraty pamięci, pani poczucie przyzwoitości jest wręcz nienaganne - oświadczył Jonathan.

Beth nie była pewna, czy to komplement. Zanim zdołała się nad tym zastanowić, hrabia dodał:

- Jeśli mi pani pozwoli, spróbuję przekonać panią Aubrey, by zechciała nam towarzyszyć. Jestem pewien, że uzna przejażdżkę za korzystną.

Beth nie miała wyboru. Skinęła głową na zgodę i utkwiała spojrzenie w gładkiej tafli jeziora. Nagle jakieś trzydzieści jardów od brzegu pojawiły się zmarszczki.

- Och, czy to pstrąg?! - wykrzyknęła z ożywieniem.

- Być może.

- Dziwi mnie pańska reakcja. Twierdził pan, że jest zapalonym wędkarzem, dlaczego zatem nie chwyta pan za wędkę, by go złowić?

Hrabia uśmiechnął się protekcyjnie, jakby miał do czynienia z niezbyt mądrym dzieckiem. Beth poczuła przypływ złości i spiorunowała Jonathana wzrokiem.

- Mogę spytać, dlaczego pan śmieje się ze mnie? - wycedziła.

Na próżno usiłował przybrać poważny wyraz twarzy. Doszła do wniosku, że rzeczywiście się z niej naśmiewał, więc zabrała rękę i stanęła do hrabiego plecami. Uznała, że woli w ogóle z nim nie rozmawiać, niż dać się tak traktować.

- Jeśli to pstrąg, to mamy do czynienia z cudem - wyjaśnił Jonathan. - Tak naprawdę to wcale nie jest śmieszne. Pod moją nieobecność czaple wyjadły wszystkie ryby i trzeba ponownie zarybić jezioro.

- Och... - Beth odwróciła się, żeby spojrzeć na hrabiego. - To wyjaśnia, dlaczego pan mówił...

Przyrzekła sobie w duchu, że pewnego dnia nauczy się, że należy chwilę pomyśleć, nim otworzy się usta. Przy innych była ostrożna i opanowana, dlaczego zatem przy Jonathanie, i tylko przy nim, zachowywała się jak idiotka? Powinna trzymać emocje na wodzy.

- Skoro oboje doszliśmy do porozumienia w kwestii jazdy konnej, wędkowania...

- Oraz owiec - dodała szybko.

- Oraz owiec - powtórzył - proponuję, byśmy wrócili do domu i skonsultowali się z panią Aubrey co do stosowności wspólnej przejażdżki. Czy mogę służyć ramieniem, panno Beth?

Jonathan zanurzył się w gorącej wodzie i zamknął oczy. Dzień był cudowny. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio tak miło spędził czas. Proste rozrywki były najprzyjemniejsze, a konna jazda w towarzystwie panny Aubrey okazała się znakomitym pomysłem na spędzenie czasu. Być może Beth nie potrafiła wędkować, choć o tym mieli dopiero się przekonać, jednak z pewnością wpojono jej reguły konnej jazdy. Było to oczywiste od pierwszej chwili. Pewnie siedziała w siodle i bez trudu panowała nad kłaczą.

Tak, zdecydowanie była damą: wykształconą, kulturalną, znającą się na muzyce, doskonale radzącą sobie w siodle. Dlaczego jednak nikt jej nie szukał? Już od niemal roku mieszkała na plebanii we Fratcombe, a nadal stanowiła dla wszystkich zagadkę. Biorąc do ręki mydło, hrabia zaczął się zastanawiać, czy Beth także zażywa teraz kąpieli. Po długiej jeździe z pewnością bolały ją mięśnie. Pani Aubrey posłała ich do parku, z obowiązkowym stajennym, który dyskretnie trzymał się z tyłu. Wspólna wyprawa sprawiła Jonathanowi taką przyjemność, że zapomniał o zdrowym rozsądku. Powinien był wiedzieć, że zbyt długa jazda zaowocuje cierpieniem. Beth jednak się nie uskarżała. Damie nie wypadało narzekać, a poza tym w głębi duszy liczył na to, że milczała, gdyż znakomicie się bawiła w jego towarzystwie i nie chciała z tego zrezygnować.

Panna Aubrey była jego gościem, nikim więcej, upomniał się w duchu. Nawet jeśli jego towarzystwo podczas przejażdżki sprawiało jej przyjemność, nie było się czemu dziwić, miała niewiele rozrywek. Co jakiś czas odwiedzała pannę Alleyns i pannę Gran-

tlej, ale poza tym bezpłatnie uczyła dzieci i pomagała pani Aubrey w przedsięwzięciach dobroczynnych. Upierała się, że tylko rewanżuje się pastorostwu za ich wspaniałomyślność, ale Jonathan uważał, że młoda kobieta powinna mieć trochę czasu dla siebie, by cieszyć się rozrywkami, takimi jak choćby konna jazda.

Nagle poczuł zadowolenie na myśl o tym, że za kilka dni wyjeżdża z Fratcombe. Beth Aubrey okazała się zbyt kusząca. Postanowił, że więcej nie odbędzie przejażdżki w jej towarzystwie, niezależnie od swoich chęci, ponieważ powstałyby plotki. Jako przyjaciel rodziny Aubreyów pod swoją nieobecność mógł jednak udostępnić Beth klacz, na której dziś jeździła. Stajenni i tak nie mieli co robić. Doszedł do wniosku, że poinstruuje ich, aby każdego dnia przygotowywali wierzchowca i towarzyszyli panie Aubrey tam, gdzie akurat będzie miała ochotę się udać. Mógł zapewnić jej dostęp do całego parku. Był pewien, że gdy mięśnie Beth przywykną do regularnej jazdy, rozrywka zacznie jej sprawiać większą satysfakcję.

Nagle uświadomił sobie, że będzie za nią tęsknił. Przy Beth nie musiał powściągać języka. Często zdawała się rozumieć, co chciał powiedzieć, zanim słowa padły z jego ust. Razem się śmiali i gawędzili o wszystkim, bez żadnych zahamowań, łączyła ich również miłość do natury i świeżego powietrza, a także do ziemi. Co za szkoda, że Beth nie jest mężczyzną! Wtedy mogliby się bez przeszkód zaprzyjaźnić.

Jonathan czuł, że mimo wszystko powinien unikać panny Aubrey. Wcześniej uznał, że gdy oddalą się od siebie, przestanie pożądać jej ciała. Tak się jednak nie stało, w dodatku do pożądania doszły podziw i szczerą sympatią.

Zaczął szukać mydła w stygnącej wodzie, po czym energicznie wyszorował nogi.

- Przyniosłam gorącą wodę, panienko Beth - oznajmiła Hetty, dźwigając dużą, mosiężną bańkę, którą postawiła na stole.

- Mój Boże, zasnęłam! Jak to się stało? - Beth usiadła i odrzuciła kołdrę. - Och! - Ledwie mogła się ruszyć. Bolały ją wszystkie mięśnie. - Wielkie nieba, czuję się tak, jakby ktoś zbił mnie kijem do krykieta.

Hetty podeszła do Beth, żeby pomóc jej wstać.

- Ostrzegałam, lecz panienka nie chciała słuchać - Pokiwała głową. - Trzeba było wziąć długą gorącą kąpiel i nasmarować ciało balsamem. Nie wolno było tak długo jeź-

dzić, skoro panienska nie nawykła, nawet jak jaśnie pan się upierał. On powinien lepiej wiedzieć.

Od pewnego czasu Hetty zachowywała się w sposób niezwykle bezpośredni, jednak Beth zbyt sobie ceniła pocziwą dziewczynę, by ją strofować.

- Po co na nowo uczyć się jeździć, jak panienska wkrótce nie będzie miała konia? - mówiła dalej Hetty. - Przecież sama panienska nie będzie wyjeżdżała, prawda?

Beth mimowolnie się skrzywiła. Wyleciało jej z pamięci, że Jonathan niedługo wyjeżdża do jednej ze swoich posiadłości. Nie wymienił do której, napomknął jedynie, że ma ich kilka i wszystkie wymagają starannego nadzoru. To należało do jego obowiązków, on zaś nie zwykł lekceważyć powinności.

Cieszyła się, że zdołała odkryć miłszą stronę jego osobowości. Pragnęła, by został jej przyjacielem, kimś, z kim mogłaby dzielić przyjemności, takie jak jazda konna czy spacer po łąkach albo po ocienionych, wiejskich ścieżkach. Przyjacielem, który dorównywałby jej dowcipem i przekomarzał się z nią, aż śmiałyby się do rozpuku, i z którym mogłaby swobodnie milczeć. Być może któregoś dnia tak się stanie. Nie wolno jej było mieć nadziei na nic więcej, a już tym bardziej o tym marzyć. Wiedziała, że będzie tęskniła za Jonathanem, czasami jednak przyjaciele muszą się rozstać. Tak to już bywa w życiu.

- Stajenny powiedział, że hrabia wyjeżdża z Fratcombe w poniedziałek rano - oznajmiła Hetty.

- W poniedziałek? - powtórzyła Beth.

Poniedziałek wypadł pojutrze. Czyżby oznaczało to, że ostatni raz miała zobaczyć Jonathana na niedzielnej mszy?

Hetty naląła wody do szklanki i wręczyła ją Beth, która zaczęła chciwie pić.

- Sam, znaczy się stajenny, panienko, powiedział, że na pewno w poniedziałek. Chyba że jaśnie pan znowu zmieni zdanie.

- Znowu? - powtórzyła Beth.

- Ano - przytaknęła Hetty. - Zdaje się, że miał wyjechać w zeszłym tygodniu, ale został. Sam powiada, że jaśnie pan chciał się nacieszyć pogodą i spokojem.

- To trochę dziwne. Jesteś pewna, Hetty?

- O, tak, panienko. Jak przebywa w swojej głównej posiadłości, to wyprawia przyjęcia. Sam twierdzi, że goście wchodzą i wychodzą, na okrągło. Ponoć mama jaśnie pana chce go na nowo ożenić, to i sprasza do domu co ładniejsze panny. Ja tam w to nie wierzę. Jaśnie pan jest za bardzo samodzielny, żeby rządziła nim mama albo jaka inna pani. A panienka jak myśli?

Beth przełknęła resztkę wody i wymamrotała coś w odpowiedzi. Hetty mogła mieć rację co do charakteru Jonathana, jednak nie rozumiała uwarunkowań jego społecznej oraz towarzyskiej pozycji. Był wdowcem i nie doczekał się potomka. Nawet bez ponagleń matki na pewno rozumiał, że nadeszła pora ponownego ożenku i sprowadzenia na świat dziedzica. Nic dziwnego, że wracał do King's Portbury, aby rozejrzeć się wśród kandydatek na nową hrabinę.

To tyle tytułem przyjaźni i prostych przyjemności.

TLR

Rozdział siódmy

Posiadłość we Fratcombe była spokojnym schronieniem, jednak nic nie mogło się równać z Lorrington. Jonathan zdążył zapomnieć, jakie to dzikie i odludne miejsce. George tu nie bywał zapewne dlatego, że z tej posiadłości nie mógł szybko wyciągnąć gotówki. W pobliżu nie mieszkały żadne szlacheckie rodziny, Jonathan więc nie musiał się zadawać z natrętnymi kandydatkami na żonę.

Po dwóch tygodniach objeżdżania ziemi i rozmów z dzierżawcami był głęboko zawstydzony tym, co z jego winy stało się z Lorrington. Ten majątek zajmował najmniej obszaru spośród wszystkich posiadłości hrabiego Portbury'ego, a mimo to podupadł. Farmy były w ruinie, a inwentarz zabiedzony i ledwie żywy. Część ziemi nadawała się pod uprawę, niemniej leżała odłogiem, gdyż rolnikom brakowało pieniędzy na nasiona i narzędzia. Jonathan postanowił, że zmieni ten stan rzeczy jak najszybciej i część nadwyżek z King's Portbury zainwestuje w Lorrington. Wiedział, że rejon ten nie stanie się bogaty, jednak zamierzał poprawić życie miejscowej ludności. Uczestnictwo w kampanii w Hiszpanii odmieniło Jonathana. Wśród jego żołnierzy znajdowali się mężczyźni ze wsi, porządni obywatele, którzy postanowili wojować w służbie króla, gdyż nie chcieli być ciężarem dla rodzin. Widział tych mężczyzn w walce, widział również, jak niektórzy z nich giną. Podczas hiszpańskiej zimy przekonał się, co głód robi z człowiekiem, i poprzysiągł sobie, że nie pozwoli, aby spotkało to kogokolwiek na jego ziemiach. To była kwestia honoru, zobowiązanie wobec tych, którzy polegli, a także jego powinność.

Postanowił, że najpierw dopełni obowiązków tutaj, w Lorrington, a potem znajdzie sobie żonę. Za długo zwlekał i skończyły mu się wymówki. Na pewno gdzieś była jakaś godna uwagi dama, której życie nie sprowadzało się wyłącznie do usidlenia bogacza. Na razie jednak jej nie spotkał.

Westchnął ciężko, poklepując konia po szyi, i doszedł do wniosku, że wszystkie te młode głupiątki na wydaniu są takie same i zdolne przyprawić mężczyznę o permanentną niestrawność. Dlaczego żadna z nich nie przypomina panny Aubrey? Niezadowolony, że Beth ponownie wdarła się w jego myśli, popędził konia i pogalopował po łąkach aż do stóp porośniętego kolcolistami wzniesienia. Chciał wjechać na sam szczyt, ponieważ z

góry miał szansę dostrzec coś, co wcześniej przegapił. Na przykład zapomnianą farmę, gdzie dzieci biegały bosy lub nie mogły chodzić do szkoły. Pogodził się z faktem, że do jego obowiązków należy dopilnowanie, aby wszystkie dzieci z jego posiadłości dostały szansę na lepsze życie.

To przypomniało mu obietnicę złożoną pannie Beth, a dotyczącą jej protegowanego. O ile dobrze pamiętał, chłopczyk miał na imię Peter. Postanowił, że natychmiast po powrocie do Fratcombe porozmawia o tym dziecku z zarządcą. Nie chciał ujrzeć rozczarowania w pięknych oczach Beth, gdyby odkryła, że nie dotrzymał słowa. Dlaczego nie przypomniała mu o tym przed wyjazdem?

To było oczywiste - dlatego, że uważała go za przyjaciela i człowieka, który nie łamie obietnic. Nie mógł jej odpłacić tym samym, gdyż nie ufał nikomu, a jednak na niej mógł polegać. W to akurat ani trochę nie wątpił.

Przyszło mu do głowy, że wolałby spędzić jedną godzinę z Beth niż tygodnie na wysłuchiwanie paplaniny dam z towarzystwa. W przeciwieństwie do nich Beth była spokojną i opanowaną kobietą, w dodatku bardzo powabną. Ściągnął wodze i zeskoczył z siodła, żeby przebyć pieszo resztę drogi na strome wzgórze, nie przestał jednak rozmyślać o Beth. Wydawała mu się zbliżona do ideału żony, a jednak właśnie jej nie mógł poświęcić. Dlaczego los tak okrutnie z niego zadrwił?

Odpowiedź była oczywista. Jako hrabia Portbury musiał ożenić się z kobietą z własnej sfery, legitymującą się odpowiednim pochodzeniem i koligacjami. Tego wymagało od niego poczucie obowiązku. Od lat na pierwszym miejscu stawiał powinności i co mu to dało poza ciężką pracą i głębokim rozczarowaniem? Chyba mężczyzna jest kimś więcej niż tylko niewolnikiem zobowiązań? Pozycja, majątek oraz tytuł obligowały go, ale przecież zarazem pozwalały na swobodę. Na dobrą sprawę nie musi się kierować zasadami wyznaczonymi dla maluczkich i zwracać uwagi na cudze opinie. Powinien sam decydować, co leży w jego najlepiej pojętym interesie.

Jonathan podjął decyzję. Postanowił, że gdy tylko wróci do Fratcombe, natychmiast zjawi się na plebanii.

Beth ucieszyła się, kiedy jej solowy występ dobiegł końca i mogła zająć miejsce na ławie. Była zadowolona także i z tego, że Jonathan nie wrócił i nie wysłuchał jej śpiewu,

gdyż znów zastanawiałby się, czy przypadkiem nie symulowała utraty pamięci. Zdarzały się chwile, w których żałowała, że tak nie jest - przynajmniej wiedziałyby, kim jest.

W snach, czasami przeobrażających się w koszmary, pojawiały się jakieś miejsca, a nawet ludzie, ale po przebudzeniu okazywało się, że te strzępy wspomnień nie układają się w nic sensownego. Ostatni sen różnił się jednak od poprzednich. Pełen kolorów i zapachów, wydawał się wręcz bardziej prawdziwy od życia dlatego, że śniła o Jonathanie.

- Módlmy się. - Głos pastora przywołał Beth do rzeczywistości.

Uklękła i zaczęła żarliwie się modlić o wybawienie od mężczyzny, który nawiedzał jej myśli i którego nie ośmieliłaby się nazwać przyjacielem.

Msza minęła szybciej niż zwykle. Po mszy pastor, jak zwykle, stanął u wejścia do świątyni, aby zamienić słowo z parafianami, zapytać o nieobecnych, chorych i niedołączonych. Z wnętrza kościoła widać było zarys jego sylwetki. Beth pomyślała, że wielebny jest naprawdę dobrym człowiekiem. Nic dziwnego, że ludzie go uwielbiają.

- Chyba możemy już iść, kochanie. - Pani Aubrey wskazała głową otwarte drzwi. - Zastanawiam się, czy pastor zaprosił jakichś gości - dodała po chwili.

Po mszy wielebny często wprowadzał potrzebujących do kuchni na plebanii. Niezmiennie powtarzał, że to część boskiego planu, a jego żona nie protestowała.

Po wyjściu z kościoła Beth przymknęła powieki, oślepiona słońcem. Kiedy szła na mszę, niebo było zachmurzone, teraz się przejaśniło i wiał lekki, jesienny wietrzyk. Beth zsunęła szal z ramion i wystawiła twarz ku słońcu.

- Pięknie, prawda?

To nie był głos pastora, ale Jonathana!

Cofnęła się tak szybko, że omal nie straciła równowagi. Na szczęście podtrzymało ją męskie, silne ramię.

- Proszę uważać, inaczej się pani przewróci - ostrzegł hrabia. - Lepiej przyzwyczaić oczy do światła.

- Trzymał Beth za rękę. Czowała siłę jego palców i ciepło bijące od ciała. - Panno Aubrey? - zaniepokoił się.

- Czy coś się stało?

Zmusiła się, żeby spojrzeć na Jonathana, na twarz ze swoich snów. W rzeczywistości był równie pociągający jak w jej marzeniach.

- Panie hrabio - powiedziała cicho, usiłując dyskretnie wysunąć dłoń z jego uścisku. - Nie spodziewaliśmy się tak rychłego pańskiego powrotu.

Doszła do wniosku, że te słowa zabrzmiały uprzejmie i jednocześnie chłodno.

- Obawiam się, że przybyłem za późno, aby wziąć udział w porannej mszy. Przeprosiłem wielebnego.

- Drogi Jonathanie, czyżbyś podróżował w Dzień Pański? - Pani Aubrey pogroziła mu palcem. - Wstyd, mój drogi. Mam nadzieję, że pastor odpowiednio cię zganił.

- Niestety, nie, proszę pani. - Jonathan uśmiechnął się niczym niegrzeczny uczeń.

- W rzeczy samej, nie - wtrącił pastor. - Bo i w jakim celu? Możesz wziąć to zadanie na siebie, droga Caro. Zaprosiłem go na obiad.

Posiłek dobiegał końca. Beth zastanawiała się, kiedy hrabia wreszcie opuści ich towarzystwo. Nazbyt długo wypijał filiżankę kawy. Skupiła uwagę na słowach pastora, starając się unikać wzroku gościa. W pewnym momencie podniósł się z miejsca i podszedł do stolika z zastawą, gdzie siedziała Beth. Wyglądało na to, że zamierza odstawić filiżankę, ale się zawahał, odwrócił w kierunku pani Aubrey, a potem znów spojrzął na Beth. To było dla niego nietypowe zachowanie. Beth знаła go jako człowieka stanowczego. Co takiego zaszło podczas jego nieobecności we Fratcombe?

Uświadomiła sobie, że pewnie chce powiadomić ich o planach małżeńskich. Tak, niewątpliwie chodziło właśnie o to. Wszyscy we Fratcombe wiedzieli, że jego matka zapraszała do King's Portbury najbardziej pożądane młode damy z wyższych sfer. Mówiono, że nawet zjawiła się tam córka księcia. Beth rozumiała, że hrabia potrzebuje żony o odpowiedniej pozycji. Córka księcia doskonale by się nadawała do tej roli. Była zdecydowana nie zdradzić rumieńcem ani miną, że mimo wszystko nowina ogromnie ją rozczaruje. Jak sam hrabia podkreślił, ona jest znajdą, przybłądą, nikim. Nawet nie ma prawa nazywać się jego przyjaciółką.

- Drodzy państwo, przyjęliście mnie po powrocie z otwartymi ramionami, za co jestem ogromnie wdzięczny - zaczął Jonathan. - Zastanawiam się jednak, czy mógłbym

jeszcze chwilę tu pobyc. Chętnie przeszedłbym się po państwa ogrodzie, nim wrócę do swojej posiadłości.

Beth zamarła. Na litość boską, o czym on mówił? Chciał spacerować po ogrodzie na początku października?

- Zauważyłem, że niektóre z drzew wyglądają niezwykle interesująco w barwach wczesnej jesieni, zwłaszcza w świetle wczesnego wieczoru - dodał Jonathan.

- Nie sądziłem, że taki z ciebie miłośnik ogrodów - w głosie pastora pobrzmiwało rozbawienie - lecz nie będę ci zabraniał. - Podniósł się z krzesła. - Moja droga, czy zechcesz...

Pani Aubrey pokręciła przecząco głową i rozsiadła się jeszcze wygodniej, a hrabia szybko uniósł rękę.

- Proszę wybaczyć, nie będę narzucał państwu swoich kaprysów i zakłócał wypoczynku.

Z widoczną ulgą pastor ponownie usiadł na krześle.

- Jestem pewien, że nasza podopieczna chętnie się przejdzie, zwłaszcza po długim wysłuchiowaniu paplaniny starego człowieka. Daj spokój, moje dziecko - dodał, kiedy Beth otworzyła usta, aby zaprotestować. - Przecież nie pozwolimy gościowi błąkać się samemu po ogrodzie. Bądź tak uprzejma i oszczędź mi wysiłku.

Beth rzuciła pani Aubrey błagalne spojrzenie, licząc na to, że pastorowa zmieni zdanie i do nich dołączy, ona jednak spoglądała z troską na męża.

- Jestem tylko trochę zmęczony, Caro, i tyle. Niedziela to nie jest dzień odpoczynku dla duchowieństwa. Oszczędzam siły na wieczorne nabożeństwo.

To najwyraźniej przekonało panią Aubrey, gdyż rysy jej twarzy złagodniały. Popatrzyła na Beth.

- Moja droga, koniecznie weź ze sobą szal - przykazała jej. - O tej porze roku wcześniej robi się chłodno.

Beth skinęła głową i rozejrzała się w poszukiwaniu szala, nie mogła jednak przypomnieć sobie, gdzie go położyła. Zanim zdołała choćby ruszyć ręką, Jonathan chwycił szal i zarzucił na jej ramiona, nawet nie prosząc o pozwolenie.

- Idziemy, droga pani? - spytał z uśmiechem. - Nim zajdzie słońce i rzeczywiście pochłodnieje?

Lekko skinęła głową, nie mogąc wydusić z siebie choćby słowa. Razem wyszli przez przeszklone drzwi wprost do ogrodu. Beth dopiero po kilku minutach zmusiła się do przerwania ciszy.

- Jak na miłośnika ogrodów, pan hrabia poświęca drzewom niesłychanie mało uwagi. - Nie chciała, by jej słowa zabrzmiały niczym oskarżenie, ale tak właśnie było. Nic nie mogła na to poradzić, ledwie nad sobą panowała.

- Panno Aubrey - rzekł Jonathan - miałem nadzieję na chwilę prywatnej rozmowy. Obawiam się, że pretekst był marny. - Przystanął. Beth nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. - Jest coś, co muszę pani powiedzieć.

Najwyraźniej Jonathan postanowił na osobności zwierzyć się ze swoich planów małżeńskich, uznała Beth. A zatem naprawdę traktował ją jak przyjaciółkę. Zrobiło jej się ciepło na sercu, ale po chwili znów posmutniała, uświadomiwszy sobie, że przyjaźń wkrótce dobiegnie końca.

Jonathan patrzył w stronę drzew i cmentarza, ale jego spojrzenie błędziło bez celu.

- Zdecydowałem, że muszę ponownie się ożenić. To konieczne, zważywszy na moją pozycję w wyższych sferach. Potrzebna jest nowa hrabina Portbury i... - urwał, zerkając na Beth. - Starannie rozważyłem wszystkie opcje i doszedłem do wniosku, że nie odpowiadają mi te nowomodne wymysły na temat miłości. - Starał się mówić rzeczowym tonem. - Moim zdaniem, mężczyzna powinien wybrać partnerkę, która pasuje do niego pod każdym względem. Potrzebuje damy, gotowej zająć się domem i stworzeniem wygodnego schronienia dla swojego wybranka.

Schronienie? Najwyraźniej było to dla niego bardzo ważne, Beth nie była tylko pewna dlaczego. Może miało to coś wspólnego z czasem spędzonym na wojnie w Hiszpanii. Dziwne, że tak silny mężczyzna był jednocześnie bardzo wrażliwy. Jonathan odechnął głęboko, a ona pomyślała, że teraz wyzna jej, kogo wybrał na żonę.

- Widzę po pani minie, że się płaczę. Proszę mi wybaczyć. Nieczęsto mężczyzna zmuszony jest ubierać takie myśli w słowa. Chciałem tylko wyjaśnić, czego szukam, aby nie zwiść pani co do moich motywów.

Nagle chwycił Beth za dłonie i umilkł, czekając, aż ona się odezwie.

- Ja... nie wątpiłam w intencje pana hrabiego.

- Oczywiście, że nie. Pani widzi dobro we wszystkim i w każdym. Czy zechce pani uczynić mi ten zaszczyt i zostać moją żoną? - zapytał.

Beth otworzyła usta, lecz nie wydobyły się z nich żadne słowa. Zakręciło się jej w głowie i lekko się zachwiała. Doszła do wniosku, że zaraz zemdleje. Hrabia chwycił ją za ramiona, a następnie podprowadził do ławeczki ustawionej pod rozłożystym bukiem. Liście na drzewie zaczynały brązowieć, lecz jeszcze nie opadły. Gdy Beth usiadła, Jonathan bezceremonialnie pochylił jej głowę tak, że znalazła się między jej kolanami.

- Zaszokowałam panią - stwierdził. - Nie było to moim zamiarem.

Po chwili Beth się wyprostowała. Na tle poblądłej twarzy oczy wydawały się olbrzymie i bardzo ciemne.

- To nieładnie tak sobie ze mnie kpić, panie hrabio - przemówiła załamującym się głosem. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

Jonathan usiadł na ławeczce i wziął Beth za rękę.

- Zbyt cenię sobie pani opinię, aby zrobić coś takiego - oświadczył żarliwie. - Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Nigdy bym z pani nie zakpił. Moje oświadczenia są całkiem szczerze. Nie znam innej kobiety, przy której czułbym się równie dobrze jak przy pani. Wiem, że nie mam do zaproponowania nic szczególnego, chcę jednak, aby między nami nie było niedomówień. Nie będę pani zwodził deklaracjami miłości, nie jest pani pustogłową damulką, która bezmyślnie powtarza opinie ze stron ostatnio przeczytanego romansu. Jest pani rozważna i praktyczna. Liczyłem na to, że moja oferta okaże się kusząca - zyska pani dom i pozycję w towarzystwie, wreszcie znajdzie swoje miejsce. Czy przyjmie pani moje oświadczenia?

Ze zduszonym łkaniem Beth wyrwała rękę z uścisku hrabiego i zerwała się na równe nogi.

- Wygląda na to, że nie dowiem się, kim jestem, panie hrabio - powiedziała. - Nie mam nazwiska poza tym, które zechcieli nadać mi Aubreyowie. Nie byłabym odpowiednią żoną dla żadnego dżentelmena, a już na pewno nie dla hrabiego Portbury'ego. Wybaczam panu ten marny żart. Zapomnijmy o nim.

Jonathan uświadomił sobie, że kurczowo uczeplił się wizji komfortowego życia z Beth. Oczywiście wyobraźni widział, jak w milczeniu siedzi razem z nim przy kominku. Ani razu nie przyszło mu do głowy, że być może wcale nie podziela jego tęsknoty za domowym azylem. Szczerze mówiąc, w ogóle nie zastanawiał się nad tym, czego może oczekiwać. Po raz pierwszy od dawna przyjrzał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że najwyraźniej poczuła się urażona jego oświadczeniami. Pomyślał, że za chwilę odejdzie, chyba że...

Zerwał się z ławki i objął Beth w pasie. Ponieważ nie wierzyła w jego słowa, postanowił przekonać ją pocałunkiem.

Najpierw lekko musnął jej usta, niepewny, jak zareaguje. Delikatnie rozchyliła wargi, a on pojął, że Beth nie ma doświadczenia i nieśmiało próbuje odwzajemnić pocałunek. Objął ją, przytrzymując jej głowę dłonią. Gdy pogłębił pocałunek, z jej ust wydobył się cichy jęk. Uniosła ręce i objęła go za szyję. Wtedy zrozumiał, że łączy ich coś więcej niż tylko przyjaźń. Rzecz jasna, mogli przesiadywać przy kominku, ale zyskał przekonanie, że oboje chętniej spędzaliby czas w bardziej intymny sposób.

Beth poczuła się błogo, jakby zanurzyła się w aromatycznej kąpieli. Jednocześnie była ożywiona i pełna energii. Rozkoszne dreszcze przeszywały jej ciało od policzków przez szyję do piersi i brzucha. Pragnęła, aby Jonathan nigdy nie przestawał jej dotykać. Wsunęła palce w jego gęste włosy. Wyczuwała, że panował nad sobą, aby jej nie spłoszyć. Choć była niedoświadczona, czy też tak się jej wydawało, zrozumiała, że pocałunek lada moment może zmienić się w coś nieporównanie bardziej poważnego.

Hrabia jej pożądał. Uświadomiwszy to sobie, natychmiast powróciła do rzeczywistości. Oparła dłonie na torsie Jonathana i odepchnęła go, jednocześnie odrywając usta od jego warg.

- Nie! - wykrzyknęła.

Nie próbował jej powstrzymać. Opuścił ręce i cofnął się o krok. Beth zacisnęła dłonie w pięści, żeby tak mocno nie drżały.

- Panie hrabio...

- Jonathan - przerwał jej. - W skrócie Jon - dodał.

Chciał, żeby zwracała się do niego po imieniu? Władnie się jej oświadczył i wyglądało na to, że nie żartował. Ten pocałunek sprawił, że zmiękła w jego ramionach niczym wosk...

- Beth? - On też wydawał się niepewny. Wyciągnął dłoń, pytając: - Czy mnie pani zechce?

Odważyła się spojrzeć na niego, lecz nie zdołała niczego wywnioskować z jego miny. Do perfekcji opanował ukrywanie emocji, wiedziała jednak, że oświadczenia były szczere.

- To niemożliwe. Pan dobrze o tym wie.

Stał nieruchomo, a jego wyciągnięta dłoń nawet nie drgnęła.

- Jest pan hrabią Portburym, a ja nikiem. Nie mam przeszłości, rodziny ani własnego nazwiska. Obraża mnie pan, sugerując, że weźmie mnie za żonę! - zirytowała się Beth.

Paradoksalnie ten wybuch ją ocalił, znowu nad sobą panowała. Odwróciła się i szybkim marszem ruszyła ku plebanii, by się schronić przed Jonathanem.

Dogonił ją po zaledwie trzech krokach, lecz jej nie dotknął. Gdyby to zrobił, pewnie by się rozpląkała.

Szedł obok, z poważnym wyrazem twarzy. Znowu wyciągnął rękę, ale tym razem stanowczym, władczym gestem i Beth przystanęła.

- Będzie pani nosiła moje nazwisko - oświadczył. - Zostanie pani hrabiną Portbury, moją żoną. Nikt nie ośmieli się ani protestować, ani zakwestionować tego faktu.

Był bardzo pewny siebie i ogromnie się mylił.

- Wszyscy będą to kwestionować. Nie ma pan pojęcia, jakie złe uczynki spowodowały moją ucieczkę. Nigdy nie przyszło panu do głowy, że straciłam pamięć z powodu okropności, które kryje przeszłość? Hrabia Portbury nie może ryzykować skandalu. A jeśli jego żona okaże się zbiegiem albo oszustką? Jak w takim przypadku zareagują ludzie z pana sfery?

- Nikt nie ośmieli się oskarżyć mojej żony o cokolwiek - odparł hrabia, lekceważąco machając ręką. Mówił tak aroganckim tonem, że Beth zamilkła. Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem, po czym dodał spokojniejszym głosem: - Jest pani dobrym czło-

wiekem. Jeśli pani uciekła, to dlatego, że ktoś cię skrzywdził, a nie na odwrót. Wierzę w to i wiem, że to prawda. Nikt nie odważy się twierdzić co innego.

- Oczywiście, że się odważą - powtórzyła, ale z mniejszym przekonaniem w głosie.

- Będą mówili, że hrabia Portbury oszalał, żeniąc się z taką kobietą. Bez wątplenia będą przestrzegali konwenansów, ale na każdym kroku spotkamy się z plotkami i złośliwościami. Dotyczy to nie tylko mnie, ale pana również. Chyba pan to rozumie.

- Nie rozumiem. Co więcej, nie interesują mnie plotki. Nie żenię się dla innych, ale dla siebie. Nie chcę się do nich dopasowywać. Nic mnie oni nie obchodzą. Beth, czy przejmujesz się pani cudzymi ocenami? Sądziłem, że pragnie pani żyć z dala od towarzystwa, podobnie jak ja. Niech wygadują, co chcą. Nie są nam do niczego potrzebni, ani oni, ani ich opinie. Nasze wspólne życie będzie spokojne i pełne zadowolenia. To wspa-
niała perspektywa, prawda?

To było coś więcej niż wspa-
niała perspektywa - to byłby raj. Beth nie mogła powiedzieć tego głośno. Nie potrafiła skłamać, więc tylko wpatrywała się w niego bez słowa.

Jonathan odchrząknął.

- Widzę, że zaszokowałem panią oświadczeniami - zauważył. - Nic dziwnego. Wychowano cię na delikatną istotę.

Przecież nie wie nic o moim wychowaniu, pomyślała Beth. Sama nie miała pojęcia, kto ją wychował.

- Chcę, by przyjęła pani do wiadomości, że oświadczenia są szczerze. Uczyniłaby mi pani wielki honor, gdybyś zechciała je przyjąć. Może przynajmniej nie odmówi pani od razu? Proszę rozważyć moją propozycję. - Z wahaniem zrobił krok w jej kierunku. - Proszę, Beth. Niech pani się zastanowi.

Poczuła nieprzewartą chęć pogłaskania go po twarzy, ale ukryła dłonie za plecami. Musiała go powstrzymać, ocalić, nie mogła dopuścić do tego, żeby jej uczucia zwyciężyły w walce ze zdrowym rozsądkiem.

Wbiła wzrok w ziemię, świadoma, że nie zdoła spojrzeć Jonathanowi w oczy.

- To nie ja powinnam rozważyć propozycję - szepnęła. - Czy nie przyszło panu do głowy, że oświadcza się kobiecie, która może być mężatką?

Rozdział ósmy

Jonathan poczuł się tak, jakby otrzymał silny cios. Był jednak zbyt wytrawnym bokserem, aby poddać się tylko dlatego, że nieoczekiwanie posłano go na deski. Musiał się pozbierać, ponieważ w tej poważnej sytuacji przegrana nie wchodziła w grę.

- Proszę na mnie popatrzeć - powiedział łagodnie i sięgnął po jej zaciśnięte dłonie.

Zesztywniała, ale po chwili ustąpiła. Nie usiłował rozdzielić jej palców, po prostu uniósł je do ust i pocałował. Beth nie odrywała wzroku od ziemi. Może czuła przed nim obawę?

- Nie powinna pani się niepokoić. Uważam cię za silną kobietę, która nie boi się niczego ani nikogo. Jestem pani przyjacielem, Beth. Proszę spojrzeć na mnie.

Słowo „przyjaciel” najwyraźniej podziało lepiej niż dotknięcie. Beth powoli uniosła głowę i popatrzyła Jonathanowi w oczy. Milczała. Nie musiała mówić, wszystko dało się wyczytać z jej twarzy. Choć przyjęła do wiadomości, że niedawne oświadczyły to nie żart, nadal nie widziała dla nich wspólnej przyszłości.

- Zapewniam panią, że myli się co do naszego małżeństwa.

- Nie wchodzi w rachubę z powodu rozlicznych względów.

- Nie zgadzam się z panią - zastrzegł się Jonathan.

- Pozwoli mi pani wyjaśnić dlaczego? - Ujął Beth za rękę i znowu zaprowadził do ławeczki pod bukiem. Gdy zajęła miejsce, usiadł obok niej, lecz nie za blisko.

- Powiniennem najpierw o coś spytać. Nadal uważa pani, że pozwoliłem sobie na głupi żart?

Lekko zarumieniona, pokręciła głową.

- Świetnie. To już jakiś początek. - Bardzo delikatnie poklepał ją po dłoni, ale i tak się wzdrygnęła, szybko więc cofnął rękę. Jeszcze jeden fałszywy ruch, a Beth ucieknie. - Uważa pani, że być może jest mężatką. To logiczne założenie, niemniej jako mężczyzna zdaję sobie sprawę z tego, że z całą pewnością jest pani... nietknięta.

- Nietknięta? - Beth silnie się zarumieniła.

Jonathan pomyślał, że nie najlepiej to ujął. O pewnych aspektach małżeństwa nie rozmawiało się z dobrze wychowanymi pannami.

- Uważa pani, że nie jest dość dobra, aby zostać hrabiną - podjął. - Moją hrabiną - podkreślił. - Może pozwoli pani, że ja będę sędzią w tej sprawie? Proszę mi wierzyć, pani brak pamięci w ogóle nie ma znaczenia. Jest pani damą w każdym calu. Słysząc to w każdym wypowiedzianym słowie, widać we wszystkim, co pani robi. Przyznaję, że moja żona musi być damą, ale spełniasz ten warunek.

Kiedy Beth próbowała zaprotestować, pokręcił głową i nie dopuścił jej do głosu.

- Mam stanowczo dosyć dam z wyższych sfer, a zwłaszcza szukających męża debutantek. W innych okolicznościach nie rozmawiałbym o poprzednim nieudanym małżeństwie, jednak powinna pani to wiedzieć. Moja zmarła żona była córką księcia, lecz niczego nie wniosła w nasz związek, nie kochałem jej i nie szanowałem. Potrzebuję żony, która będzie moją towarzyszką i przyjaciółką, kobiety, którą będę szanował, a nie głupiatka skupionego wyłącznie na balach i na najnowszej modzie. Beth, naprawdę jest pani niezwykła. Zależy pani na innych, chcesz zrobić coś pożytecznego dla ludzi i świata. Jako hrabina Portbury będzie pani mogła korzystać z mojego bogactwa i pozycji, by osiągać swoje szczytne cele. Proszę pomyśleć o tym, jak dużo dobrego mogłaby pani zdziałać.

Usłyszał jej ciche westchnienie.

- Będzie nam dobrze razem, tego jestem pewien. Proszę wyobrazić sobie nasze wspólne życie. - Umilkł, zastanawiając się, czy powiedział dość, aby ją przekonać.

Beth wysunęła rękę z uścisku hrabiego i znów złączyła dłonie. To nie był dobry znak. Czyżby ponownie zamierzała odmówić?

- Co pan uczyni, jeśli nie przyjmę oświadczyn? - zapytała nieoczekiwanie.

Następny cios, uznał hrabia.

- Wtedy... - urwał. Był jej winien przemyślaną odpowiedź na tak ważne pytanie. Uświadomił sobie, że nie wie, co powiedzieć, całkiem jakby w ogóle nie wziął pod uwagę możliwości, że Beth nie przyjmie oświadczyn.

Milczenie się przedłużało. Ku swojemu zaskoczeniu, Jonathan dobrze się czuł, siedząc w ciszy obok Beth i zastanawiając się nad odpowiedzią na jej pytanie. Tak jak

przypuszczał wcześniej, potrafił się przy niej odprężyć. Takiej żony potrzebował i nie mógł pozwolić sobie na jej utratę. Gdy w pełni uprzytomnił to sobie, poczuł się jak dowódca w trakcie bitwy. Musiał walczyć, i to z całych sił, aby przekonać Beth do swojego planu. Dotychczasowa taktyka zawiodła, zatem...

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

- Mam propozycję - powiedział.

- Propozycję? - powtórzyła Beth. - Nie rozumiem.

Uśmiechnął się szeroko. Nareszcie odzyskiwał kontrolę nad sytuacją.

- Szczerze pani się oświadczyłem, a pani zapytała rozważnie, co zrobię, jeśli mi odmówisz. Odpowiem, jednak nie tutaj i nie teraz. Jeśli się pani zgodzi, to jutro zjawię się na plebanii i zabiorę cię na przejażdżkę powozem. Gdy tylko dotrzemy do parku, pozbędę się stajennego, abyśmy mogli porozmawiać sam na sam. Obiecuję, że wtedy odpowiem na pytanie. Może pani, z kolei, udzieli odpowiedzi na moje oświadczyzny?

- Ja... nie powinnam... - Zająknęła się. - Czy pan nie przyjmie mojej odpowiedzi teraz?

Jonathan pokręcił głową i popatrzył na Beth. Dostrzegł, że jej opór słabnie. Czuł, że jeśli da jej czas do namysłu, to nie wszystko straci.

- Jeśli chce pani usłyszeć moją odpowiedź, zanim cokolwiek pani powie, będziesz musiała jutro odbyć ze mną przejażdżkę. To co, umowa stoi?

Dość długo Beth siedziała nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń przed sobą. Jonathan czekał. Wiedział, że im dłużej ona będzie się zastanawiała, tym większe są jego szanse. Czekalby i do nocy, gdyby to mogło pomóc jego sprawie. Nagle Beth wstała z ławki, wdzięcznie i z gracją, jak na damę przystało. Tym razem nie próbowała go powstrzymać, kiedy ruszył za nią po ścieżce.

- Może wejdziemy do domu? - zaproponowała pozornie beztroskim głosem. - Robi się nieco chłodno, a ciocia Caro na pewno się o nas niepokoi.

Nie czekając na zaproszenie, wzięła go pod ramię i ruszyli do domu.

- Miejmy nadzieję, że ta piękna pogoda potrwa jeszcze przez kilka dni. - Zerknęła na niebo. - Wszystko na to wskazuje. - Z uśmiechem popatrzyła mu w oczy. - O której godzinie pan hrabia zamierza jutro po mnie przyjechać?

Beth wędrowała po niewielkiej przestrzeni między łóżkiem a oknem z widokiem na ogród. „Nietknięta”. To słowo rozbrzmiewało w jej głowie niczym werbel. „Nietknięta”. Skąd Jonathan mógł to wiedzieć? Przecież mógł się mylić. Czy na pewno miało to znaczenie, skoro chciał się z nią ożenić i jej potrzebował? Myliła się, sądząc, że kochał Alicję. Okazało się, że jego pierwsze małżeństwo było porażką. Nie doczekał się dziecka i, co wyczuła, był w tym związku bardzo samotny. Bardziej pragnął towarzyski i przyjaciółki niż żony. Tylko czy ona mogła stać się dla niego kimś takim?

Nie chciała skazywać Jonathana na samotność, ale kolejne nieudane małżeństwo byłoby gorsze od braku towarzyski życia. Beth wiedziała, że Jonathan darzy ją szczerym szacunkiem. Twierdził, że nie mogła zrobić nic złego w przeszłości, że zna ją na tyle dobrze, by mieć co do tego pewność. Wydawał się tak przekonany, że zaczęła mu wierzyć. Tylko czy nie za mało go poznała?

Cóż, niewątpliwie był dobrym człowiekiem, porządnym właścicielem ziemskim, który dbał o dzierżawców. Po powrocie z Hiszpanii odkrył, co jego brat zrobił z Fratcombe, i natychmiast zabrał się do naprawiania szkód. Zarządził generalny remont, pracownicy zaczęli dostawać godziwe wynagrodzenie, ponadto opłacił naukę dzieci. Ten przyzwoity mężczyzna niewątpliwie potrzebował spadkobiercy. Gdyby się nie ożenił i nie sprowadził na świat syna, dziedzicem zostałby jego młodszy brat, człowiek, który, nie oglądając się na nic, usiłował wycisnąć z rodzinnych posiadłości ostatniego pensa.

Gdy hrabia się oświadczył, odmowa wydawała się Beth oczywista. Sytuacja jednak się skomplikowała. Już nie była pewna, czy faktycznie jest jedyną kobietą, którą Jonathan pragnął poślubić. Na odpowiedź musiała poczekać do jutra. A gdyby powiedział, że rzeczywiście jest jedyna, czy skłoniłoby ją to do przyjęcia oświadczyn? Jonathan był światowym mężczyzną i wiedział, że musi się ożenić. Na pewno znalazłby sobie kogoś innego - nie debutantkę, ale nieco starszą i bardziej obytą damę, na przykład wdowę.

Beth przystanęła i wyjrzała przez okno. Słońce zachodziło, czerwonożłote światło padało na lśniące niczym bursztyny liście olbrzymiego buku. Zbliżała się zima, za kilka tygodni gałęzie będą całkiem nagie.

Oparła czoło o szybę i przymknęła oczy. Usiłowała wyobrazić sobie Jonathana przy kominku, siedzącego naprzeciwko żony. Miała na sobie suknię z jedwabiu w odcie-

niu głębokiej czerwieni, włosy przykryte kosztownym koronkowym czepkiem i pochyłą głowę. Czytała na głos? Chyba nie. A Jonathan? Wpatrywał się w ogień, z rękami na poręczach fotela. Miał nieobecne spojrzenie. Nie był szczęśliwy ani nawet zadowolony. Myślami błądził daleko, a jego żona, ta dobrze sytuowana wdowa, zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Chciałabyś! - wykrzyknęła Beth na głos, zła na siebie. - Pragniesz go, i tyle. Zawsze go pragnęłaś, a teraz próbujesz znaleźć powody, aby przekonać siebie, że nie powinnaś mu odmawiać. Głupia jesteś, Beth Aubrey, czy jak tam się nazywasz. Głupia, i tyle!

A jeśli naprawdę mnie potrzebuje? - zadała sobie w duchu pytanie. Tak jak ja jego? A gdyby mógł mnie pokochać, tak jak ja go kocham?

Po raz ostatni popatrzyła na skąpane w czerwono-złotym świetle drzewo i osunęła się na kolana, ukrywając twarz w rękach. Oczywiście, że pokochała Jonathana i pragnęła go. Chciała spędzić całe życie na uszczęśliwianiu ukochanego, na łagodzeniu jego samotności i bólu. Miała nadzieję, że pewnego dnia Jonathan zaufa jej i opowie, co się zdarzyło w Hiszpanii.

Nigdy o tym nie wspominał, ale była pewna, że coś się stało i właśnie to, co tam widział, przesądziło o jego smutku. Uchronił ją od śmierci, umieścił na plebanii, sam potrzebował schronienia. Z jakiegoś powodu był przekonany, że Beth mu je zapewni. Nie powinnaś przyjmować oświadczyn hrabiego, bez względu na to, jak bardzo go kochasz, przestrzegła się w duchu Beth. Kto wie, co kryje twoja przeszłość? Jonathan nie mógł mieć pewności co do tego, że jesteś nietknięta. Podświadomie czuła, że utraciła cnotę, być może nawet dołożyła się do swojej hańby. Nic dziwnego, że nic nie pamiętała. Zasłużyła na swój los. Nie mogła związać się z Jonathanem. Hrabina Portbury musiała być nieskalana, a ona nie mogłaby przysiąc, że jest czysta.

Wierzchem dłoni otarła oczy. Uznała, że kilka łez spowodowanych tym, że będzie musiała odmówić ukochanemu, nie świadczy o słabości.

Beth nie mogła spać. Nic dziwnego, myślała tylko o nadchodzącym spotkaniu. Doszła do wniosku, że będzie wyglądała fatalnie, ale może to pocieszy Jonathana, gdy usłyszy jej odmowę. Zsunęła kołdrę do pasa. Było gorąco jak na jesień. Zastanawiała się, czy

powinna otworzyć okno i odetchnąć świeżym powietrzem. Zdażyłaby je zamknąć przed przyjściem Hetty, która niewątpliwie zrugałaby ją za tak niedorzeczne zachowanie.

Podeszła do okna, odciągnęła zasłony i ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, uniosła szybę o kilka cali. Za bukiem dostrzegła sierp księżyca. Na zewnątrz panował całkowity bezruch, nawet najłżejszy podmuch nie poruszał liśćmi. Z pól, rozciągających się za terenem należącym do plebanii, dobiegło beczenie owiec. Odetchnęła głęboko i zaciągnęła zasłony, obiecując sobie, że z samego rana zamknie okno. Położywszy się na łóżku, przykryła się kołdrą.

Ostatnie, co usłyszała, to beczenie owiec na pastwiskach.

- Panienko Beth, przecież panienka nigdy nie spała przy otwartym oknie! - rozległ się głos Hetty, która przyniosła dzban z gorącą wodą.

Beth gwałtownie usiadła w pościeli, nerwowo dotykając włosów. Czuła, że coś jest nie tak. W nocy rozplotły się jej warkocze i teraz włosy sterczały na wszystkie strony, koszula była zadarta aż do pasa, a pościel pomięta.

Na litość boską, znowu śniła o Jonathanie! Tym razem trzymał ją w ramionach i obsypywał jej ciało gorącymi pocałunkami. To było cudowne. W tym śnie była tak pewna siebie, tak... W swoim śnie zupełnie się zatraciłaś, powiedziała sobie. Powinnaś spalić się ze wstydu!

- Hetty, przyniosłabyś mi duży dzban z chłodną wodą? - poprosiła. - Zgrzałam się w nocy i powinnam się opłukać.

- Przeziębi się panienka - odparła Hetty. - To przez to otwarte okno.

Beth pokręciła głową.

- Nie jestem chora. Dzisiejszego ranka udaję się na przejażdżkę z panem hrabią i muszę wyglądać jak najlepiej - powiedziała. - Pośpiesz się z tą wodą, bardzo proszę. Zanim rozczesziesz mi włosy, miną wieki.

Hetty przez chwilę milczała, jakby chcąc zaprotestować, ale potem posłusznie wyszła. Beth odetchnęła z ulgą i wyskoczyła z łóżka. Koszula opadła jej do kostek i na pozór wszystko wyglądało jak trzeba, rzut oka do lustra przekonał ją jednak, że skóra nadal jest zaczerwieniona, zwłaszcza w miejscach, gdzie rozplątały się tasiemki i wyłoniła się jej szyja oraz piersi. Tam też ją całował, i bardzo jej się to podobało.

W tym śnie nie była nietknięta i właśnie uświadomiła sobie, co musi zrobić.

Poranek okazał się piękny, zupełnie jakby był późny sierpień, a nie początek października. Na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka, wiał ciepły wietrzyk i tylko żółte liście na drzewach zdradzały porę roku. Wkrótce znajdą się na ziemi, gdzie dadzą zimowe schronienie małym zwierzętom i dostarczą pokarmu robakom oraz żukom.

Beth nie chciała myśleć o martwych liściach, które kiedyś ocaliły ją od śmierci. Wolą się skupić na swoim wybawcy, mężczyźnie, który siedział teraz obok niej w dwukółce i powoził parą koni, idących stępą po krętej, parkowej alejce. Dobrze czuła się przy Jonathanie, choć dotąd wymienili wyłącznie zdawkowe uprzejmości.

Przyrzekł, że powie jej, co robi, jeśli ona nie przyjmie jego oświadczyn, Beth zaś obiecała, że udzieli mu ostatecznej odpowiedzi. Nie ośmieliła się poprosić Jonathana, by zaczął, gdyż wiedziała, że po nim przyjdzie kolej także na nią. Wolą odwlec tę chwilę. Wreszcie hrabia przemówił.

- Pomyślałem, że tego ranka pojedziemy na drugi koniec parku. Alejka jest na tyle sucha, że powóz nie ugrzeźnie. - Jego głos zabrzmiał zwyczajnie. Najwyraźniej doskonale nad sobą panował. - Zwykle jest zbyt błotnista na przejażdżki. Tylko proszę mnie nie karcieć - dodał pośpiesznie, z nutą wesołości w głosie. - Zamierzam jak najszybciej osuszyć ziemię. Daję słowo, że jestem świadomy swoich obowiązków.

Odwrócił się ku niej i Beth ujrzała, że Jonathan się uśmiecha. Nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem. Celowo się z nią drażnił, żeby się przy nim odprężyła.

- Naprawdę jestem taką megierą? - zapytała. - Nie miałam intencji nękać pana.

- Nie? - Hrabia się zaśmiał. - Jestem przekonany, że pani reprimendy zabrzmiały uprzejmie i miło. Tak jak wtedy, gdy kazała mi pani doglądać remontów domostw dzierżawców i zapewnić bezpieczeństwo cygańskim taborom, które obozują na mojej ziemi.

- Och, rzeczywiście. Bardzo przepraszam, jeśli przekroczyłam granice. Miałam jak najlepsze intencje. Chciałam tylko...

- Chciała się pani zająć innymi i zrobić coś dobrego, jak zawsze. Dlatego właśnie cię podziwiam i również z tego powodu pragnę, by pani została moją żoną. Zanim jednak zacznę nagabywać panią o odpowiedź, jestem winien swoją. Obietnica to obietnica, a

zwłaszcza między przyjaciółmi. Zgodzi się pani ze mną? - Czekał, ale milczała, dodał więc lekkim tonem:

- Postanowiłem, że jeśli pani mi odmówi, będę ponawiał oświadczenia, aż wreszcie pani je przyjmie. Innymi słowy, równie dobrze może pani przyjąć je teraz. Wyjdzie pani za mnie? - dodał poważniej. - Proszę?

Beth zbierała się na odwagę, odkąd ocknęła się z niepokojącego snu. Uniosła głowę, wbiła wzrok w koński łeb i wyrecytowała:

- Przyjmę oświadczenia pana hrabiego...

- To cudownie...

- Pod jednym warunkiem - przerwała mu i odetchnęła głęboko.

- Bagatela. Mów.

- Przed zaprowadzeniem mnie do ołtarza musi pan udowodnić mnie i sobie, że jestem dziewicą.

Dźwięk, jaki wydał z siebie Jonathan, przypominał Beth warkot rozwścieczonego niedźwiedzia, osaczonego przez gończe psy.

- Jeśli jestem dziewicą, to znak, że wcześniej nie byłam mężatką - ciągnęła dzielnie. - Wówczas nie pohańbię pańskiego honoru, przyjmując oświadczenia. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

- A jak, pani zdaniem, radzi mi pani ustalić, czy jest pani dziewicą, czy nie? - zapytał hrabia oschłym tonem.

- Rozumiem, że w związku z tym też ma pani pomysł?

Beth zadrzała, ale postanowiła nie rezygnować.

- Wydaje mi się, że jedyną skuteczną metodą jest... metoda naturalna. Przyjdę do pańskiego łóżka i pozwolę...

Beth nie знаła większości przekleństw, które w tym momencie padły z ust Jonathan.

- Proszę o wybaczenie - oznajmił, gdy odzyskał panowanie nad sobą. - Czy pani uważa mnie za potwora?

- Jeśli okaże się, że jestem dziewicą, to zostanę pańską żoną. A jeśli nie, wówczas nie weźmiemy ślubu, gdyż to byłaby bigamia. Proste.

- Proste? - powtórzył. - Nie przyszło pani do głowy, że w rezultacie tego planu możesz zajść w ciążę?

- Ja... - Nie pozostało jej nic innego, jak brnąć dalej. - Nie jestem kompletną ignorantką. Wiem, jak dzieci przychodzą na świat, nie wiem natomiast, jak temu zapobiegać. Słyszałam o sposobach na to, aby... - Zebrawszy się na odwagę, popatrzyła w chmurne oczy Jonathana. - Pan hrabia jest światowym człowiekiem i z pewnością zna odpowiednie metody. Czy jestem w błędzie?

TLR

Rozdział dziewiąty

Na szczęście, Jonathan nie wybuchł, ponieważ musiał zapanować nad końmi, które najwyraźniej wyczuły gniew swojego pana i stały się nad wyraz drażliwe. Uspokojenie wierzchowców zajęło mu kilka minut. Przez cały czas milczał, rozważając bulwersującą propozycję Beth. Po namyśle uznał jednak jej rozumowanie za bardziej logiczne niż swoje. Jak na podstawie jednego pocałunku mógł ocenić, czy przyszła żona zachowała niewinność? Z podziwem uświadomił sobie, że pomysł Beth wymagał od niej odwagi. A jeszcze te wzmianki o unikaniu ciąży - to było wręcz niesłychane. Wyglądało na to, że była skłonna przystać na oświadczyzny pod warunkiem, że w żaden sposób nie splami hrabiowskiego honoru, jakby bardziej zależało jej na Jonathanie niż na sobie.

Zerknął na nią z ukosa. Nadal siedziała wyprostowana i wpatrzona w dłonie osłonięte rękawiczkami. Wyglądało na to, że nie odstąpi od postanowienia, a jemu pozostaje albo przystać na ofertę, albo stracić Beth. Do tego nie chciał dopuścić. Panna Aubrey stała się dla niego najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Nie chciał się z nią rozstawać, nieustannie jej potrzebował i dlatego zamierzał przyjąć jej warunki.

Przyjdzie do jego łóżka i pozwoli mu... Nie była w stanie dokończyć zdania, a jednak odważyła się złożyć śmiałą propozycję. Biedna Beth. Starannie przygotowany plan okaże się jej zgubą, pomyślał i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czyżby bawiło pana moje pytanie? - zapytała lodowatym tonem.

- Nie śmiałem się z pani, tylko z tej niezwyklej sytuacji. - Ściągnął wodze przed ostrym zakretem na rozwidleniu drogi. Ścieżka w prawo prowadziła do stajni, gdyby jednak skręcili w lewo, dotarliby nad jezioro, do najbardziej zacisznego zakątka w parku i do domku. - Pytała mnie pani o zapobieganie... Owszem, wiem, jak to się robi.

- To dobrze. - Skinęła głową. - Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, prawda?

Kości zostały rzucone, i to jej ręką. Jonathan skierował konie w stronę jeziora. Beth popatrzyła na niego pytająco, ale nie odezwała się ani słowem. W przeciwieństwie do wielu przedstawicielek swojej płci, najwyraźniej nie czuła się zakłopotana przedłużającym się milczeniem.

- Co do tego planu... Wydaje mi się, że powinniśmy go dopracować. Mówiła pani, że przyjdiesz do mojego łóża. Jestem zaszczycony tą propozycją, ale czy mogę spytać, jak zamierza pani przeprowadzić to zamierzenie? - Z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Wyobraził sobie, jak jego kamerdyner oznajmia przed drzwiami sypialni: „Panie hrabio, przybyła panna Aubrey”.

Beth zakaszłała, żeby ukryć zakłopotanie. Gdyby nie widział tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzył, że twarz kobiety może przybrać odcień purpury. Następny ruch należy do mnie, zdecydował Jonathan i popędził konie. Beth będzie miała to, czego oczekuje, ale na jego warunkach.

- Ktoś tu mieszka!

Ustronny domek w parku składał się z jednego pokoju. Beth spodziewała się, że będzie pusty albo znajdzie w nim zaledwie kilka krzeseł, na których goście mogliby odpocząć po długiej przechadzce. Pomieszczenie wyglądało jednak jak zagracone gniazdko bogatego kawalera, który ma wyjątkowo leniwego pokojowca. Ogień w kominku zgasł dawno temu, a popiół wysypywał się z niewielkiego paleniska. Naprzeciwko kominka stały dwa wygodne fotele oraz stoliczek pełen talerzy i kieliszków. Beth zauważyła na podłodze pustą butelkę po winie.

Odwróciła się, uznawszy, że dość widziała. Jedyne w miarę schludnym elementem pokoju było biurko stojące pod ścianą, którego blat zalegały książki, kilka zeszytów, papier oraz kałamarz. Takiego biurka nie powstydziliby się nawet plebania, ale cała reszta...

- Nie mieszka. - Jonathan rozejrzał się wokół. - Od czasu do czasu korzystam z tego miejsca dla własnej przyjemności. Służbie nie wolno tutaj wchodzić bez specjalnego pozwolenia. A jak pani widzi - wskazał na wymięte poduszki oraz brudne talerze - dziś go nie otrzymali.

- Był pan tu wczoraj wieczorem? - zgadła.

- O, tak. Byłem. Kiedy mam ochotę porozmyślać, zazwyczaj szukam odosobnienia.

- A poza tym znakomicie tu się śpi.

Beth zmarszczyła brwi. O co mu chodziło? Nagle dostrzegła w kącie coś w rodzaju łóżka i doszła do wniosku, że wcale nie chce wiedzieć. Jonathan uśmiechnął się do niej z wyższością, co sprawiało, że miała ochotę go spoliczkować.

- Mogę wiedzieć, dlaczego pan hrabia mnie tu sprowadził? Zaledwie parę minut temu słyszałam, że dotrzemy na trzęsawisko. To, które pan obiecał wysuszyć - dodała z naciskiem w głosie.

Z zadowoleniem zauważyła, że pełen wyższości uśmieszek zniknął z jego twarzy.

- Przywiozłem panią tutaj, aby dopracować plan. Rozumiem teraz, i proszę o wybaczenie, że nie pojąłem tego wcześniej, jak nieprzejednane jest pani stanowisko w kwestii naszego ewentualnego małżeństwa. Wiem, że nie zrezygnuje pani ze swojego warunku. - Ujął dłoń Beth. - Chyba jednak pani zdaje sobie sprawę z tego, że jego spełnienie będzie trudne. Nie mogę tak po prostu wejść do pani sypialni ani pani do mojej.

Ma rację, uznała, była niemądra. Wyższe sfery, zwłaszcza w tak małych miejscowościach jak Fratcombe, nie tolerowały tego typu zachowania. Jonathan podprowadził ją do biurka i wskazał jej miejsce. Stało tam tylko jedno krzesło. Gdy Beth usiadła, puścił jej dłoń i oparł się o blat.

- Na pewno nie możemy spotkać się na plebanii ani w moim domu - podjął. - Kręci się tam wielu wścibskich służących. Wyobraża pani sobie, że mogłaby przyjść sama i zostać wpuszczona przez mojego kamerdynera? Beth wbiła wzrok w oprawiony w skórę notatnik.

- Mam lepszą propozycję - ciągnął Jonathan. - Po pierwsze, musi pani dyskretnie dotrzeć z plebanii na miejsce naszego spotkania. Nie może pani przyjść pieszo, samotnie i nocą, wobec czego proponuję, by pani zaczekała w ogrodzie za bukiem. O ustalonej godzinie spotkamy się i przywiozę panią na miejsce schadzki. Musi pani tylko opuścić plebanię niezauważona i powrócić tam przed świtem. Sądzi pani, że da sobie radę?

- Ja... - zająknęła się Beth, jednak to nie była pora na wahanie. Jonathan przygotował rozsądny plan. - Tak, oczywiście, mogę to zrobić.

- Jest pani pewna, że tego chce? Naprawdę to nie jest konieczne. Pragnę panią poślubić i nie potrzebuję dowodu niewinności. Co więcej, byłoby nam łatwiej, gdybyśmy zbliżyli się do siebie już jako mąż i żona.

- Nie - odparła stanowczo. - Tak być nie może z powodów, które poprzednio wyniszczyłam. Nie zaryzykuję bigamii i nie narażę na szwank honoru pana hrabiego. Jeśli ma dojść do ślubu, mój warunek musi zostać spełniony.

Jonathan pokręcił głową.

- Uparta z pani kobieta. Dobrze, niech i tak będzie. Resztę proszę zostawić mnie. Proszę ubrać się ciepło i włożyć porządne obuwie, gdyż nie będę mógł przysłać powozu. Przyciągnęlibyśmy zbyt dużo uwagi, nawet w ciemnościach. Przyjadę konno.

To brzmiało sensownie. Beth skinęła głową.

- Czy będę musiała jechać osobno?

- Nie. Saracen udźwignie nas dwoje.

Zamierzał posadzić ją przed sobą i otoczyć ramionami. Na tę myśl przeszył ją rozkoszny dreszcz, zwłaszcza że potem miało nastąpić... Cnotliwa dama nawet nie powinna myśleć o takich sprawach. Ona jednak tak bardzo pragnęła Jonathana, że nie była w stanie się powstrzymać.

- Czy przyprowadzi mnie pan tutaj? - spytała cicho, rozglądając się po wnętrzu domku.

- Tak, tu będziemy sami. Oczywiście, każę posprzątać przed pani przybyciem. Nic nie obrazi pani wrażliwych zmysłów, to mogę obiecać.

Rzecz jasna, poza tym, co mieli zrobić, dodała w myślach Beth. Oczy Jonathana załśniły - najwyraźniej zdradziła ją jej mina. Jednak nie mogła się rozgniewać. Przecież sama tego chciała, a on tylko umożliwił spełnienie jej warunku. Nawet jeśli trochę się z nią drażnił, to nie powinna mieć nic przeciwko temu.

- Mam nadzieję - oświadczyła dziarsko, po czym przejechała palcem w rękawicze po parapecie i pokręciła głową z udawanym niesmakiem. Tego okna nie odkurzano od dłuższego czasu. - Dama chciałaby spotkać się z dżentelmenem ze świadomością, że wszystkie jej potrzeby zostaną zaspokojone. Oczekuje więc wygody, ciepła, jak również czystości.

Hrabia zachichotał.

- Obiecuję, że tak właśnie będzie. - Uniósł jej dłoń do ust i pocałował. - A teraz, moja droga, proponuję, byśmy kontynuowali przejażdżkę. Beth skinęła głową.

- W rzeczy samej, obejrzymy mokrada.

Położył jej rękę na swoim ramieniu i ruszyli do drzwi. W progu obejrzał się i po raz ostatni omiół wzrokiem pomieszczenie.

- Będzie tu zupełnie inaczej, obiecuję - powiedział. - Spotkajmy się pod bukiem kwadrans przed północą.

Już dzisiaj?

- Odwagi, moja droga. - Kwadrans przed północą.

Dzielnie popatrzyła mu w oczy.

- Niech i tak będzie.

Potężny gniadosz zatrzymał się przed drzwiami domku. Park spowijały ciemności, które rozświetlała jedynie świeca ustawiona w oknie obok wejścia. Beth przeszył gwałtowny dreszcz. Jonathan najwyraźniej go wyczuł, gdyż przytulił ją mocniej do siebie, nie odezwał się jednak ani słowem. Od początku jasno dawał jej do zrozumienia, że warunek, który postawiła, nie jest mu do niczego potrzebny. Powtórzył to, zanim posadził ją przed sobą na siodle. Wystarczyło, by powiedziała słowo, a z pewnością bez protestów odstawiłby ją pod drzwi plebanii.

Nie wypowiedziała jednak tego słowa, a on nie nalegał. Traktował ją jak równą sobie, jak człowieka zdolnego do podejmowania decyzji. Wierzył, że gdyby zmieniła zdanie, natychmiast by mu o tym powiedziała.

- Zimno pani - szepnął jej do ucha. - Trzeba się rozgrzać.

Zeskoczył z konia, a potem pomógł zejść Beth. Następnie poprowadził ją do drzwi i sięgnął do klamki.

- Proszę się rozgościć. Za chwilę do pani dołączę, muszę tylko wprowadzić Saracena do prowizorycznej stajni.

Beth spojrzała na konia, który stał bez ruchu i czekał.

- Wygląda tak, jakby miał tu tkwić przez całą noc. - Usiłowała mówić lekkim tonem.

- Pewnie by mógł - zaśmiał się Jonathan. - Moim zdaniem, zasłużył na smaczne siano i odpoczynek od siodła. - Otworzył drzwi domku, delikatnie popchnął Beth, po czym je zamknął.

Pokój był całkowicie odmieniony. Kilka godzin wcześniej królował tu chaos, teraz wszystko znajdowało się na swoim miejscu, było ciepło i przyjemnie. Jak na świątynię zakazanych rozkoszy, pomieszczenie wydawało się skromne. W kominku płonął ogień, woda w czajniku była bliska wrzenia. Ogień, olejna lampka na biurku i świeca przy drzwiach stanowiły jedyne źródła światła. Beth zaryzykowała rzut oka na łóżko w kącie. Leżało na nim tyle poduszek, że wyglądało jak wygodna sofa.

Znów się zatrzęsła, niewątpliwie z zimna - w końcu nikt jej do niczego nie zmuszał. Wszystko, co miało się teraz zdarzyć, było spowodowane jej własnym wyborem. Podeszła do ognia i ściągnęła rękawiczki, żeby rozgrzać dłonie. W tym momencie zauważyła tacę z herbatą na stołeczku przy palenisku. Herbata po północy? Na nieprzyzwoitej schadzce?

Beth roześmiała się i zniknął lęk o przebieg niezwykłego spotkania. Uświadomiła sobie, że tej nocy znajdzie się w ramionach mężczyzny, którego kocha. Powinna się cieszyć, nie zaś okazywać obawę. W tym momencie zrozumiała, że nawet jeśli po tej jednej nocy się rozstaną, zapamięta Jonathana do końca życia.

Jonathan po raz ostatni poklepał Saracena i zostawił go w przybudówce za domkiem. Gniadosz przywykł do spędzania tam nocy, podczas gdy jego pan cieszył się spokojem i odosobnieniem wewnątrz domku.

Powoli szedł do drzwi. Przez okienko widział, że Beth nie zapaliła żadnej ze świec. Zastanawiał się, co teraz robiła. Czy uświadomiła sobie nareszcie, na co się porywa, i doszła do wniosku, że woli się wycofać? Miał taką nadzieję, choć częściowo liczył na to, że Beth się nie rozmyśli. Perspektywa kochania się z kobietą, którą szczerze zamierzał poślubić, była ekscytująca. Beth ma wszystko, czego mężczyzna mógłby pragnąć od żony. Jest przyzwoita, wspaniałomyślna, rozważna, oddana czynieniu dobra w świecie, a do tego piękna. Mogła urodzić mu wspaniałe dzieci, takie, z których byłby dumny. Wiedział, że w miejscach publicznych będą zmuszeni odnosić się do siebie z dystansem i chłodno, jak tego wymagała etykieta, jednak w zaciszu dworu będą zgodnymi kompanami. W tym momencie nie szukał dobrego kompana, zamierzał zapoznać niewinną Beth z urokami fizycznej miłości.

Przy drzwiach przystanął i spojrzął na nocne niebo. Nic dziwnego, że było tak zimno, nie dostrzegł nawet jednej chmurki. Przyszło mu do głowy, że te same gwiazdy będą świeciły dla ich dzieci oraz wnuków. Powiedział Beth, że zna sposoby na uniknięcie ciąży, jednak nie nalegała, by je wykorzystał. Wiedział, że jeśli Beth nie jest dziewicą, nie zgodzi się za niego wyjść, powinien więc dopilnować, by po dzisiejszej nocy nie zaszła w ciążę. Gdyby jednak przekonał się, że trzyma w ramionach dziewicę, tak jak przypuszczał... Obiecała, że wyjdzie za niego, jeśli okaże się niewinna, a przecież celem małżeństwa są dzieci.

Pokręcił głową i westchnął. Wysoko na niebie Syriusz zdawał się mrugać do niego porozumiewawczo.

- Tak, wiem - powiedział do siebie hrabia. - Usiłuję znaleźć altruistyczny powód, dzięki któremu bez wyrzutów sumienia spełnię samolubne zachcianki. Ciąża mogłaby ułatwić sytuację. - Potrząsnął głową, by zebrać myśli. Po raz ostatni spojrzął w niebo. - Będzie jej dobrze, obiecuję - mruknął, po czym otworzył drzwi.

Beth zsunęła kaptur peleryny i klęczała właśnie na dywaniku przed paleniskiem. Cicho zamknął drzwi, żeby jej nie przestraszyć, po czym zdjął kapelusz, odłożył bat i przeszedł przez pokój. Przyklęknął i objął ją ramionami.

Odwróciła się ku niemu i ujrzał, że wcale nie jest przestraszona, czego się spodziewał.

- Moja droga?

- Herbatka! - powiedziała, zanosząc się ze śmiechu.

Jonathan popatrzył na tacę z herbatą. Być może rzeczywiście nieszczęśliwie tu pasowała, wcześniej uznał jednak, że to znakomity pomysł.

- Herbatka - powtórzyła ze śmiechem Beth.

- Pomyślałem, że po nocnej przejażdżce chętnie się napijesz. - Usiłował zachować powagę, lecz czuł, że nic mu z tego nie wychodzi.

- Oczywiście. Po prostu nie tego oczekiwałam.

- Tak? A to dlaczego? - Uniósł brwi.

- Wyobrażałam sobie szampana lub coś równie dekadentckiego.

- Może pani dostać szampana albo brandy, jeśli sobie życzy, mam tu jedno i drugie. Mógłbym nawet przygotować gorący poncz na rumie.

Beth z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie? Tak właśnie myślałem. Proszę pamiętać, że jesteśmy przyjaciółmi. Po dzisiejszej nocy wkrótce zostaniemy mężem i żoną, ale nadal będziemy przyjaciółmi.

Beth spoważniała, lecz nie zaprotestowała. Oboje znali warunek i wiedzieli, że musi zostać spełniony. Nie było sensu dłużej o tym dyskutować.

- Prawdziwi przyjaciele cieszą się swoim towarzystwem i starają się zapewnić sobie komfort - ciągnął hrabia. - Wydawało mi się, że herbata się przyda.

Beth delikatnie dotknęła jego ręki.

- Jest pan dobrym przyjacielem.

- Nie może pani zwracać się do mnie oficjalnie. Droga Beth, zostaniesz moją żoną, moją hrabiną, a ja mam na imię Jonathan.

Przez chwilę Beth milczała.

- Tej nocy będzie, jak zechcesz - szepnęła w końcu.

Rozdział dziesiąty

Pomarańczowe i złociste płomienie odbijały się w szeroko otwartych, pogodnych oczach Beth. Miała zaraźliwy śmiech, w który Jonathan wsłuchiwał się z przyjemnością, gdyż świadczył on o tym, że nie czuje lęku. Robiła to, na co sama wyraziła zgodę. Ujął dłonie Beth, tak jak robił to wielokrotnie wcześniej, i pomógł jej wstać. Tym razem jednak nie złożył na jej skórze niewinnego pocałunku. Podniósł do ust najpierw jedną dłoń, potem drugą i obsypał je gorącymi pocałunkami. Gdy muskał wargami jej serdeczny palec, przyszło mu do głowy, że już niedługo przyozdobi go obrączką. Musiał przyznać, że Beth pachnie i smakuje cudownie, jak żadna inna znana mu kobieta.

Mruknęła z aprobatą, jakby w ten sposób chciała obwieścić, że poddaje mu się z ochotą. Nareszcie! Tak długo czekał na ten moment. Przyciągnął ją zdecydowanie i przywarł wargami do jej miękkich ust. Wyczuwał, że Beth pragnie go równie mocno jak on jej, choć jej brak doświadczenia był dla Jonathana oczywisty.

Wcześniej powiedział sobie, że powinien działać ostrożnie, aby jej nie spłoszyć i nie zniechęcić. Zamierzał zabrać ją w powolną podróż, wskazywać drogę i informować o wszystkim, co może ją spotkać. Chciał, aby oboje doświadczyli piękna fizycznego zbliżenia.

Wsunął dłonie głęboko w jej włosy i usłyszał, jak szpilki, które podtrzymywały fryzurę, spadają na podłogę. Po chwili jedwabiste fale spłynęły na ramiona Beth. Pragnął uwodzić ją bez pośpiechu, lecz nie przypuszczał, że tak trudno będzie mu zapanować nad pożądaniem. Z wysiłkiem przerwał pocałunek i cofnął się o krok, opuszczając ręce.

- Jonathanie?

Mimo słabego światła zauważył rumieniec na twarzy Beth.

- Nie będziemy się śpieszyć - powiedział, głaszcząc jej policzek. - Jesteś cudowna i obawiam się, że przez pożądanie tracę rozum.

- Raczysz zapominać, że chętniej partnerce nie dzieje się krzywda - odparła łagodnie.

„Partnerce” - słowo to zabrzmiało właściwie i przekonująco.

- Masz rację, będziemy partnerami, ale tym razem pozwolę sobie być twoim mentorem.

Uśmiechnął się do niej i przystąpił do rozwiązywania wstążek przy pelerynie. Gdy tylko ściągnął wierzchnią odzież z ramion Beth, zaczęła szybciej oddychać, lecz najwyraźniej nie z lęku przed nieznanym, a z pożądania. Zadaniem Jonathana było rozbudzenie jej pragnień i nawet najmniejszy błąd z jego strony mógł zmienić noc w koszmar. W żadnym razie nie wolno mu było do tego dopuścić. Odłożył pelerynę, a gdy ponownie odwrócił się do Beth, spostrzegł, że rozpina kołnierzyk prostej sukni.

- Nie - wyszeptał, kładąc palce na jej dłoni. - Pozwól, że ja to zrobię. Dar, który mi ofiarowujesz, musi być rozpakowywany powoli. Proszę, daj mi tę możliwość.

- Ja... Och... - Jej skóra przybrała odcień dojrzałej brzoskwini, jakby wyczekującej na zetknięcie z ustami kochanka.

- Moje słońce, nie patrz tak na mnie, bo za chwilę zedrę z ciebie tę suknię.

- Och. - Ponownie westchnęła.

Uroczy rumieniec powoli zniknął, a na ustach Beth wykwitł nieśmiały, ale wymowny uśmiech. Jonathan rozpiął przód jej sukni, która rozsunała się z cichym szelestem, odsłaniając skromną, białą halkę. Czy możliwe, że nie nosiła gorsetu? Jego dłonie i jej piersi dzieliła tylko cienka warstwa materiału.

Momentalnie zauważyła jego reakcję.

- Musiałam ubrać się sama, bez pomocy - wyjaśniła.

Jak zwykle praktyczna, ocenił Jonathan. Przecież nie mogła wezwać Hetty, żeby przed północą powiązała sznurki gorsetu. Ujął w dłonie twarz Beth i pocałował ją delikatnie w usta, a ona rozchyliła wargi i cicho odetchnęła. Wtedy pogłębił pocałunek, jednocześnie opuszczając palce ku tasiemkom w dolnej części sukni. Wystarczyło jedno stanowcze szarpnięcie, by je rozplątać, a wtedy miękki, znoszony materiał spłynął na podłogę.

Jonathan wiedział, że już niedługo będzie ubierał Beth w najdroższe jedwabie i atłasy, rozkosznie szeleszczące podczas zdejmowania. Teraz cofnął się o krok i z zachwytem obrzucił ją wzrokiem. W którymś momencie Beth ściągnęła buty i stała przed nim w pończochach i halce, ledwie skrywającej jej piersi - nieduże, jędrne, koloru świe-

żej śmietanki. Przeszło mu przez myśl, że jeszcze nigdy nie widział nic równie erotycznego. Zdumiony gwałtownością reakcji własnego ciała, jęknął głośno.

- Jonathanie? - zaniepokoiła się Beth. - Czy stało się coś złego?

Obawiał się, że eksploduje na sam widok jej wdzięków. Pośpiesznie zdjął surdut i kamizelkę, a następnie zerknął na łóżko w kącie. Nie, to nie było dobre miejsce, lepiej pozostać w cieple, przy kominku. Pomyślał, że tutaj każdy skrawek skóry Beth będzie lśnił w blasku ognia. Położył dłonie na jej nagich ramionach.

- Wyglądasz pięknie w świetle płomieni - wyznał. - Daj mi chwilę.

Zmarszczyła czoło, zdezorientowana. Rozchmurzyła się po kilku sekundach, widząc, że Jonathan ściąga fular i zabiera się do przesuwania łóżka bliżej kominka. Na koniec zebrał wielobarwne poduszki i usypał z nich stertę pośrodku materaca.

- Czy moja dama zechce usiąść? - Szarmanckim gestem wskazał łóżko.

Beth zawahała się. Znajdowała się tylko dwa kroki od miękkiego posłania, ale miały to być najważniejsze dwa kroki w jej życiu.

- Beth? - Jonathan wydawał się niepewny, zaskoczony.

Porzuciła wątpliwości. Wsunęła palce w jego dłoń i lekko ścisnęła.

- Przygotowałeś dla mnie najprawdziwszy tron - zażartowała i ruchem głowy wskazała stos jedwabnych poduszek.

Najwyraźniej potrzebował tego zapewnienia. Wziął ją na ręce i położył na łóżku, układając poduszki pod jej głową i plecami. Nie nawykła do takich luksusów.

- Cudownie - powiedziała, tuląc twarz do jedwabiu i oddychając głęboko.

Tkanina pachniała egzotycznymi miejscami, gdzie praży słońce, a niebo jest zbyt błękitne, aby którykolwiek malarz zdołał uchwycić jego odcień przy pomocy farb. Jonathan stał nieruchomo i z uwagą obserwował każdy jej ruch.

- Jak tu wygodnie - szepnęła Beth. - Czuję się tylko trochę samotna. Jak myślisz, czy znajdzie się miejsce dla dwojga? - Uniosła ręce, zapraszając go do siebie.

- A jakże, tyle że musielibyśmy się do siebie przytulić. - Zdawał się mówić niższym głosem niż zwykle.

- To bardzo praktyczny pomysł. - Beth zachichotała nerwowo i doszła do wniosku, że ma dość oczekiwania. - Może więc poeksperymentujemy?

Już po chwili leżał obok niej i tulił ją mocno. Beth wyczuwała ciepło jego ciała, jej serce biło bez opamiętania. Rozchyliła Jonathanowi koszulę przy kołnierzyku, odsłaniając opaloną szyję i część torsu.

- Tutaj są guziki - wychrypiał, dotykając ich palcami. - Co powiem pokojowcowi, jeśli zobaczy, że wszystkie są urwane?

Beth miała dość rozsądku, aby zdać sobie sprawę z ryzyka. Jej halka musiała być w nienagannym stanie, podobnie jak jego koszula. Wzięła głęboki oddech i zabrała się do rozpinania guzików. Niestety, palce najwyraźniej zapomniały, do czego służą, i odmówiły posłuszeństwa.

Jonathan ucałował jej dłoń.

- Pozwól, że cię wyręczę - zaproponował łagodnie, kładąc jej rękę na swojej szyi. W kilka sekund uporał się z guzikami. - A teraz czego sobie życzysz, moja damo?

Koszulę miał rozpiętą do pasa i zdążył zdjąć bryczesy, lecz się nie śpieszył. Chciał, żeby Beth robiła wszystko we własnym tempie.

Tak bardzo kochała tego mężczyznę, tak bardzo go pragnęła. Pożądanie zdominowało ją całkowicie, już dawno temu zapomniała o nieśmiałości. Wsunęła dłoń pod koszulę, aby się delektować gładką skórą Jonathana, a po chwili ściągnęła tkaninę z jego barków. W świetle ognia jego ciało zdawało się żarzyć złocistą poświatą. Oto jej rycerz. Wreszcie miała go tylko dla siebie.

Początkowo łagodnie muskał wargami jej usta, ale gdy odwzajemniła pocałunek, stał się bardziej natarczywy. Beth zamknęła oczy i skupiła się na zmysłowych odczuciach. Gdy Jonathan się odsunął, oboje ciężko dyszeli, jak tonący, którzy z wysiłkiem wychylają głowy ponad niespokojne fale. Beth nie miałyby jednak nic przeciwko temu, aby raz jeszcze zatonać w pocałunku. Odniosła wrażenie, że jej ciało jest miękkie niczym wosk, zupełnie jakby pocałunki Jona rozmiękczyły kości. Była teraz gotowa przybrać nowy kształt i pragnęła, aby uformował ją swoimi dłońmi. Ponownie chciała trafić w jego objęcia i poddać się czułym pieszczotom.

Beth zrozumiała, że jej kochanek się oddalił. Niechętnie, z wahaniem, otworzyła oczy.

- Jonathanie? - spytała drżącym głosem.

- Tu jestem. - Stał przy oknie. Beth skierowała na niego spojrzenie w chwili, gdy gasił lampkę olejną. Świecę przy drzwiach zdmuchnął wcześniej. - Wybacz mi - powiedział cicho. - Nie chciałem cię zaniepokoić. Po prostu przyszło mi do głowy, że wolisz mrok. Teraz przyświeca nam wyłącznie ogień z kominka. Jeśli sobie życzysz, to postawię przed nim osłonę.

Bez światła Beth nie mogłaby rozkoszować się widokiem swojego złocistego rycerza.

- Nie, ogień mi nie przeszkadza, natomiast źle się czuję, gdy ciebie nie ma przy mnie.

Zdumiona własną bezpośredniością, ponownie zamknęła oczy i opadła na poduszki. Po chwili poczuła, jak łóżko ugina się pod ciężarem Jonathana. Ponieważ się trzęsło, pomyślała, że pewnie toczył zmagania z butami dojazdu konnej. Czyżby zmełł w ustach przekleństwo? Zachichotała nerwowo. Nic nie mogła na to poradzić.

- Wygląda na to, że bez pokojowca jestem bezradny. Nie umiem nawet zdjąć butów - rzekł z lekkim rozbawieniem w głosie.

- Pomóc ci? - zaproponowała.

- Wielkie nieba, nie! - wykrzyknął ze śmiechem. - Nie zniósłbym widoku ciebie klęczącej u mych stóp. I tak jest mi trudno.

- Może powinieneś kupować obuwie, które nie jest aż tak obcisłe?

- Moja droga, problem obcisłych butów nie jest w tej chwili najbardziej palący.

Beth zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs i szybko odwróciła wzrok. Jonathan właśnie zdejmował ciasno przylegające spodnie. Pomyślała, że jeszcze chwila i będzie kompletnie nagi, za moment wyciągnie się u jej boku... Napięcie rosło. Z początku czuła je na szyi i na ramionach, potem rozlało się na jej tułów oraz brzuch.

- Beth. - Jonathan ponownie był obok niej i czuła jego ciepły oddech na policzku. - Otwórz oczy, proszę.

Gdy rozchyliła powieki, dostrzegła tuż nad sobą jego twarz, częściowo ukrytą w cieniu, a częściowo oświetloną czerwonym blaskiem ognia. Pomimo poświaty oczy Jona wydawały się czarne jak węgle.

- Moja piękna Beth, czy pozwolisz, bym ściągnął z ciebie halkę? Pragnę ujrzeć cię całą. - Gdy się zawahała, dodał pośpiesznie: - Wiem, że jesteś onieśmielona. Oczekuję zbyt wiele, wybacz mi.

Pogłaskał ją, wygładzając halkę tak, jakby chciał ją pozostawić na miejscu, a nie zdjąć. Tyle że Beth pragnęła czego innego i doskonale o tym wiedziała nawet wtedy, gdy jego palce prześliznęły się po jej biodrze i dotarły do uda. Chciała, żeby głaskał jej nagą skórę. Delikatnie pogłaskała szyję Jonathana i napięte mięśnie jego torsu.

- Ja... chcę ciebie zobaczyć - wyznała ledwie słyszalnym szeptem. - I pragnę, byś ty mnie widział.

Odetchnął głęboko i ucałował jej szyję tuż pod uchem.

- Będzie dokładnie tak, jak sobie tego życzysz - wyszeptał.

Lekko, jakby muskał ją piórkiem, rozplątał wstążki halki, którą następnie ostrożnie ściągnął. Wkrótce była zupełnie naga, jeśli nie liczyć białych pończoch. Jonathan pogłaskał łydkę Beth i poczuła rozkoszny dreszcz, rozplywający się po całym ciele.

- Jonathanie... - wyszeptała, a on wydał z siebie niski pomruk.

Nigdy dotąd nie słyszała takiego dźwięku, ale czuła, że to odgłos męskiej satysfakcji i wyczekiwania na to, co nastąpi. Po chwili jego zaborcze palce dotknęły skóry nad podwiązką. Beth zamarła, a Jonathan przesunął dłoń na wewnętrzną stronę jej uda, obsypując pocałunkami policzek i usta.

- Jesteś taka powabna...

Pożądała go tak bardzo, że niemal traciła zmysły.

Powoli, niespiesznie muskał wargami jej szyję, aż dotarł do piersi. Ostrożnie wziął je obie w dłonie i niemal z nabożną czcią zważył w rękach, jednocześnie pieszcząc je kciukami. Beth przeszył rozkoszny dreszcz. Czy tak właśnie czuły się kobiety, uprawiające miłość z mężczyzną? Była pewna, że zaraz eksploduje pod wpływem nawałnicy doznań. Tymczasem Jonathan całował jej ciało coraz niżej i niżej.

- Ach, och!

Zsunął się z niej tak, że jego głowa znalazła się między jej nogami. Na wewnętrznej stronie ud poczuła jego wieczorny zarost, a potem... Wielkie nieba, całował ją... tam!

Jedna fala rozkoszy po drugiej przetaczała się przez ciało Beth. Krzyknęła, a potem stoczyła się w mrok.

Jonathan podźwignął się i usadowił między nogami Beth, podpierając się na łokciach, aby nie obciążyć jej delikatnego ciała. Mimowolnie zapatrzył się na jej różowioną skórę, lśniąca w blasku ognia. W chwili ekstazy Beth omdlała, co właściwie mógł uznać za dowód jej dziewictwa. Tyle że nie był to dowód niezbity i Beth z pewnością by go nie uznała.

Przez jedną krótką chwilę Jonathana korciło, by ją osiąść i oszczędzić jej bólu pierwszej penetracji, ale tego nie uczynił. Nie mógł jej tak potraktować. Musiał dać Beth szansę odmowy, nawet teraz. Inne zachowanie byłoby z jego strony nadużyciem. Pochylił się i pocałował ją w rozchylone usta, a potem w zamknięte powieki. Pragnął jej ponad wszystko, ale czuł, że powinien poczekać na jej ostateczne przyzwolenie, bez względu na to, jak wielką cenę przyjdzie mu zapłacić.

- Ocknij się, moje słońce.

Jego słowa podziałały na nią jak magiczne zaklęcie. Otworzyła oczy i zamrugała powiekami.

- Czy to już?

- Nie. To była tylko twoja rozkosz.

- Tobie nie było przyjemnie?

- Jeszcze nie tak bardzo, jak może być.

- Znasz już prawdę o moim dziewictwie?

- Nie. To nie był rozstrzygający dowód. - Dotknął palcem jej policzka.

- Inaczej się umawialiśmy. - Pokręciła głową.

- Czy nadal sobie tego życzysz?

- Tak.

Całował ją mocno, głęboko i tak długo, aż zareagowała na tyle silnie, by miał pewność, że jest w pełni gotowa.

- Beth - powiedział, odrywając od niej wargi - spójrz na mnie. Czy mi ufasz?

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak - wyszeptała z determinacją.

Posiadł ją jednym, stanowczym ruchem. Było dokładnie tak, jak przewidywał: Beth jęknęła z bólu, a jej twarz stężała. Zamarł w oczekiwaniu, żałując, że nie może wziąć na siebie choćby części jej cierpienia. W końcu odprężyła się na tyle, by spojrzeć mu w twarz. Nawet w tak słabym świetle wyraźnie widział jej szkliste od łez oczy.

- Moja biedna Beth...

- Nie biedna - zaprotestowała natychmiast. - Już po wszystkim. Prawda wyszła na jaw, a ból nigdy nie powróci. Pocałuj mnie.

Z ochotą spełnił jej prośbę, jednocześnie poruszając biodrami w odwiecznym rytmie miłości. Nie mógł się powstrzymać, choć nie chciał jej dalej krzywdzić. Rozum podpowiadał mu, że powinien przestać, ale wyglądało na to, że Beth ma swoje zdanie na ten temat. Objęła go nogami i pocałowała goręcej niż przedtem. To było ponad jego siły. Momentalnie przyspieszył i wkrótce kochali się tak mocno i gwałtownie, że obojgu brakowało tchu.

Wiedział, że dłużej się nie powstrzyma. Wielkie nieba, nie wolno mu było tego robić... Jeszcze chwila, a będzie za późno. W ostatnim ułamku sekundy, resztką świadomości nakazała mu wycofać się i wysunąć z objęć Beth.

W jednej chwili szybowwała z rozkoszy, w następnej pikowała ku ziemi. Jej ciało przypominało silnie nakręconą sprężynę zegarka, gotową pęknąć przy lada dotknięciu.

- Jonathanie? Nie rozumiem... Dlaczego?

Odetchnął głęboko, położył się przy Beth i mocno ją objął. Poczula, jak pieści jej piersi, a potem przesuwając dłoń niżej, na jej brzuch, i jeszcze dalej, aby głaskać najintymniejsze i nadwrażliwe miejsce na jej ciele. Jęknęła głośno, chrapliwie i po sekundzie ponownie wzbijała się w przestworza. W oddali dostrzegła jaskrawe światło, które zbliżało się ku niej z oszałamiającą prędkością.

Wystarczyły sekundy, by eksplodowało tuż przed jej oczami.

Rozdział jedenasty

Gdy Beth otworzyła oczy, przekonała się, że jest w łóżku sama. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, jak długo spała. Nie była pewna, jednak niewątpliwie już od dłuższego czasu, gdyż jej nagie ciało było owinięte aksamitną narzutą. Uwagę Beth przykuło trzaskające drewno w palenisku. Ogień płonął wysoko. Poprzednio było tu przyjemnie ciepło, teraz zrobiło się za gorąco.

- Jonathanie? - Musiał być gdzieś w pobliżu.

W odpowiedzi usłyszała tylko trzask płomieni, które pochłaniały suche szczapy. Beth zaczęła drżeć, jakby ktoś oblał ją zimną wodą. Została sama. Jonathan zaspokoił požądanie, po czym ją zostawił.

Przynajmniej zadał sobie nieco trudu, abyś nie zmarzła, pomyślała Beth. To wystarczyło, by postanowiła, że nie będzie leżała jak bezradna ofiara. Była panią swojego losu i odpowiadała za wszystkie czyny, nawet za ten ostatni. Nie zamierzała żałować, była jednak świadoma, że nie powinna tracić reputacji tak łatwo jak cnoty. Musiała jeszcze przed świtem wrócić na plebanię. Perspektywa pokonywania rozległego parku nie była miła. Noc była bezksiężycowa i tylko gwiazdy mogły jej przyświecać w drodze powrotnej. I tak nie było najgorzej, na niebie za oknem nie dostrzegła ani jednej chmury. Gdyby nadciągnęły, nie widziałyby zupełnie nic.

Usiadła, usiłując wyzwolić się z fałd aksamitu, i postanowiła poszukać ubrania. Na szczęście, zgodnie z radą Jonathana, włożyła ciepłą odzież. Zaczęła się zastanawiać, czy od początku zamierzał zostawić ją tutaj, aby samotnie powędrowała z powrotem na plebanię. Czy to możliwe, że był aż tak wyrachowany?

- Beth?

Przeciąg sprawił, że płomienie przybrały pomarańczową barwę. Jonathan nadal tu jest. Prosił, by mu zaufała, a ona oczywiście zawiodła. Obiecała sobie, że więcej w niego nie zwątpi.

- Nie sądziłem, że tak wcześnie się obudzisz. - Usiadł obok niej na łóżku i wziął ją w ramiona.

Beth nadal usiłowała uwolnić się od narzuty, aby odwzajemnić uścisk i udowodnić Jonathanowi oraz sobie, że ufa mu całkowicie.

- O, rety, ja...

Opatulił ją narzutą jeszcze ciaśniej i przyciągnął do siebie, po czym pocałował zachłannie.

- Nie możesz zmarznąć, moja droga - orzekł, przerywając pocałunek.

- Ale ty... - Dopiero wtedy dostrzegła, że był ubrany.

Miał nawet buty na nogach. Popatrzyła na ogień.

- Pora jechać? - zapytała cicho.

Myśl o powrocie na plebanię przypomniała jej, że zeszła ze ścieżki cnoty.

- Jeszcze nie. Najpierw chciałbym ci coś pokazać.

Beth popatrzyła uważnie na Jonathana. Wydawał się bardziej odprężony i spokojniejszy niż kiedykolwiek, a na jego ustach gościł uśmiech. Wyglądało na to, że jest pogodzony ze światem. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy to dzięki niej. Wstał i jednym ruchem wziął ją w ramiona, razem z narzutą. Wcale nie miała ochoty się wyrwać, jednak próbowała uwolnić ręce tylko po to, żeby go dotknąć,

- Nie walcz ze mną. Jest na to za zimno. - Pocałował ją w czoło i ruszył ku drzwiom.

Beth była zbyt zdumiona, żeby powiedzieć choć słowo. Jonathan otworzył drzwi ramieniem i wyniósł ją na zewnątrz. W istocie, było lodowato. Gdyby nie była tak szczelnie opatulona narzutą, natychmiast zaczęłaby się trząść. W jego ramionach czuła się cudownie i było jej wszystko jedno, dokąd ją zabierał.

Zaniósł ją na tyły domku. Usłyszała jakieś hałasy, stukot kopyt i parskanie. Był to Saracen, rzecz jasna, zapewne czekający gdzieś w pobliżu. Ku zdumieniu Beth, Jonathan zaczął się wspinać po schodkach. Dotąd nawet nie wiedziała o ich istnieniu.

- Gdzie mnie zabierasz?

- Na dach.

- Po co?

Dotarli na szczyt. Jonathan podszedł na środek dachu i rozstawił szerzej nogi, żeby Beth było wygodniej.

- Spójrz w górę, a się przekonasz - oznajmił.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Och, jak tu pięknie - szepnęła.

Niebo nie było ciemne, jak się spodziewała, ale przybrało odcień między najciemniejszym granatem a fioletem. Gwiazdy wyglądały niczym stokrotki na łące, tyle że te kwiatki lśniły i nie miały zwiędnąć.

- Nigdy nie patrzyłaś w gwiazdy, Beth? - zapytał.

- Nie tak.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- To niezwykły widok. Po ślubie będziemy mogli zrobić to ponownie. Naturalnie, jeśli będziesz sobie tego życzyła - dodał natychmiast.

- Dlatego tutaj przychodzisz? Żeby patrzeć na gwiazdy?

- Tak. Na bezdrożach Hiszpanii nocne niebo wydawało mi się niezmierzone i magiczne. Dlatego właśnie kazałem przerobić ten domek. Przychodzę tu nocą, i to nie w niecnym celu, o co mnie wczoraj posądzałaś, moja cnotliwa damo. - Usiłował zrobić nieprzyzwoitą minę, lecz nic z tego nie wyszło, gdyż był zbyt rozbawiony.

- Wstyd, hrabio! Nazywać mnie cnotliwą damą, kiedy jestem tu w twoich ramionach, a wcześniej... - Urwała.

Nawet teraz trudno jej było wypowiedzieć te słowa.

Jonathan przeszedł na skraj dachu, gdzie usiadł na drewnianej ławeczce i posadził sobie Beth na kolanach.

- Stąd można zobaczyć prawie cały park, no i gwiazdy, naturalnie. - Wskazał ręką niewielki teleskop oraz stołek.

Beth przytuliła się do ukochanego. Zastanawiała się, czy tak będzie wyglądało ich wspólne życie. Wcześniej wspominał o towarzysze. Nawet nie wyobrażała sobie, że można być z kimś tak blisko i darzyć go takim zaufaniem. Słusznie pokochała tego mężczyznę, nawet jeśli on nie potrafił odwzajemnić jej miłości. Oparła głowę o ramię Jonathana, a on przytulił ją do siebie. Czuła jego oddech na skórze. Zamknęła oczy. chciała zapamiętać tę chwilę na zawsze.

- Obawiam się, że to sękate, stare drzewo raczej psuje widok.

Ta prozaiczna uwaga wyrwała Beth z rozmyślań. Natychmiast uniosła powieki i powiodła wzrokiem za wyciągniętym palcem Jona.

- Zawsze możesz je ściąć, skoro razi twoje perfekcyjne poczucie smaku - zauważyła nieco zbyt ostrym tonem.

- Nie, tego bym nie zrobił. To jedyne drzewo w całej posiadłości, na którym rośnie jemiola. W Hiszpanii nie widziałem ani jednej gałązki tej rośliny.

Beth nagle zrobiło się bardzo zimno, choć przez cały czas była opatulona narzutą.

- Obawiam się, że to taki mój dziecięcy kaprys, ale wiem, że nie zdradzisz mojej słabości - ciągnął. - Hrabia nie powinien ulegać sentymentom. Kiedy byłem małym chłopcem, jemiola wydawała mi się najważniejszym symbolem świąt. Czuliśmy się szczęśliwi, zwłaszcza Henry i ja, bo byliśmy w zbliżonym wieku. Tyle wspólnych gier i zabaw... Tyle że Henry zmarł, a ja zostałem dziedzicem. Potem już nic nie było takie samo. George i ja... - Jego grymas mówił sam za siebie. - Jest o wiele młodszy ode mnie i nie mamy ze sobą prawie nic wspólnego. Wkrótce go poznasz, rzecz jasna.

Naturalnie, pomyślała Beth. Przecież brat Jonathana był zobowiązany pojawić się na ślubie.

- Zaprosisz go tutaj? - zapytała.

Nie mogła zdobyć się na wzmiankę o małżeństwie. Obawiała się, że zły los mógłby pokrzyżować im plany.

- Nie!

Beth nie mogła uwierzyć, że tyle złości może się kryć w jednym, krótkim słowie. Czyżby Jonathan nienawidził brata?

- George nie odwiedza Fratcombe. - Pocałował ją w głowę i odetchnął. Kiedy znów się odezwał, panował nad gniewem. - Poznasz go i moją matkę w King's Portbury, jednak dopiero po tym, jak zostaniesz panią na naszych włościach, co naturalnie wymaga ślubu. Weźmiemy go, kiedy tylko dokonam wszystkich stosownych ustaleń.

- Tutaj?

- Oczywiście, że tak. Sądziłem, że będziesz chciała, aby wielebny Aubrey poprowadził ceremonię. Myliłem się?

Miała zbyt ściśnięte gardło, by mówić, i czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Przeszło jej przez myśl, że nie zasłużyła na takie szczęście.

- Doskonale. Porozmawiam z nim jutro. Czy też raczej - popatrzył na niebo - nieco później dzisiejszego ranka.

- A jeśli się nie zgodzi?

- Zapewniam cię, że się zgodzi.

- Ale...

Uciszył jej protesty pocałunkiem. Bardzo szybko oboje ogarnęła namiętność.

- Muszę cię dotknąć. - Beth zdołała oderwać usta od warg Jonathana i poruszyła się na jego kolanach. - Nie obchodzi mnie, czy zamarznię, czy też nie.

- Ale mnie nie jest to obojętne - oznajmił z rozbawieniem, wstał i z Beth w ramionach ruszył po dachu. - Chodźmy na dół, tam jest ciepło. Mamy jeszcze kilka godzin, zanim będę musiał cię odwiedzić. Obiecuję, że spełnię każde twoje życzenie.

Hrabia tak szybko szedł korytarzem, że drobna Hetty nie mogła za nim nadążyć.

- Sam się zaanonsuję! - zawołał przez ramię.

Chciał mieć to za sobą. Zapukał do drzwi biblioteki i otworzył je szeroko, nie czekając na odpowiedź.

- Jonathanie! - Pastor siedział za biurkiem i w zadumie spoglądał w okno. Na widok gościa odłożył pióro i wstał. - Co sprowadza cię do nas o tak wczesnej porze?

Hrabia uklonił się, po czym zamknął drzwi i wszedł do biblioteki.

- Jonathanie? - spytał pastor z uśmiechem.

- Dzień dobry, wielebny. Przyszedłem prosić o pozwolenie na ślub z Beth.

Pastor zaniemówił i dopiero po dłuższej chwili odkaslnął i powiedział:

- Wprawdzie jest jeszcze wcześnie, ale chyba powinniśmy się uraczyć kieliszkiem madery.

Podszedł do stolika, na którym stały karafki. Z korkiem w dłoni odwrócił się do Jonathana.

- Mam nadzieję, że przyłączysz się do mnie, mój chłopcze?

- Bardzo chętnie.

Podczas gdy pastor ustawiał kieliszki i ponownie zasiadał za biurkiem, obaj mieli czas zebrać myśli. Hrabia usiadł po drugiej stronie biurka i upił łyk wina. To była zwykła madera, ale trunk rozpalił jego pusty żołądek. Po powrocie do domku usunął wszelkie ślady obecności Beth, a następnie wpadł do dworu tylko po to, by zmienić ubranie.

Duchowny oparł łokcie na biurku i złączył palce.

- A zatem prosisz mnie o pozwolenie na ślub z Beth... - Zawiesił głos.

- Tak, i to jak najszybszy. Mamy również nadzieję, że właśnie pastor poprowadzi ceremonię. Jeśli wielebny wyrazi zgodę, to jak najrychlej poślę do Londynu po specjalną licencję. - Nie powiedział tego Beth, niemniej rozwiązanie było sensowne. Wiedział, że by je zaakceptowała.

- Mój chłopcze - zaczął z westchnieniem pastor - wątpię, bym mógł dać ci to, czego pragniesz. Beth mieszka tutaj jako nasza daleka krewna, choć nią nie jest. Nie mam nad nią żadnej władzy, zwłaszcza w tak istotnej kwestii. To dorosła kobieta i stanowi o sobie.

- Jestem tego świadomy i z dumą potwierdzam, że przyjęła moje oświadczenia - oznajmił.

- Doprawdy? Muszę przyznać, że mnie zdumiewasz.

- Można spytać dlaczego? - Jonathan natychmiast się najeżył.

- Beth nie brak zdrowego rozsądku, a poza tym jest wrażliwą dziewczyną - odparł. - Wie, podobnie jak ty i ja, że jest damą. Nie ma jednak ani nazwiska, ani rodziny. Beziemienna kobieta nie powinna wychodzić za mąż za arystokratę, w dodatku tak wysoko postawionego w społecznej hierarchii. Trudno mi uwierzyć, że w takich okolicznościach wyraziła zgodę na ślub.

Hrabia poskromił narastający gniew. Wielebny był jego przyjacielem, a także opiekunem Beth. Wiedział, że jeśli nie przekona pastora do tego związku, nikt inny również nie dostrzeże w nim sensu.

- Nosi nazwisko wielebnego, a to w zupełności mi wystarcza - oświadczył. - Będę szczery. Może i jestem hrabią, ale nie szukam utytułowanej żony, gdyż przekonałem się na własnej skórze, że w takim związku łatwo o rozczarowanie. Co więcej, przyjrzałem się ewentualnym kandydatkom i może mi wielebny wierzyć, że z żadną z nich nie wy-

trzymałbym dłużej niż tydzień. Beth i ja doskonale się rozumiemy. Stworzymy spokojny domi zgodne stadło, czego pragnę, i jeśli Bóg pozwoli, doczekamy się dzieci, których potrzebuję. W zamian dam Beth nazwisko oraz pozycję. Gdy zostanie hrabiną Portbury, nikt nie ośmieli się kwestionować jej przeszłości.

Pastor uniósł brwi.

- Zatem nie jest to małżeństwo z miłości? - zapytał.

Jonathan przecząco pokręcił głową. - Miłość jest dla młodziaków i pensjonarek - odparł. - Mówimy o znacznie trwalszym związku. Ogromnie szanuję i cenię Beth. Obaj wiemy, że nie brak jej rozlicznych zalet. Będzie wspaniałą hrabiną i odpowiednią dla mnie towarzyszką życia.

- Rozumiem. - W głosie pastora pobrzmiwała nuta smutku.

Odwrócił wzrok, wyraźnie unikając spojrzenia rozmówcy.

Zapadło milczenie, które przerwał hrabia.

- Czy wielebny zgodzi się poprowadzić uroczystość? - spytał. - Beth ogromnie by tego pragnęła.

- Wybacz, Jonathanie, ale to niemożliwe. Chyba to rozumiesz?

- Niestety, nie.

Starszy pan westchnął ciężko.

- Muszę mieć pewność, że obie strony mogą wziąć ślub - wyjaśnił. - Ty jesteś wdowcem, jednak Beth może być żoną innego mężczyzny.

Nie było wyjścia; Jonathan musiał być wyjątkowo szczery i polegać na dyskrekcji pastora.

- Zapewniam wielebno, że Beth nigdy nie była żoną żadnego mężczyzny. - Wytrzymał spojrzenie rozmówcy, czekając na znak, że pastor zrozumiał jego słowa. Stało się to szybciej, niż hrabia oczekiwał. Pastor szeroko otworzył oczy. - Widzę, że wielebny rozumie, o co mi chodzi. Powinienem dodać, że mamy teraz wszelkie powody, aby jak najszybciej się pobrać.

Sugerowanie, że Beth jest w ciąży, było lekkim nadużyciem, lecz Jonathan zamierzał uczynić wszystko, aby osiągnąć cel. Nic innego się nie liczyło.

Pastor jednym haustem wypił resztę wina, po czym wstał i zaczął krążyć po bibliotece. Nie była obszerna, musiał więc przystawać i zawracać po każdym trzech lub czterech krokach. Jonathan siedział nieruchomo i obserwował pastora. Nie mógł nic zrobić, dopóki duchowny nie skończy bić się z myślami.

- Nie pozostawiasz mi wyboru - powiedział zmęczonym głosem pastor. - Zapewniasz mnie, że Beth nie była żoną innego, i muszę zawierzyć twojemu słowu. Powiem ci jednak, że jestem oburzony tym, co zrobiłeś, by dowieść jej niewinności. Nigdy nie zostawiłbym cię samego z Beth, gdybym nie zakładał, że zachowasz się jak dżentelmen. - Spiorunował Jonathana wzrokiem i dodał: - Najwyraźniej myliłem się w ocenie.

Hrabia nie mógł powiedzieć niczego w obronie swojego honoru, gdyż tym samym naraziłby cześć Beth, a tego nie chciał.

- Czy istnieje możliwość, że Beth nosi twoje dziecko?

Hrabia popatrzył pastrowi w oczy, lecz nie odpowiedział na to pytanie.

- Jeśli była dziewicą, kiedy ją brałeś, to przynajmniej nie ma ryzyka bigamii - zauważył z widocznym smutkiem pastor.

Jonathan lekko skinął głową.

- Ponieważ może spodziewać się twojego potomka, nie pozostaje mi nic innego, jak dopilnować, by ten wasz... niestandardowy związek został uświęcony w kościele. Wymusiłeś to na mnie i bez wątpienia wiedziałeś, co robisz. Jedź do Londynu. Jeśli wrócisz ze specjalną licencją, to udzielę wam ślubu.

- Dziękuję, wielebny. Przepraszam za... - Hrabia umilkł z braku stosownego słowa.

- Oszustwo?

- Pastor ma pełne prawo gniewać się na mnie. Przyznaję, że moje zachowanie było mniej honorowe, niż wielebny mógł oczekiwać, i za to, lecz tylko za to, ogromnie przepraszam. Mam nadzieję, że któregoś dnia odzyskam zaufanie wielebnego. Nie mogę jednak przeprosić za to, co się stało, gdyż w żaden inny sposób nie mógłbym doprowadzić do małżeństwa z Beth. Tego nigdy nie będę żałował, nawet jeśli to nas dwóch poróżniło. Nie muszę chyba dodawać, że liczę na to, że do tego nie doszło.

Z oczu pastora zniknął smutek, a jego miejsce zajęła zaduma. Powoli skinął głową.

- Wątpię, byśmy się poróżnili, pod warunkiem że... Powiedz mi prawdę i przysięgnij na swój honor. Czy Beth także tego chciała?

Jonathan poczuł się dotknięty. Pastor pytał, czy wziął Beth siłą, aby zmusić ją do przyjęcia oświadczyn. Jak bogobożny chrześcijanin mógł w ogóle pomyśleć coś takiego? - zadał sobie w duchu pytanie. Szybko jednak doszedł do wniosku, że duchowny miał podstawy, by zwątpić w hrabiowski honor. Musiał teraz na nowo przekonać go do siebie, jednocześnie nie zdradzając Beth. Po długim milczeniu Jonathan powiedział:

- Beth wzięła w tym udział z własnej i nieprzymuszonej woli.

Starszy pan westchnął z ulgą.

- Nic nie powiem mojej żonie ani Beth. Naturalnie, pogratuluje jej z całego serca. - Ciepły uśmiech rozjaśnił jego twarz. Pastor nie pochwalał tego, co zrobili, ale cieszył się szczęściem bliskich sobie osób.

- To bardzo wspaniałomyślnie ze strony wielebnego.

- Dziękuję, mój chłopcze. Zamieszkacie tutaj, we Fratcombe?

Przesłuchanie dobiegło końca, teraz nadszedł czas na pogawędkę między dwój-
giem przyjaciół.

- Myślę, że na jakiś czas z pewnością. Beth będzie chciała mieć pieczę nad szkołą i śledzić postępy uczniów. Naturalnie, zapewnię tej placówce stałe źródło utrzymania i wielebny będzie mógł zatrudnić nauczyciela. Sądzę jednak, że większość roku będziemy spędzali w King's Portbury, w mojej głównej siedzibie. Czy mogę liczyć na to, że pastorstwo nas odwiedzą? Jestem pewien, że Beth przyłączy się do zaproszenia, kiedy tylko zadamowimy się w Portbury Abbey.

Pastor przechylił głowę i zmrużył oczy, ale uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedział po chwili. - Pani Aubrey będzie niezwykle wdzięczna. A skoro już o pani Aubrey mowa... - Podszedł do kominka, żeby pociągnąć za dzwonek. - Najwyższa pora, byśmy przekazali jej wieści. Na pewno będzie chciała wam pogratulować. - Uśmiechnął się łobuzersko do Jonathana. - Nie widziałem dzisiaj Beth. Ciekawe, jak wygląda. Sądzę, że rozkwitła niczym róża, teraz kiedy jest już... hm... zaręczona.

Rozdział dwunasty

Jonathan wpatrywał się w gasnący w kominku ogień, dopijając porto. Podczas kolacji Beth wydawała się nieco przybita. Nie mógł tego zrozumieć. Przecież teraz, po ślubie, jej pozycja była niezagrożona, lady Fitzherbert ani inna jej pokroju osoba nie ośmieliłaby się jej skrzywdzić. Chyba nie obawiała się nocy poślubnej? Oboje dowiedzieli się już, że doskonale do siebie pasują.

Zerknął na zegar. Było za wcześnie, by dołączyć do Beth, która po posiłku udała się do sypialni, postanowił więc wypić następny kieliszek porto. Zaczął zastanawiać się nad organizacją podróży z Fratcombe do Londynu w nadziei, że to oderwie jego myśli od czekających go rozkoszy małżeńskiego łóża. Postanowił, że jutro powie zarządcy, aby we wszystkich punktach zmiany koni rozmieścił wierzchowce z Portbury, dzięki czemu podróż będzie przebiegała sprawniej i wygodniej. Wiedział, że im szybciej rozgoszczą się w King's Portbury, tym rychlej rozpoczną spokojne życie. Poza tym jego matka musiała pouczyć Beth o czekających ją obowiązkach pani okazałej rezydencji.

Był przekonany, że hrabina przyjmie synową z otwartymi ramionami. Nie mógł jeszcze poinformować jej o spadkobiercy, ale zamierzał postarać się o niego jak najszybciej. Dzięki Beth mógł się teraz cieszyć regularnym pożyciem intymnym. Być może pewnego dnia opowie jej nawet o... Nie! O pewnych rzeczach dama nie powinna słyszeć nawet od męża. W tym momencie uświadomił sobie, że nie będzie mógł spać w łóżu Beth, choć najchętniej nie wypuszczałby jej z objęć. Musiał nocować osobno, ponieważ publiczne demonstrowanie uczuć nie przystoi hrabiemu.

Beth doszła do wniosku, że jej sypialnia to najprawdziwszy raj.

- Czy mój skarb jest szczęśliwy?

Z trudem uniosła ciężkie powieki. Jonathan pochylał się nad nią i spoglądał jej w oczy.

- Uhm... - zamruczała, ale mąż najwyraźniej czekał na bardziej elokwentną ocenę. -

Wtedy, w parkowym domku, było cudownie - zaczęła nieśmiało - ale tutaj, w małżeńskim łóżu, jest wręcz nieziemsko.

- Aha. - Położył się obok i przytulił Beth do siebie, a po chwili zaczął bawić się jednym z jej loków. - Masz piękne włosy. Nawet nie przypuszczasz, jak długo marzyłem o tej chwili.

Beth pomyślała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Wyszła za człowieka, którego pokochała, i choć on nie odwzajemniał jej uczucia, na pewno mu na niej zależało. To dlatego ich fizyczna miłość była cudowna. Jonathan zachowywał dystans wtedy, gdy nie byli sami. Zdaniem Beth, niepotrzebnie, ale liczyła na to, że w przyszłości to się zmieni. A nawet jeśli nie, pozostawały jej chwile bardzo intymne, takie jak ta, kiedy trzymał ją w ramionach i rozmawiali o wszystkim. Mieli przed sobą całą noc.

- Nauczysz mnie czegoś o gwiazdach? - szepnęła.

- Skoro sobie tego życzysz, lecz dopiero po powrocie do Fratcombe.

- Och... - Z trudem ukryła rozczarowanie.

Marzyła o tym, żeby ponownie znaleźć się na dachu domku i w objęciach Jonathan na podziwiać rozgwieżdżone niebo. Po chwili doszła do wniosku, że może tak będzie rozsądniej - nastąpiła zima, więc lepiej było poczekać do lata, kiedy zrobi się na tyle ciepło, aby oboje mogli zrzucić ubrania.

Co za śmiała myśl! Przytuliła się do męża, usiłując stłumić ziewnięcie. Dzień okazał się długi i męczący, ale nie zamierzała zasypiać, gdy nagi Jonathan było tak blisko. Pocałował ją w głowę i mocno przytulił.

- Po Londynie, gdzie zabawimy bardzo krótko, zatrzymamy się w King's Portbury i tam spędzimy święta - oznajmił. - W styczniu muszę być w Londynie, bo na nowo zbierze się parlament, ale ty możesz zostać w posiadłości do rozpoczęcia sezonu. Prawdopodobnie pojawimy się we Fratcombe dopiero latem. Czy lekcje astronomii mogą poczekać?

- Ja... - urwała.

Zapowiadało się, że dużo czasu spędzi w otoczeniu nieznanym sobie osób. Na szczęście, uparła się, żeby Hetty Martin została jej pokojówką i jej towarzyszyła.

Jonathan przesunął palcem po jej szyi i piersi. Ten wręcz magiczny dotyk momentalnie ją rozpałał. Uniosła ręce, by przyciągnąć do siebie jego głowę.

- Wszystkich lekcji, jakich potrzebuję, mężu, możesz udzielić mi tutaj - powiedziała półgłosem.

Jonathan leżał nieruchomo dopóty, dopóki nie upewnił się, że Beth mocno śpi. Była cudowną kochanką, namiętną i hojną. Nigdy by nie uwierzył, że dziewczyna może tak szybko zmienić się w uwodzicielkę, gdyby sam tego nie doświadczył. W innych okolicznościach nie opuszczałby jej łóżka przez tydzień, ale postępując tak jako hrabia, ośmieliliby ich oboje przed służbą. Intymność była zarezerwowana na nocne godziny, w dzień hrabiostwo powinni w stosunku do siebie zachować dystans.

Po raz ostatni ucałował loki żony i wysliznął się spod kołdry. Jedwabny, ciężki szlafrok był przewieszony przez oparcie krzesła stojącego przy łóżku. Jonathan narzucił na siebie szlafrok, który wydawał mu się zimny i sztywny w porównaniu z delikatnym, pieszczotliwym dotykiem Beth. Mimo to oparł się pokusie i nie wrócił do łóżka. Boso przeszedł przez drzwi łączące ich sypialnie.

Beth nie najlepiej czuła się w Londynie. Parlament nie obradował i większość znamienitych rodzin bawiła w wiejskich posiadłościach. Jonathan wynajął pokoje w hotelu Grillon, żeby, jak twierdził, uniknąć otwarcia londyńskiej rezydencji, Portbury House. Nie ogłosił oficjalnie, że hrabia i hrabina Portbury przebywają w stolicy, i dopilnował, aby Beth mogła kupić nową garderobę, nie ściągając na siebie uwagi plotkarek, które niezmiennie ochoczo wyszukiwały powody do paplania.

Beth musiała samotnie wybierać się na zakupy, bez męża. Hrabia twierdził, że przy takich okazjach mężczyzna jest bezużyteczny, a poza tym miał ważne sprawy do załatwienia. Beth gotowa była pogodzić się z faktem, że interesy są istotniejsze niż garderoba nowej żony, ale czy musiały mu zajmować każdą wolną chwilę? Na domiar złego Jonathan traktował ją z rezerwą.

Po trzech dniach spędzonych wyłącznie w towarzystwie Hetty Beth doszła do wniosku, że mąż jej unika. Nie było innego wytłumaczenia. Zaledwie raz wspólnie jedli posiłek, po którym od razu ją opuścił, bez słowa wyjaśnienia. Czwartego dnia obudziła się z przeraźliwą migreną i mdłościami. Powróciły koszmary związane z jej nieznaną przeszłością. Czy na pewno słusznie postąpiła, dając się przekonać do małżeństwa? Jonathan upierał się, że jej dawne życie nie ma znaczenia, a pozycja hrabiego postawi Beth

poza wszelką krytykę, tymczasem jej unikał. Czyżby zaczęły nachodzić go wątpliwości co do pośpiesznych oświadczeń i ślubu?

Usiłowała nie ulec poczuciu winy. Nie oszukiwała Jonathana, odrzuciła oświadczenia. On jednak zignorował jej protesty, a potem użył rozkosznie przebiegłej perswazji, aby zmieniła zdanie. Nadal to robił każdej nocy. Nie mógłby kochać się z nią tak czule, gdyby żałował zawarcia małżeństwa, tłumaczyła sobie Beth. Zachowywał się oschle, gdyż taki właśnie był w stosunku do każdego. Na pewno się jej nie wstydził, niewątpliwie jednak chciał, by najpierw oswoiła się z King's Portbury i z nową rodziną, nim pojawią się w londyńskim towarzystwie jako świeżo poślubiona para. Czy właśnie dlatego planował powrócić do Londynu sam? Rozpiął nad nią parasol ochronny, to jednak nie mogło powstrzymać szeptów i wrogich plotek. Może nie chciał, by wzięto ją na języki, i dlatego wolał nie pokazywać się z nią publicznie.

Nie, na pewno nie o to chodziło, rozmyślała Beth. To nie ze względu na troskę o mnie postanowił sam pojechać do Londynu. Poza wszystkim nie wziął pod uwagę jej zdania. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa - Jonathan nie był małostkowy, tylko wyniosły. Wierzył w swoją ocenę sytuacji i z nikim się nie konsultował przed podjęciem decyzji. Uznał, że Beth szybko zdomowi się w King's Portbury. Po co miałyby opuszczać przytulne i wygodne domostwo, by zamieszkać w styczniu w Londynie? Pogoda bez wątpienia będzie okropna, stan dróg jeszcze gorszy. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Beth chętnie zniosłaby godziny męczącej podróży i noclegi w gospodach, byle tylko spędzić z ukochanym choć kilka godzin każdego dnia.

Nie wiedział, gdyż nie zapytał, a ona nie mogła mu tego powiedzieć.

Prywatny salonik zalegały liczne paczki. Hetty biedziła się nad ich rozpakowaniem i ułożeniem zawartości w stosiki, lecz i tak wokół panował bałagan.

- Coś podobnego! Wykupiłaś cały magazyn? - Jonathan oparł się o framugę drzwi i krytycznym spojrzeniem obrzucił pokój.

Jak zwykle w pierwszej chwili Beth ogarnęła niepewność, jednak szybko się z niej otrząsnęła. To mąż, który nie traktuje jej wrogo i nie zamierza upokorzyć. Beth zdążyła się o tym przekonać. Wiedziała już, że rezerwa, jaką Jonathan prezentował w obecności

innych, bierze się z jego rozumienia powinności i pozycji hrabiego i nie oznacza, że mąż jej nie lubi.

- Muszę coś wyznać. - Zwiesiła głowę. - Obawiam się, że cię zrujnowałam.

Jonathan roześmiał się i ruszył ku żonie. Hetty pochyliła głowę, po czym przemknęła przez pokój i zamknęła za sobą drzwi. Beth popatrzyła na męża. Kiedy stanął w progu, wyglądał na zmęczonego, teraz jednak był ożywiony, wręcz bez troski.

- To już ostatnie. - Wskazała ręką kosztowne ubrania, do których kupna ją namawiał. - Możemy wyjechać z Londynu, kiedy tylko zechcesz.

- Doskonale.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po policzku, ale cofnął ją pośpiesznie, rumieniąc się lekko, jakby zawstydzony tym, co właśnie zrobił. Beth nie oderwała wzroku od twarzy męża. W końcu pogodziła się z tym, że poza sypialnią nie okazywał jej czułości nawet wtedy, gdy byli sami. Zupełnie jakby się spodziewał, że w każdej chwili ktoś może wejść i ich przyłapać.

- Wszystko jest gotowe do drogi - oznajmił. - Wyjedziemy jutro. Wierzchowce z Portbury czekają w punktach zmiany koni, powinniśmy więc uniknąć opóźnienia.

Beth starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Nie lubiła podróżować z wielką pompą, gdy na każdym kroku służba kłaniała się w pas. Była zdumiona, że Jonathan się na to zdecydował. We Fratcombe wydawał się bardziej swobodny, przynajmniej w towarzystwie Aubreyów, kiedy jednak stamtąd wyjechali, zachowywał się jak wyniosły arystokrata.

- Dodatkowe bagaże mogą jechać za nami - dodał Jonathan, najwyraźniej wciąż myśląc o podróży.

- Hetty się tym zajmie.

- Pokojówka pojedzie w twoim powozie. Hrabina Portbury nie podróżuje sama.

- To znaczy, że nie będziesz mi towarzyszyć?

- Naturalnie, że będę, ale planuję jechać konno. Za mało się ruszam. Jeśli dobra pogoda się utrzyma, to dotrzemy do King's Portbury za kilka dni. Będziemy mogli się tam rozgościć i żyć tak, jak ci obiecałem. Nauczysz się zarządzać dworem, moja matka ci w tym pomoże, zaś ja zajmę się posiadłością i obowiązkami w parlamencie. Obawiam

się, że od powrotu z Hiszpanii zaniedbuję jedno i drugie. Wieczorami będziemy we trójkę zasiadać do stołu. Cudowna wizja, prawda?

Zdaniem Beth wcale nie była cudowna, skoro teściowa będzie z nimi mieszkała. Najgorsze, że poza sypialnią mąż najwyraźniej nie chciał przebywać z nią sam na sam, a spędzał z nią czas w łóżku przede wszystkim dlatego, że starał się o potomka. Dotąd uważała, że cenił ją sobie jako zaufaną przyjaciółkę, teraz zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie była w błędzie.

- Ach, Jonathan. Punktualny jak zawsze. - Hrabina wdowa rozpromieniła się na widok syna. - Proszę, podejdź do kominka. Wiem, że tu, w Anglii, nieustannie marzujesz.

Hrabia stanął tyłem do paleniska, by rozgrzać plecy, i rozejrzał się po przytulnym saloniku matki. Wkrótce miała wrócić do Wdowiego Domu, co oznaczało, że salonik będzie należał do Beth. Postanowił, że zaproponuje, by go na wiosnę przerobili i pomalowali na jej ulubiony kolor. Pewnie zażyczy sobie również nowych mebli, a on nie miał nic przeciwko temu. Nie było sensu trzymać tych wybranych przez Alicję. Wzdrygnął się na myśl o zmarłej żonie.

- A nie mówiłam? - odezwała się lady Portbury. - Jesteś przemarznięty do szpiku kości. Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłeś jechać wierzchem, skoro mogłeś podróżować w wygodnym powozie i trzymać stopy na gorących ceglach.

- Muszę zażywać więcej ruchu na świeżym powietrzu, mamó. - Nie do końca była to prawda. - Poza tym w Hiszpanii zimą także bywa mroźnie.

- W to nie wątpię, mój drogi. Czy twoja żona do nas dołączy? Myślałam, że napijemy się razem herbaty. Odkąd się zjawiliście, nie mieliśmy okazji porozmawiać.

- Beth jest zmęczona po podróży. Nalegałem, żeby odpoczęła przed kolacją. Byłem pewien, że to zrozumiesz.

- Skoro jest zmęczona, rzeczywiście powinna odpocząć. Bądź tak miły, Jonathanie, i pociągnij za dzwonek.

Kamerdyner zjawił się niemal natychmiast, przynosząc tacę z herbatą. Hrabina jak zwykle siedziała nieruchomo, w milczeniu, póki Goodrite nie uklonił się i nie wyszedł. To przede wszystkim od matki Jonathan nauczył się, jak ważne jest strzeżenie własnej

prywatności. Plotki, niezależnie od tego, czy rozsiewane przez służbę, czy przez wyższe sfery, bywały groźne.

Wdowa bez pośpiechu nalala herbatę do filiżanek i wręczyła synowi jedną z nich. Zapamiętała, jaki napar najbardziej lubił, gdyż była doskonałą gospodynią. Jonathan pomyślał, że Beth nie mogłaby wymarzyć sobie lepszej nauczycielki.

- Jeśli już ci cieplej, to może zechcesz usiąść? - zaproponowała. - Wiem z doświadczenia, że spoglądanie na innych z góry powoduje nieznośny ból w szyi.

Jonathan parsknął śmiechem, ale posłusznie usiadł.

- Twoja żona wydaje się urocza. Zdaje się, że poznałeś ją we Fratcombe? - Kiedy skinął głową, wdowa dodała: - O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że wracasz, by sprostać wyzwaniu, które sobie postawiłeś. Jeżeli chodziło o przyszłą żonę, to mogę zrozumieć ten pośpiech. Ma w sobie coś, co z pewnością przyciąga mężczyzn.

Zdumiony Jonathan nie ośmielił się otworzyć ust, żeby nie obrazić matki, mówiąc, co sądzi o jej pozbawionej taktu uwadze. Czy naprawdę zasugerowała, że Beth w wulgarny sposób go uwiodła? Milczał, ale jego dezaprobata musiała być oczywista, gdyż matka zrobiła pełną skruchy minę i powiedziała:

- Wybacz, nie chciałam jej w żaden sposób uchybić. Jak wspomniałam, to urocza młoda dama. Nie zamierzam wypytywać cię o szczegóły twoich zalotów. Dla mnie najważniejsze jest to, że masz żonę.

- Dziękuję. - Uznał, że źle zrozumiał poprzednie słowa matki. Przecież nie próbowałyby oczerniać wybranej przez niego żony. Nie wątpił, że pomoże Beth odnaleźć się w Portbury. - Mam nadzieję, że ty i Beth wkrótce będziecie dla siebie jak matka i córka.

Pomyślał, że Alicia się nie liczy - zawiodła nie tylko jako żona, ale również jako synowa.

- Nic mnie bardziej nie ucieszy niż to, że twoja żona będzie dla mnie jak córka - odparła lady Portbury.

Nieoczekiwanie zdenerwowało go, że matka uparcie nie nazywa Beth po imieniu, chociaż je zna.

- Moja żona ma na imię Beth, mamó - wycedził.

- Elizabeth?

- Woli, kiedy zwracać się do niej Beth.

- Niech i tak będzie. Rozesłałam zaproszenia na święta. Wiedziałam, że twoja żona, to znaczy Beth, nie zjawi się tutaj na czas, by osobiście się tym zająć. Pierwsi goście przybędą za jakiś tydzień.

Tradycja urządzania wielkiego przyjęcia świątecznego była ostatnią, którą Jonathan pragnął kultywować. Powinien był poprosić matkę, by w tym roku odwołała imprezę, ale całkiem o tym zapomniał, nie mógł więc jej winić. Postanowił zatem udawać zachwyty.

- Mamo, nie mam prawa oczekiwać od ciebie takiego wysiłku. Zwłaszcza teraz, gdy Beth może pełnić obowiązki gospodyni.

- Jak wspomniałam, zabrakłoby czasu. Gdyby zaproszenia przyszły za późno, ludzie zaczęliby gadać. Pomogła mi panna Mountjoy. Muszę przyznać, że jej sugestie okazały się pożyteczne.

Panna Mountjoy! Powinien był się domyślić. Bez wątpienia wpłynęła na wydłużenie listy gości i przeciągnięcie ich pobytu. Ta cała Mountjoy była niebezpieczna i złośliwa, a matka traktowała ją jak swoją powiernicę!

Hetty wśliznęła się do sypialni i na palcach ruszyła ku łóżku.

- Nie śpię. Czuję się wypoczęta, a ból głowy minął - oznajmiła Beth.

- Przyszła panna Mountjoy, panienko Beth, to znaczy jaśnie pani - powiedziała Hetty. - Z wiadomością od mamy jaśnie pana.

- Tu? Bardzo dziwne. Zaraz się zjawię.

Panna Mountjoy została jej przedstawiona przez wdowę jako sąsiadka, tymczasem, jak się Beth zorientowała, wykonywała różne zleczone prace w posiadłości. Co więcej, choć nie mieszkała w Portbury Abbey, najwyraźniej czuła się tu jak we własnym domu. Beth nie mogła zrozumieć, co się dzieje, jednak dobre maniery wzięły górę nad niechęcią do gościa. Otuliła się peniuarem, podanym jej przez Hetty, i poszła za pokojówką do saloniku, który dzielił jej sypialnię od sypialni Jonathana.

Panna Mountjoy szeroko otworzyła oczy na widok hrabiny. Przyglądała się jej o kilka sekund za długo, po czym zwyczajowo dygnęła. Beth poczuła się niepewnie, w domowym stroju witając tę kobietę.

- Jest nieco chłodno, Hetty - zwróciła się do pokojówki. - Przynies mi szal, jeśli łaska.

- Hetty? - powtórzyła panna Mountjoy, kiedy dziewczyna się oddaliła. - Cóż za dziwaczne imię jak na pokojówkę damy. - Przyłożyła dłoń do ust, chichocząc piskliwie. - Proszę mi wybaczyć, nie chciałam, żeby zabrzmiało to impertynencko. Pomyślałam tylko... Matka pana hrabiego wspomniała, że przy okazji pobytu w Londynie zatrudni pani wykwalifikowaną pokojówkę.

Wprawdzie panna Mountjoy była powiernicą matki Jonathana, lecz Beth doszła do wniosku, że ona jej nie polubi. Zaczekała, aż Hetty otoczy jej ramiona obszernym szalem i wróci do sypialni. Jako hrabina Portbury nie mogła pozwolić, by w jej domu szarogęsiła się kobieta pokroju panny Mountjoy.

- Hetty wspomniała, że ma pani dla mnie wiadomość od hrabiny wdowy - powiedziała. - Jak mniemam, nie dotyczyła ona mojego wyboru służby?

- W rzeczy samej, nie. Matka pana hrabiego zmartwiła się, że zmęczyła się pani podróżą, zwłaszcza że przebiegała ona wśród wręcz ekstrawaganckich wygód. Pomyślałyśmy, że być może pani niedomaga. Hrabina wie, że mam pewne doświadczenie w zajmowaniu się damami, kiedy ich zdrowie jest... nadwerężone. Nabyłam tych umiejętności przed przybyciem do King's Portbury, rzecz jasna. Czy mogłabym w czymś pomóc?

Na litość boską, matka Jonathana przysłała tę ropuchę, żeby dowiedzieć się, czy synowa jest w ciąży! To nawet nie było obraźliwe, tylko po prostu upokarzające, uznała Beth. Czy tak będzie wyglądać jej życie w King's Portbury?

- Hetty! - zawołała. Pokojówka pojawiła się natychmiast. Zapewne stała za drzwiami. - Dziękuję za troskę, lecz nie będę potrzebowała pani asysty. Hetty, wyprowadź pannę Mountjoy.

Nawet nie skinąwszy głową niepożądanemu gościowi, Beth okręciła się na pięcie i wymaszerowała prosto do sypialni.

- Jak dużo słyszałaś? - zapytała, gdy pokojówka wróciła.

- Najmocniej przepraszam, panienko Beth, to znaczy jaśnie pani. Nie chciałam podsłuchiwać, ale wiedziałam, że mogę się przydać, jakby co do czego...

Beth przerwała jej machnięciem ręki.

- Nie będziemy dyskutowały na temat insynuacji panny Mountjoy, dotyczących mojego stanu zdrowia. Natomiast jej komentarze na twój temat to co innego.

Hetty poczerwieniała i wbiła wzrok w podłogę. Beth nabrała podejrzeń, że w grę wchodzi nie tylko zjadliwy język panny Mountjoy.

- Nie minęła doba, odkąd się tu znalazłyśmy. Co cię przygnębiło?

- Hrabina Alicia miała bardzo dobrą francuską pokojówkę. Tak mówi ochmistrzyni.

- Rozumiem. Ochmistrzyni sugeruje również, że nie możesz się równać z poprzednią pokojówką?

- Nie całkiem, nie takimi słowami, jaśnie pani. Oni tylko patrzą i szepczą. A zresztą może mi się tylko wydawało.

Beth była prawie pewna, że Hetty się nie myli. Skoro służący obgadywali pokojówkę nowej hrabiny, to co mówili o samej hrabinie? Postanowiła, że dla dobra Hetty dowie się wszystkiego i zdusi takie zachowania w zarodku.

- Nie zwracaj na nich uwagi - poradziła. - Pamiętaj, że jesteś pokojówką pani tego domu, a na razie traktuj ich wszystkich z góry. Tak właśnie postąpiłaby znakomita francuska pokojówka. - Uśmiechnęła się krzepiąco.

- Dobrze, jaśnie pani. Wszystko jedno, co opowiada panna Mountjoy.

- Panna Mountjoy? - zaciekała się Beth. - Czy właśnie ona siała niezgodę wśród służby? Ale jak, skoro nie jest służącą?

- Ponad dziesięć lat była damą do towarzystwa hrabiny Alicii. Teraz mieszka w ładnym domku w pobliżu. Ponoć to podarek od jaśnie pana.

- Nie wolno ci powtarzać tego, co służba wygaduje o panu hrabim.

- Bardzo przepraszam, jaśnie pani - szepnęła Hetty.

Beth odprawiła ją, po czym zaczęła spacerować po salonie. Jonathan kupił domek dla towarzyski zmarłej żony? Dlaczego? Od pierwszego spojrzenia widać, że to intrygantka, na dodatek przebiegła. Beth nie wątpiła, że to właśnie panna Mountjoy rozsiewa plotki o Hetty. Musi znaleźć sposób na to, by je ukrócić. Tymczasem chętnie by się dowiedziała, co łączyło pannę Mountjoy i Jonathana. Zanim wyjechał do Hiszpanii, ta kobieta prawdopodobnie była całkiem atrakcyjna. Może zrobił z niej swoją kochankę? Był

przecież namiętnym mężczyzną. Jeśli nie mógł sypiać ze znieawidzoną żoną, to może sypiał z jej towarzyszką, a potem podarował jej domek jako wynagrodzenie? Zadała sobie pytanie, czy Jonathan zamierzał odnowić ten związek po powrocie z wojny. Teraz jednak był żonaty, więc chyba sytuacja radykalnie się zmieniła?

Panna Mountjoy nie zachowywała się jak sąsiadka, co zaniepokoiło Beth. Można było odnieść wrażenie, że ma w tym domu jakąś władzę i zna rozmaite sekrety.

Rozdział trzynasty

Hrabina wdowa uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Pierwsi goście powinni pojawić się już jutro - powiedziała.

Jonathan nagle się zaniepokoił.

- Rozumiem, że nie będzie wśród nich młodych dam z letniego przyjęcia, mamó? - zapytał.

Jej uniesione z wyższością brwi mówiły same za siebie. Żaden książę nie dopuściłby do tego, by jego niezamężna córka zjawiała się na przyjęciu, gdzie brakowałoby kawalerów do wzięcia. George, nawet gdyby się pofatygował, młodszy syn bez grosza przy duszy, za to z fatalną reputacją, nie nadawał się na męża.

- Proszę o wybaczenie - oznajmił Jonathan. - Nie wypadało nawet pytać.

Matka zaczęła wymieniać nazwiska, a on zastanawiał się, co powinien powiedzieć Beth na temat gości. Niektórzy z nich, niestety, zbyt wysoko zadzierali nosa, aby być dobrymi kompanami. W drzwiach pojawił się kamerdyner.

- Jaśnie pani prosiła, by ją poinformować, kiedy hrabina wróci z przejażdżki - oznajmił.

- Proszę zapytać hrabinę, czy zechce zaszczyścić nas swoim towarzystwem - poleciła mu starsza lady Portbury.

Zanim Goodrite zdążył się uklonić, Jonathan zerwał się na równe nogi i pomaszrował do drzwi.

- Nie ma potrzeby, sam się tym zajmę - powiedział.

W holu Beth właśnie zsuwała z ramion ciężką pelisę i odwiązywała czepek. Słyszając kroki męża, odwróciła się ku niemu. Miała zarumienione od chłodnego wiatru policzki i błyszczące oczy. Pomyślał, że dobrze zrobił, wysyłając ją na przejażdżkę po kilku dniach rozmów z jego matką, która cierpliwie wdrażała Beth do nowych obowiązków.

- Witam, panie hrabio - oświadczyła oficjalnym tonem, choć jej spojrzenie złagodniało, gdy na niego patrzyła.

Jonathan uprzytomnił sobie, że takim samym wzrokiem przyglądała mu się, kiedy się kochali, i nagle ogarnęło go pożądanie. Chciał coś powiedzieć, lecz nie przychodziły mu do głowy właściwe słowa. Dla ukrycia zakłopotania ujął dłoń żony. Chyba coś wyczuła, gdyż przejechała palcem po spodzie jego dłoni. Na miłość boską, co też ona wyprawia? Było popołudnie i znajdowali się w holu, pod czujnym okiem kamerdynera i w obecności dwóch lokajów, o Hetty nie wspominając. Cofnął rękę, jakby się oparzył, i odstąpił do tyłu.

- To wszystko, Hetty. - Beth skinęła głową pokojówce. - Czy pan hrabia czegoś sobie życzy?

Tak, chciałbym zanieść cię do łóżka i tam zniewolić, pomyślał.

- Moja matka czeka w salonie - oznajmił pośpiesznie. - Zechcesz do nas dołączyć, moja droga?

Jak nakazywał zwyczaj, zaoferował Beth ramię. Uśmiechnęła się do niego i ruszyli do salonu. Jonathan uznał, że jak na kobietę, która dopiero co wyszła za mąż, Beth niezwykle szybko nauczyła się doprowadzać go do szaleństwa.

- Dobrze wyglądasz, moja droga. - Starsza lady Portbury uśmiechnęła się na powitanie i wskazała im obojgu miejsca naprzeciwko siebie.

Podczas gdy kamerdyner bezgłośnie zamykał drzwi, Jonathan podprowadził Beth do krzesła, lecz nie usiadł obok niej, gdyż uznał, że woli obserwować ją z pewnej odległości. Zajął miejsce na sofie i starał się wyglądać na bardziej odprężonego, niż się czuł.

Beth wyciągnęła rękę do ognia.

- Przejazdżka była cudowna. Wiał ostry wiatr, ale świeciło słońce, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Park wygląda przepięknie mimo braku liści na drzewach. - Odwróciła się do męża i lekko uniosła brwi. - Może, kiedy sprawy będą mniej pilne, dołą-

czysz do mnie i pokażesz mi inne atrakcje? Chciałabym się więcej dowiedzieć o okolicy. W pewnej chwili wydawało mi się, że widziałam stary, kamienny domek, na wpół ukryty za drzewami.

A niech to! Naprawdę stała się pewniejsza siebie i teraz się z nim drażniła, na dodatek w obecności jego matki. Jonathan wiedział, że powinien się złościć na Beth, ale coraz trudniej było mu utrzymać powagę na twarzy. Szczerze mówiąc, miał ochotę wybuchnąć śmiechem, a potem obsypywać żonę pocałunkami tak długo, aż zacznie błagać o litość. Uznał jednak, że przemówi jej do rozumu, gdy znajdą się sami.

- Rozmawiałam z Jonathanem o gościach - wtrąciła oschłym tonem wdowa. - Jeśli pogoda się utrzyma, to panom proponujemy rozrywki pod gołym niebem. Prawdopodobnie niektórzy z pań zechcą do nich dołączyć. O ile dobrze pamiętam, część młodych dam doskonale jeździ konno. - Popatrzyła na syna, który obojętnie skinął głową. - Sądzę jednak, że ty, moja droga, zważywszy na okoliczności, będziesz wolała odpoczywać w domu.

Beth zarumieniła się i pośpiesznie skierowała wzrok na ogień.

- Nie widzę żadnego powodu, aby Beth nie miała jeździć konno, jeśli tylko zechce - oświadczył hrabia bardziej szorstko, niż zamierzał. - Świetnie radzi sobie w siodle i może wybrać wierzchowca.

- Dziękuję - odparła cicho Beth.

- Hm. - Wdowa dumnie uniosła głowę. - Powinieneś wiedzieć, że obowiązkiem gospodyni jest dopilnować, by goście dobrze się bawili. Beth może, rzecz jasna, wybrać się na przejażdżkę, ale tylko pod warunkiem, że zaproszone damy postanowią do niej dołączyć. Jeśli część z nich pozostanie w domu, jak się spodziewam, gospodyni przyjęcia nie może ich opuścić. Już to ustaliłyśmy, prawda, moja droga?

Beth popatrzyła teściowej prosto w oczy.

- Żaden z naszych gości nie będzie miał powodu powątpiewać w gościnność w tym domu - podkreśliła.

Hrabina wdowa dwukrotnie skinęła głową, jakby przyjmując hołd od poddanej, a Jonathan zaczął się zastanawiać, co tu się działo przez ostatnie dni, podczas których jego matka wprowadzała Beth w obowiązki, ciążące na właścicielce Portbury Abbey. Czyżby

między nimi doszło do tarć? Wcześniej zapewniał Beth, że kiedy zostanie jego hrabiną, nikt nie ośmieli się jej prześladować. Okazuje się, że hrabina wdowa, wywodząca się z bogatej i wpływowej rodziny, najwyraźniej nie widziała potrzeby panowania nad własną złośliwością. Jeśli nie zaakceptowała synowej, to niewątpliwie była zdolna do zamiany jej życia w piekło.

Popatrzył na żonę, próbując rozszyfrować wyraz jej twarzy. Biedna Beth, nadal nie czuła się bezpiecznie. Wciąż prześladował ją strach, że duchy z przeszłości pojawią się i będą ją oskarżać o niesłychane zbrodnie. Czasem te lęki tak przybierały na sile, że Beth cierpiała na dokuczliwe migreny. Od ślubu zdarzały się coraz rzadziej, jednak jeśli jego matka...

- Muszę przyznać, że jesteś pojętną uczennicą, Beth - oznajmiła wyniośle starsza lady Portbury i popatrzyła na syna. - Twoja żona może przybyła do nas niezupełnie świadoma, jak należy prowadzić wielki dom, ale niewątpliwie chce się tego nauczyć. To oczywiste, że znakomicie sobie poradzi kiedyś, gdy będzie miała okazję wcielić moje nauki w życie.

Był to zupełnie niepotrzebny złośliwy komentarz. Nagle Jonathan ujrzał matkę w innym świetle. Dotąd uważał ją za wzorzec do naśladowania przez damy, natomiast teraz... Niewątpliwie matka to wielka dama, niemniej brakuje jej dobrego serca i wspaniałości Beth, która ani trochę nie zasłużyła na tego typu uwagi.

- Moja droga, wyglądasz raczej blado - dodała nieco przyjaźniej hrabina wdowa. - Na pewno dobrze się czujesz? Panna Mountjoy powiedziała mi, że w zeszłym tygodniu zastała cię w łóżku. Obawia się, że możesz być... delikatnego zdrowia. Jest niesłychanie doświadczona w takich sprawach.

W ciągu kilku sekund bladość na obliczu Beth zmieniła się w purpurowy rumieniec. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz nie wydostały się z nich żadne słowa. Jonathan był coraz bardziej niezadowolony. Postanowił, że nie pozwoli pannie Mountjoy na złośliwe insynuacje, nie mógł jednak zganić matki w obecności Beth.

- Jestem zdumiony na wieść o tym, że panna Mountjoy nieproszona udała się do sypialni mojej żony. Nie jest już przez nas zatrudniona, a jako gość nie powinna się zajmować sprawami domu - oświadczył, patrząc wprost w oczy hrabiny wdowy.

- O ile wiem, to Beth zaprosiła pannę Mountjoy na górę - wycedziła starsza lady Portbury, piorunując syna wzrokiem.

- Obawiam się, że jaśnie pani została wprowadzona w błąd. - Beth pokręciła głową.
- Niczego takiego nie zrobiłam. Panna Mountjoy poinformowała mnie, że została przyślana przez jaśnie panią, abym mogła skorzystać z jej... hm... doświadczenia - dodała.

Hrabina wdowa zacisnęła usta, a jej oczy rozbłysły gniewnie. Jonathan wiedział, kogo obwiniać o tę sytuację. Panna Mountjoy była gotowa niemal na wszystko z nienawiści do męża swojej zmarłej kochanki. Musiał się z nią rozprawić, ale najpierw należało złagodzić konflikt między żoną a matką.

- Moja droga - zwrócił się do Beth, po czym pomógł jej wstać. - Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego nieporozumienia, ale mama ma rację, w rzeczy samej jesteś nieco błada. Czy mogę zasugerować, żebyś tego popołudnia odpoczęła? Ciężko pracujesz przygotowując dom na przyjęcie gromady gości.

Mocno zacisnął palce na jej dłoni i poprowadził żonę do drzwi. Nie opierała się. Była zbyt dobrze wychowana, by sprzeciwić się mężowi w obecności jego matki.

- Zajmę się tym, obiecuję - szepnął jej do ucha i wyprowadził ją na korytarz.

Kiedy patrzył, jak wchodziła na schody, usiłowanie zwracać uwagi na kuszące kołysanie jej bioder. Wrócił do salonu. Musiał poradzić sobie z ewidentną antypatią swojej matki do Beth. Najgorsze było to, że nie miał pojęcia, co ją spowodowało.

- Czy chciałabyś porozmawiać o czymś szczególnym, mamó? - spytał, siadając na krześle, które zwolniła Beth.

Teraz, po wyjściu synowej, hrabina wdowa wydawała się odprężona.

- Nie - odparła. - Chciałam jedynie dać do zrozumienia twojej żonie, jak ważne jest, by przyjęcie się udało. W końcu po raz pierwszy od ślubu będzie występowała w roli gospodyni. Ma raczej, hm, niewielkie pojęcie o tym, co robić.

- Doprawdy? Jak dla mnie wszystko jest w najlepszym porządku. Naturalnie, jestem tylko mężczyzną, rzecz jasna... - Pozwolił, by te słowa zawisły w powietrzu.

Matka chwyciła przynętę.

- Oczywiście. Obawiam się, że mężczyźni nie zauważają takich rzeczy. Twój ojciec był taki sam. - Jonathan milczał, podjęła więc z wahaniem: - Mam nadzieję, że twoja

żona dostrzeże różnice między pokojówkami gości a swoją własną... służącą. Nie uważam, aby byle wiejskie dziewczę nadawało się na osobistą pokojówkę hrabiny. Twój pokojowiec doskonale wie, z czym wiążą się jego obowiązki. - Wdowa mówiła nieco pewniej. - Chciałabym, żeby moja synowa poszła za twoim przykładem i zatrudniła odpowiedzialną pokojówkę.

- Dziękuję za radę, mamó. Dopilnuję, by ta sprawa została załatwiona. - Umilkł na chwilę, aby zapanować nad gniewem. Najpierw panna Mountjoy, teraz to... - Tylko o tym chciałaś ze mną porozmawiać?

Wydawało się przez chwilę, że starsza lady Portbury pragnęła powiedzieć coś jeszcze, ale najwyraźniej wyraz twarzy syna sprawił, że zmieniła zdanie, gdyż pokręciła przecząco głową.

- Wobec tego dziękuję ci za całą pomoc, jakiej udzieliłaś Beth od naszego przybycia, mamó. Jestem pewien, że dzięki twoim lekcjom doskonale sobie poradzi jako gospodyni. Wiem, że ciążyło ci odgrywanie tej roli przez te wszystkie miesiące i jestem ci wdzięczny. Rozumiem, że chcesz teraz wrócić do Wdowiego Domu, skoro pomogłaś Beth się rozgościć.

- Ja... hm... - Na policzkach wdowy wykwitły lekkie rumieńce. - To bardzo miło z twojej strony, ale myślę, że byłoby bardzo niemądre, gdybym zostawiła twoją żonę samą - odparła sztywno. - Na pewno doceni, że bardziej doświadczona osoba pomoże jej pełnić obowiązki gospodyni. Przecież nawet nie miała okazji sprawdzić w praktyce tego, czego ją nauczyłam.

- W rzeczy samej. Są też inne korzyści, wynikające z obecności dwóch gospodyń. Na przykład będziesz mogła zostać w domu i zabawiać starsze damy, a Beth uda się z młodszymi na przejażdżkę konną.

- Ja... - Hrabina wdowa wydawała się całkowicie wytrącona z równowagi.

Jonathan poklepał ją po ręce.

- To bardzo miło z twojej strony, mamó, i Beth na pewno doceni dodatkową swobodę, którą dzięki tobie zyska. Ja ją doceniam.

Hrabina wdowa milczała, świadoma, że została wyprowadzona w pole, ale miała w sobie zbyt wiele dumy, by to okazać. Jonathan wstał i się uklonił.

- Muszę cię przeprosić, mamó, ale powinienem napisać kilka listów i załatwić parę niecierpiących zwłoki spraw. - Wyszedł na korytarz, po którym kręcił się kamerdyner. - Goodrite, wyślij wiadomość mojemu zarządcy. Chcę go widzieć tutaj za godzinę.

Nie czekając na potwierdzenie, ruszył po schodach. Sprawa do omówienia z zarządcą była pilna, najpierw jednak musiał zająć się czym innym.

Nie zastał żony w saloniku. Zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami jej sypialni. Wiedział, że Beth jest na tyle bystra, by zrozumieć znaczenie ukryte w słowach teściowej, i obawiał się, że zostanie żoną we łzach. Pchnął drzwi i rozejrzał się po pokoju. Beth leżała na łóżku, w pełnym stroju, ale z zamkniętymi oczami. Hetty Martin siedziała obok, przykładając jej do czoła nasączoną szmatkę. Jonathan rozpoznał charakterystyczny zapach wody lawendowej. Oznaczało to, że Beth ma migrenę po nieprzyjemnej konfrontacji na dole.

Najwyraźniej służąca wyczuła jego obecność, gdyż obejrzała się przez ramię i zmarszczyła brwi, a potem ośmieliła się przyłożyć palec do ust i zamachać ręką, by Jonathan wyszedł. W pierwszym odruchu zamierzał zrugać ją za tę bezczelność, ale jedno spojrzenie na twarz Beth sprawiło, że się pohamował. Skoro teraz spała, powinien pozwolić jej odpocząć. Doszedł do wniosku, że udzieli pokojówce reprimendy bez budzenia żony, wycofał się zatem do saloniku; aby tam zaczekać.

Kilka minut później z sypialni wyłoniła się Hetty i cicho zamknęła za sobą drzwi. Dopiero wtedy przypomniało się jej, że powinna dygnąć.

- Jaśnie pani śpi, panie hrabio - powiedziała.

- Zauważyłem.

- Jaśnie panią boli głowa i cierpi na mdłości, ale nie chce, żeby nikt o tym wiedział.

Kazała mi obiecać, że nic jaśnie panu nie powiem.

- Czyli gdybym nie zajrzał do sypialni, nie powiadomiłabyś mnie o niedyspozycji żony?

- Nie, panie hrabio. Nie mogłabym zdradzić mojej pani. Bardzo przepraszam.

Hetty Martin jest bardzo młoda, ale niewątpliwie wyjątkowo oddana Beth, uznał Jonathan. Taka postawa była cenniejsza niż doświadczenie oraz wiedza o pomadkach i

olejkach. Wątpił, by którakolwiek z wykwalifikowanych pokojówek, towarzyszących gościom matki, odznaczała się choćby cząstką lojalności Hetty.

- Nie musisz mnie przeproszać - powiedział. - Jako osobista pokojówka hrabiny tylko jej powinnaś słuchać.

Hetty znów dygnęła.

- Przykro mi, że moja żona znów źle się czuje - dodał. - Tym razem chyba wiem, co jest tego przyczyną. Jeśli w przyszłości będzie niedomagala lub ogarną ją lęki, chciałbym, żebyś dała mi znać. Czy zrobisz to dla mnie?

Pokojówka wbiła wzrok w podłogę i bez słowa pokręciła głową.

- Jak to?! Jeśli moja żona będzie potrzebowała pomocy, któż zapewni jej lepsze wsparcie niż ja?

- Nie mogłabym zdradzić zaufania mojej pani - wyszeptała Hetty. - Nawet dla jaśnie pana. Dla nikogo. - Nie odrywała wzroku od podłogi, niczym skazaniec, czekający na wyrok.

Nic dziwnego, że Beth wolała stawić czoło teściowej, niż pozbyć się takiej pokojówki, doszedł do wniosku Jonathan. Ta dziewczyna to najprawdziwsza perła.

- Nie proszę cię, byś zdradziła swoją panią, Hetty - zaczął łagodnie. - Chodzi o to, byś posłużyła się zdrowym rozsądkiem. Jeśli hrabina będzie potrzebowała pomocy lub przyjaciela, to zachęć ją, by przyszła do mnie lub przyjdź do mnie sama.

Hetty popatrzyła na niego ze zdumieniem. Przez chwilę rozważała jego słowa i w końcu pokiwała głową.

- Niezależnie od wszystkiego, dziękuję ci za wierną służbę hrabinie.

Po tych słowach skinął głową na pożegnanie i udał się do własnej sypialni.

- Czy mogę coś zrobić dla jaśnie pana? - Vernon, pokojowiec, niemal bezszelestnie wśliznął się do pomieszczenia.

- Nie będę cię potrzebował do czasu pory przebrania się do kolacji - odparł hrabia.

Patrzył na lokaja dopóty, dopóki ten nie uklonił się i nie wycofał do garderoby. Wtedy Jonathan usiadł przy niewielkim biurku pod oknem, żeby skorzystać z dziennego światła. W ciągu najbliższych kilku dni przekona się, czy jego plan wypali. Wszystko zależało od odpowiedzi na list. Wyciągnął kartkę z papeterii i zanurzył pióro w kałama-

rze. Już po kilku minutach pismo było gotowe i zalakowane. Pomyślał, że oddanie dobrego sługi jest więcej warte niż klejnoty. To, co teraz zrobił, miało udowodnić, czy i on na nie zasłużył.

Wzruszył ramionami, wstał i zszedł na parter, gdzie rzucił list na srebrną tacę w holu. Teraz pozostało mu jedynie uzbroić się w cierpliwość w oczekiwaniu na odpowiedź. Skierował się do biblioteki. Zapewne zarządca już czeka na nowe polecenia.

Beth przebudziła się bardzo wcześnie. Leżała nieruchomo, wpatrzona w jedwabny baldachim. Była sama. Ostatnio Jonathan pytał ją, czy nie chciałaby spać sama. Oczywiście, że nie chciała! Pragnęła spędzać w jego ramionach całą noc, lecz nie mogła mu tego wyznać. Pozostawało jej zachęcać go do przychodzenia do niej choćby na godzinę.

Niepotrzebnie przejęła się złośliwymi uwagami teściowej. Migrena dopadła ją na własne życzenie. Należało pogodzić się z faktem, że hrabina wdowa ani jej nie lubi, ani nie ufa. Najważniejsze było to, że pozycja teściowej osłabnie, kiedy Beth się tutaj zdomowi. Najwyraźniej trzeba przyspieszyć ten proces. Hrabina Portbury nie powinna okazywać strachu ani uciekać.

Popatrzyła na zamknięte okiennice i pomyślała, że pewnie zbliża się świt. Wydawało się jej, że słyszy krzątającą się służbę. O tej porze roku personel nie czekał z rozpoczęciem prac do wschodu słońca, zwłaszcza że wkrótce mieli pojawić się pierwsi goście, zaproszeni na święta. Beth ze zdumieniem przekonała się, że wcale nie jest zdenerwowana na myśl o spotkaniu ze znajomymi męża i już nie przejmuje się koniecznością kontaktowania się z hrabiną wdową. Żyjąc na plebanii, obcowała z różnymi ludźmi, od tych najwyżej postawionych do najpośledniejszych w społecznej hierarchii, a od kilku tygodni nie najgorzej radziła sobie z własnym mężem.

Uśmiechnęła się w ciemności. Coraz lepiej go rozumiała. Publicznie był uosobieniem wyniosłego arystokraty - zdystansowanym, poważnym, skupionym na obowiązkach i niesłychanie uprzejmym. Zachowywał się jak poprzedni hrabia, który nade wszystko cenił sobie obowiązki i rangę. Beth podejrzewała, że nie był on najlepszym ojcem dla Jonathana. Nie wątpiła jednak, że choć wdowa nie darzyła jej sympatią, kocha syna. Choćby dlatego Beth postanowiła cierpliwie znosić zniewagi teściowej. Jonathan poślubił Beth dość nieoczekiwanie, nie przedstawivszy jej nikomu z rodziny. Czy zależało mu

na szybkim ślubie, żeby jego matka nie zdążyła się sprzeciwić związkowi z kobietą bez majątku i bez krewnych?

Jest hrabiną Portbury, Jonathan zaś jej mężem, rozmyślała Beth. Od niej zależy, czy małżeństwo przetrwa. Między innymi musiała nauczyć się zarządzać tym ogromnym domem. Była pewna, że wkrótce opanuje tę sztukę. Podejrzewała, że kiedyś, w poprzednim życiu, radziła sobie ze służbą, gdyż obecnie przychodziło jej to w sposób całkowicie naturalny. Zamierzała wkrótce zademonstrować, jak dużo nauczyła się od teściowej. Gdyby udało się jej zaimponować matce męża, być może pomogłoby to zniwelować istniejące między nimi napięcie. Chciała również, by Jonathan był z niej dumny.

Gdyby tylko zostawał z nią na noc... Gdyby tylko spędzał z nią więcej czasu za dnia...

Niekiedy była pewna, że celowo unikał jej towarzystwa, nie wiedziała tylko dlaczego. Niewątpliwie nie przychodził do jej łóżka wyłącznie po to, by spłodzić potomka. Beth była niewinna przed tamtą niezwykłą nocą w domku we Fratcombe, ale czuła, że namiętność, która ich łączy, jest niezwykła. Jonathan nie kochałby się z kobietą, której by nie szanował. Czuł wzdąlenie do pierwszej żony, Beth zaś cenił i pożądał. Zaśmiała się cicho na wspomnienie ich wspólnych nocy. Za każdym razem było inaczej, a jednak podobnie. Mąż z zapamiętaniem uczył się jej ciała, jakby odkrywał coś magicznego. To niemal wynagradzało jej samotny sen. Niemal, jednak nie do końca.

Musi znaleźć sposób na przekonanie Jonathana, by z nią zostawał. Doszła do wniosku, że jeżeli będzie się z nim drażnić na ich własny, poufaly sposób, który tylko oni rozumieli, być może w końcu mąż ulegnie. Była ciekawa, czy hrabina wdowa zauważyła reakcję syna, gdy Beth figlarnie zapytała o domek w Portbury. Takie publiczne żarty, nawet subtelne, sprawiały, że czuła się jego żoną przez cały czas, a nie tylko w sypialni.

Plan był dobry i postanowiła się go trzymać. Obawiała się nieco nagany, gdy już zostaną sami, ale Jonathan był zbyt przejęty jej bliskością, aby pamiętać o reprimendzie. A Beth kochała go do szaleństwa. Gdyby tylko on również mógł ją pokochać... Przestań, nakazała sobie w duchu. Jonathan jej nie kocha. Może nigdy nie kochał żadnej kobiety, może nie był do tego zdolny? Wiedziała jednak, że jest do niej przywiązany, i czuła, że to musi jej wystarczyć. Marzyła o tym, że zobaczy miłość na twarzy Jonathana,

gdy poda mu do potrzymania ich nowo narodzonego syna. Tymczasem pragnęła zrobić wszystko, aby udowodnić, że ma pełne prawo zajmować miejsce u jego boku. Niech teściowa mówi sobie, co chce, Beth zamierzała pokazać, że jest hrabiną z prawdziwego zdarzenia.

Rozdział czternasty

Elegancki powóz toczył się podjazdem w stronę domu. Beth odruchowo cofnęła się od okna w saloniku, choć była pewna, że pasażerowie jej nie widzą. Nie wiedziała, kim są, lecz nie mogła zejść na parter, by się tego dowiedzieć. W tej kwestii polecenia hrabiny wdowy były całkowicie jasne - najpierw służba powinna wskazać gościom przeznaczone dla nich pokoje, by odświeżyli się i przebrali, zanim zejdą przywitać się z gospodynią. Przysunęła się bliżej do okna, chcąc zerknąć na podjazd i przyjrzeć się osobom wysiadającym z powozu. Musiała stanąć na czubkach palców ; i wyciągnąć szyję, aby choć trochę widzieć to, co się działo na dole.

Gdy tak patrzyła, poczuła na szyi ciepły oddech. Napięte mięśnie natychmiast się rozluźniły.

- Witam, moja droga - powiedział cicho Jonathan, stając tuż za nią.

Beth odetchnęła głęboko, mówiąc sobie w duchu, że mąż, w przeciwieństwie do niej, nie jest podekscytowany. Poza sypialnią był dystyngowany i traktował ją z irytującym dystansem.

- Dzień dobry - powitała go z miłym uśmiechem.

- Nie słyszałam, jak wchodzisz. Podobała ci się przejażdżka?

Jonathan cofnął się o krok.

- Ja... - W jego oczach czaił się niesforny błysk, którego Beth nigdy dotąd nie widziała. - Tak, było znakomicie, dziękuję. Pogoda jest wspaniała jak na tę porę roku. W istocie, mogłabyś sama... - Urwał.

Czyżby zamierzał poprosić, by Beth pojechała razem z nim? Serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej. Nagle z holu dobiegł ich hałas.

- Przybyli twoi pierwsi goście, moja droga - oznajmił Jonathan neutralnym i rzeczowym tonem, jakim posługiwał się w miejscach publicznych.

Z powozu wysiadł niski, okrągły dżentelmen, a następnie podał dłoń niższej od siebie, pulchnej damie. Ruszyli do wejścia, nie czekając na trzeciego pasażera, którym okazała się młoda dziewczyna. Była wysoka, ale brakowało jej gracji, wydawała się wręcz niezręczna.

- To sir James Rothbury wraz z żoną, a także panna Rothbury - wyjaśnił Jonathan.

- Mają tylko jedną córkę?

- Tak, a poza tym trochę nieokrzesanego syna. Nie przyjął zaproszenia. Muszę przyznać, że to mnie ucieszyło. I tak musimy poradzić sobie z córką, która, o ile mi wiadomo, nie jest szczególnie lotna.

Beth omal nie zachichotała. Coś podobnego! Mąż swobodnie wyrażał swoje opinie, i to w świetle dziennym. Czy można to uznać za postęp?

- Patrz! - Wskazał na podjazd. W oddali zauważyła następny powóz. - Przynajmniej nie będziemy musieli podejmować wyłącznie Rothburych. To byłaby naprawdę ciężka próba charakteru. Są... - Odkaslnął. - Cóż, skoro mam ci pomóc ich powitać, najpierw muszę się przebrać. - Lekko skłonił głowę. - Wybacz, wkrótce do ciebie dołączę.

Poszedł do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi. Pora na zwierzenia najwyraźniej minęła. Beth wahała się przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna zaczekać na Jonathana. W końcu doszła do wniosku, że najlepiej będzie zejść na parter i w salonie przygotować się na powitanie pierwszych gości. Było możliwe, że Rothbury'owie bardzo szybko się przebiorą, a nie wypadało przecież, by nie zastali gospodyni.

Wróciła do sypialni, żeby sprawdzić w lustrze, jak się prezentuje. Doszła do wniosku, że wygląda bardzo dobrze w eleganckiej, porannej sukni z jedwabiu. Mąż nie skomentował jej stroju, jednak wiedziała, że do twarzy jej w skromnych fasonach. Chwyciła kolorowy szal i zeszła po schodach do holu.

Nie mogła wybrać gorszego momentu. Zjawiała się w chwili, gdy do domu wchodzili kolejni goście. Zastanawiała się, jak to możliwe, że udało im się zjawić tak szybko. Czyżby przegalopowali przez podjazd? Stała nieruchomo, gorączkowo zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji.

- Moja służąca pokieruje rozładunkiem bagażu i... och! - rozległ się damski głos. Gdy kamerdyner się przesunął, raczej przysadzista dama dostrzegła Beth u stóp schodów. Nowo przybyła uniosła głowę, zmrużyła oczy i niemal niezauważalnie dygnęła. - Hrabina Portbury, jak mniemam?

Beth odpowiedziała dygnięciem. Uśmiechnęła się uprzejmie, w końcu ta niezbyt sympatyczna dama jest jej gościem.

- Witam w Portbury Abbey - powiedziała. - Nie będę pani zatrzymywać, z pewnością pragnie pani odpocząć po podróży. Goodrite zaprowadzi panią do jej pokoju.

- Dziękuję. Będziemy... - Dama zmarszczyła brwi i wydeła usta. - To dziwne... Proszę mi wybaczyć, ale czy my się przypadkiem nie spotkałyśmy? Wydaje się pani znajoma.

Beth robiła, co mogła, żeby zachować zimną krew. Czy rzeczywiście ta kobieta знаła ją w przeszłości? A jeśli tak, to co wiedziała? Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Myślę, że nie, droga pani - odparła. - Nie byłabym tak nieuprzejma, by zapomnieć o naszym spotkaniu.

- Oczywiście, że nie. Proszę wybaczyć. Widocznie myślałam o kimś innym. Pozwolę sobie odejść, szanowna pani.

Dama pośpieszyła ku schodom, Goodrite zaś odwrócił się do jednego z lokajów.

- Proszę zanieść walizy lady Berncastle do żółtej sypialni - powiedział głośno, żeby Beth wyraźnie usłyszała nazwisko damy.

Berncastle. Niezwykle nazwisko, ale nie brzmi znajomo, uznała Beth i przeszła do salonu, starając się za wszelką cenę nie wyglądać tak, jakby rejterowała. Co ta kobieta mogła wiedzieć? Prawdopodobnie nic, gdyż gdzie Beth poznałaby bogatą damę z towarzystwa? Przed przybyciem do Fratcombe niewątpliwie była biedna, a biedne kobiety nie mogły się zadawać z kobietami pokroju lady Berncastle.

Zastanawiała się, czy powinna uprzedzić męża. Ostatecznie doszła do wniosku, że nic nie powie. Nawet jeśli lady Berncastle będzie żywiła podejrzenia w stosunku do Beth, to nie zawstydzi gospodyni dwuznacznymi aluzjami. Obrza zakończyłaby się szybkim wyjazdem gościa, być może nawet skandalem. Beth postanowiła zapomnieć o tym incydencie i przez resztę dnia skupić się na witaniu gości.

- Panienko Beth! Znaczy się, jaśnie pani! Ale mam nowinę! - zawołała podekscytowana Hetty następnego ranka.

Postawiła dzban z gorącą wodą przy umywalce i z ożywioną miną uśmiechnęła się do swojej pani. Beth zmarszczyła brwi.

- Masz na myśli nowinę czy plotki? Wiesz, że nie wolno ci plotkować.

- To nowina, jaśnie pani. - Zanim Beth zdążyła cokolwiek dodać, Hetty wykrzyknęła: - Jego lordowska mość zwolnił pana Vernona!

Beth nie miała pojęcia, cóż tak niezwyklego jest w odejściu pokojowca Jonathana. Teraz, gdy przybyli niemal wszyscy goście, Hetty powinna się zająć ważniejszymi sprawami niż odejście lokaja.

- To nie jest ta nowina, jaśnie pani - ciągnęła Hetty. - Pan hrabia posłał po swojego adiutanta z wojska, żeby zajął miejsce Vernona. Podobno jaśnie panią, znaczy się mamę jaśnie pana, to szlag trafił.

- To już są na pewno plotki - oznajmiła surowo Beth, uznała jednak, że tym razem pogłoski prawdopodobnie nie mijają się z prawdą.

Beth wiedziała, że od powrotu syna z Hiszpanii hrabina wdowa nalegała, by zatrudnił on wyśmienitego pokojowca. Jonathan zapewne zgodził się z jej opinią, gdyż zwolnił adiutanta i zatrudnił Vernona. Teraz jednak najwyraźniej zmienił zdanie. Tylko co to może oznaczać? Służący bez wątplenia wiedzieli, lecz Beth nie wypadało wypytywać o to Hetty. Postanowiła, że zaryzykuje i porozmawia o tym z Jonathanem. Przecież są małżeństwem, a on poprosił Beth, by zarządzała jego domem. Powinien był jej powiedzieć, że zmienił pokojowca.

Nadal było bardzo wcześnie i Beth doszła do wniosku, że zastanie męża w bibliotece, zatopionego w pracy. Później, po śniadaniu dla gości, miał podejmować nowo przybyłych dżentelmenów, teraz jednak prawdopodobnie przebywał sam. Uznała, że narzuci coś na siebie, a następnie zejdzie do biblioteki i wypyta go o szczegóły sprawy.

Mizerne poranne słońce z trudem oświetlało bibliotekę. Gdyby biurko nie stało tak blisko okna, zapewne hrabia potrzebowałby świec do pracy. Na szczęście przyszło niewiele korespondencji - być może kiepska pogoda w ostatnich dwóch dniach opóźniła pocztę. Drzwi się otworzyły i stanął w nich kamerdyner.

- Przybyła panna Mountjoy i prosi o przywilej spotkania z panem hrabią - oznajmił. - Czekaj w żółtym salonie.

O tej porze? Jonathan nawet nie odłożył pióra.

- Niech czeka - odparł. - Za kwadrans możesz ją poprosić.

Uniósł wzrok i ujrzał wyraz zdumienia na twarzy kamerdynera. W jego ocenie hrabia Portbury nie powinien tak traktować damy, Jonathan jednak nie uważał panny Mountjoy za damę. Zabrał się do spisывania poleceń dla zarządcy we Fratcombe. Pozostało jeszcze sporo do zrobienia, żeby naprawić szkody wyrządzone przez George'a.

Po kilku minutach Jonathan osuszył papier piaskiem, złożył list i spojrzął na zegar. Kilka sekund później otworzyły się drzwi.

- Panna Mountjoy - zaanonsował kamerdyner.

Hrabia wstał, lecz nie powitał gościa, tylko podał list Goodrite'owi.

- Dopilnuj, żeby to niezwłocznie wysłano do mojego zarządcy we Fratcombe - polecił. - To wszystko.

Gdy drzwi za kamerdynerem się zamknęły, Jonathan odwrócił się do panny Mountjoy i ukłonił się jej zdawkowo.

- Chciała pani o czymś porozmawiać? - spytał, wskazując jej krzesło naprzeciwko biurka.

Przybyła dygnęła, po czym usiadła. Hrabia odchylił się na krześle, złączył palce i popatrzył na nią z neutralnym wyrazem twarzy.

- Jak rozumiem, w tych okolicznościach pan hrabia mnie oczekiwał - oznajmiła.

Jonathan nie odpowiedział.

- Przybyłam, by poinformować pana hrabiego, że nie dam się wykorzystywać w tak okropny sposób - ciągnęła panna Mountjoy.

- Okropny?

- Zgodnie z życzeniem Alicji po jej śmierci ustanowił pan moją roczną pensję i wynajął mi domek. Porozumienie miało obowiązywać po wsze czasy, a jednak pan hrabia postanowił od niego odstąpić.

Jonathan położył dłonie na blacie.

- Nie odstąpiłem od umowy - powiedział spokojnie. - Pani pensja pozostaje bez zmian. Sprawa domku okazała się jednak pomyłką, o której mnie nie powiadomiono. Czynnosc powinien wynosić więcej, niż pani płaci, dlatego mój zarządca poinformował panią, że od następnego kwartału opłata wzrośnie.

- Do wysokości, na którą mnie nie stać! - wykrzyknęła wzburzona panna Mountjoy.

- To, szanowna pani, nie jest moim zmartwieniem. Ma pani roczny dochód, a zresztą zawsze może się pani przenieść w tańsze miejsce.

- Pan hrabia dopilnował, aby takiego tu zabrakło. Oboje dobrze wiemy, że chce mnie pan zmusić do opuszczenia okolicy.

- Skoro pani wie, to po co przyszła?

- Aby poinformować pana, że nie zamierzam wyjeżdżać z King's Portbury ani też wyprowadzać się z domku, który wynajmuję od pana hrabiego. Jeśli spróbuje pan wyrzucić mnie siłą, to będę walczyła, a jak pan hrabia zapewne wie, nie brak mi amunicji.

Na twarzy Jonathana pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Doprawdy? Może mnie pani oświeci?

- Nie powstrzymam eksmisji, ale dopilnuję, by pańska reputacja legła w gruzach, a nazwisko zostało pohańbione. Jeśli pan hrabia poczyni jakieś kroki przeciwko mnie, to obwieszczę całemu światu o preferencjach pańskiej pierwszej żony i o tym, dlaczego hrabia Portbury nie był zdolny spłodzić potomka.

- Będą to doprawdy fascynujące plotki, droga pani, zwłaszcza biorąc pod uwagę pani rolę w całej sprawie. Była pani kochanką mojej zmarłej żony, wyobrażam sobie zatem, że pani reputacja ucierpi na równi z moją. Naprawdę uważa pani, że po takim skandalu będzie gdziekolwiek mile widziana?

- Chętnie zapłacę tę cenę za zwycięstwo. Będę mogła wyjechać z tej okolicy później, może nawet zmienię nazwisko. Gdy świat dowie się, że Alicia wołała mnie od pana, plotkom nie będzie końca.

- Proszę opowiedzieć mi o tej ewentualnej ucieczce. Jeśli przeniesie się pani w inne okolice, to właściwie z czego zamierza się pani, utrzymywać?

Panna Mountjoy po raz pierwszy uśmiechnęła się z nieskrywaną pewnością siebie.

- W przeciwieństwie do czynszu za dom, pan hrabia nie może zmienić wysokości rocznej pensji. Jest ona podarunkiem od Alicii, dowodem jej uczuć do mnie. Pan jedynie wypełnia jej ostatnią wolę. Cieszy mnie, że nawet gdy zrujnuję pańską reputację, będzie pan zobowiązany mnie utrzymywać.

- Ach, rozumiem. Sądzi pani, że pensja zapewnia pani całkowitą bezkarność. - Jonathan wstał z krzesła, po czym podszedł do okna i popatrzył na ogród. - Powinna pani uważniej czytać dokumenty prawne. Gdyby pani to zrobiła, zapewne zwróciłaby uwagę na warunek, który dołączyłem do umowy. Jeśli beneficjentka utraci dobre imię, czy to z powodu skazującego wyroku kryminalnego, czy z innej przyczyny, jej prawo do pensji wygaśnie. Mógłbym się założyć o sporą sumę, że kobieta, która przyzna się do obscenicznego związku ze zmarłą hrabiną Portbury, narazi reputację na szwank i definitywnie utraci dobre imię. A może przekonamy się o tym w praktyce?

Panna Mountjoy z całej siły zacisnęła dłonie na poręczach krzesła. Jej twarz i szyja zrobiły się popielate. W jednej chwili przeobraziła się z eleganckiej kobiety w rozwścieczoną wiedźmę.

- Ty diable! - wysyczała rozjuszona. - Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle!

- Jeśli ja jestem diabłem, to pani... - Jonathan pokręcił głową. - Nie będziemy o tym rozmawiać. Cóż więc pani proponuje?

- A jaki mam wybór?

- Żadnego.

- Chce pan, bym opuściła King's Portbury?

- Owszem - przytaknął.

- Zatem zgoda, wyjadę. Zniknę stąd przed końcem kwartału.

- To bardzo rozsądne rozwiązanie. A ta druga sprawa?

Panna Mountjoy wyglądała tak, jakby zapadła się w sobie.

- Nic nie powiem. Nie pozostawił mi pan wyboru.

- W rzeczy samej, droga pani. Dodam jednak, że jeżeli w jakimkolwiek miejscu w kraju pojawią się plotki na temat prowadzenia się mojej zmarłej żony, wypłacanie pensji pannie Louisie Mountjoy, gdziekolwiek ona zamieszka i jakkolwiek się będzie nazywała, natychmiast zostanie wstrzymane. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak - odparła zdławionym głosem. - Nie będzie żadnych plotek. Dłużej nie zamierzam pana kłopotać.

Już miał pociągnąć za dzwonek, ale się zawahał. Pierwsze małżeństwo okazało się katastrofą przede wszystkim ze względu na związek Louisy Mountjoy z jego żoną, jednak nie mógł obnosić się ze zwycięstwem przed służbą.

- Jest pani roztrzęsiona, co rozumiałe. - Nic nie zdołał poradzić na to, że w jego głosie słychać było chłód. Ta kobieta z rozkoszą zrujnowałaby mu życie, gdyby tylko mogła to zrobić. - Zostawię panią tutaj, by odzyskała pani równowagę. Kamerdyner wróci za kwadrans. Żegnam panią z nadzieją, że to nasze ostatnie spotkanie.

Skinął jej głową, po czym otworzył drzwi i wyszedł. Na korytarzu omal nie zderzył się z żoną.

- Beth! - wykrzyknął. - Nie oczekiwałem cię tak wcześnie.

Wyglądała wprost uroczo w obszytej falbankami sukni w odcieniu bladego różu. Był to jeden z kosztownych strojów, do których kupna Jonathan zachęcił ją w Londynie.

Beth dygnęła.

- Witam, zastanawiam się, czy moglibyśmy zamienić słowo.

W jej głosie pobrzmiwała nuta determinacji. Wczoraj wieczorem w swojej sypialni Beth była uległa i delikatna, teraz jednak wyglądała jak surowa, młoda matrona.

- Możemy udać się do biblioteki i porozmawiać na osobności? - dodała.

- Nie - odparł natychmiast. - Do biblioteki na pewno nie, nie jest... Chciałem powiedzieć, że obecnie przebywa tam panna Mountjoy.

Beth zauważalnie zbladła.

- Rozmawialiśmy o... interesach - dodał hrabia. - Kiedy tylko poczuje się lepiej, opuści bibliotekę.

Nie szły mu te wyjaśnienia, plątał się i nie bardzo wiedział dlaczego. Nie chciał czuć się winny z powodu wymiany zdań z panną Mountjoy. Zasłużyła na wszystko, co jej powiedział, a nawet na więcej. Uśmiechnął się do żony i podał jej ramię.

- W bibliotece jest dziś ponuro - oznajmił. - Zostawmy ją pannie Mountjoy i porozmawiajmy w oranżerii. Tam nie zabraknie nam światła. Pozwolisz, moja droga?

Beth trzymała się nieco na dystans, choć nie cofnęła ręki. Nie mogła się uspokoić. Jonathan przebywał w bibliotece sam na sam z Louisa Mountjoy, i to o poranku! Na liść boską, co tam robił? Po czym panna Mountjoy miała dość do siebie? Obrazy, które stały przed oczami Beth, nie były przyjemne.

Choć nie miała powodu zakładać, że mąż i ta okropna Mountjoy są kochankami, nie mogła wyzbyć się podejrzeń, że niegdyś nimi byli. Czyżby przybyła dziś do niego na umówione spotkanie przed przebudzeniem się gości oraz żony? Beth uważała, że panna Mountjoy jest zdolna do wszystkiego, nawet do uwiedzenia żonatego mężczyzny.

W milczeniu przeszli do oranżerii. Musiała przyznać mężowi rację. W porównaniu z resztą domu było tu niezwykle jasno i ciepło, liczne rośliny wprowadzały miłą atmosferę. Jonathan odsunął kilka zwisających gałęzi i zaprowadził Beth do tej części pomieszczenia, gdzie nikt nie mógł im przeszkodzić. Stała tam pomalowana na biało ławeczka, ale nie poprosił żony, żeby usiadła, tylko przystanął i na nią patrzył.

Teraz, gdy byli sami i nadszedł czas na rozmowę, Beth poczuła, że odwaga ją opuszcza. Jak śmiała sobie wyobrażać, że stawi mu czoło? Usiłowała sklecić zdanie, ale słowa jej umykały.

- Chciałaś porozmawiać na osobności? - zapytał łagodniej, niż się spodziewała.

Czyżby czuł się winny z powodu schadzki z panną Mountjoy? Myśl o tej nieznośnej kobiecie w objęciach męża sprawiła, że Beth poczuła przypływ odwagi.

- Rozumiem, że najależ nowego pokojowca - wyjaśniła pośpiesznie. - Jako pani na twoich włościach wolałabym dowiadywać się o takich posunięciach od męża, nie zaś od służby.

- O mój Boże! Najpierw moja matka, teraz żona. Od kiedy potrzeba mi zgody kobiet, żebym mógł zatrudnić innego pokojowca?

Był zły, Beth jednak знаła go na tyle dobrze, by podejrzewać, że ten pokaz temperamentu częściowo ma na celu ukrycie zakłopotania.

- Mogę wiedzieć, skąd ta nagła zmiana? - Popatrzyła na niego niewinnie.

To przyniosło natychmiastowy skutek. Jonathan odetchnął głęboko, a kiedy odezwał się ponownie, jego głos nie brzmiał już gniewnie, lecz tak, jakby wyjaśniał coś głupiemu dziecku i z całych sił starał się zachować cierpliwość.

- Usługi Vernona nie są mi już dłużej potrzebne - oznajmił. - Tak wytrawny pokojowiec powinien służyć kawalerowi, komuś, kto chce robić wrażenie w towarzystwie. Wszystko to się sprawdzało tuż po moim powrocie z Hiszpanii, jednak sytuacja uległa zmianie.

Sięgnął po jej dłoń i ją ucałował.

Czy to miały być przeprosiny? - Beth zadała sobie w duchu pytanie.

- Teraz, gdy jestem żonaty, pragnę spędzać więcej czasu na wsi - mówił niemal pogodnie. - Mam tutaj mnóstwo roboty, w sąsiednich posiadłościach również. Ziemianin nie potrzebuje pokojowca pokroju Vernona. Joseph bardziej mi się przyda, nawet kiedy będę w mieście.

- Mówisz na niego Joseph? - zapytała z niedowierzaniem Beth.

Była szczerze zdumiona. Czyżby jej męża łączyły z nieznanym Josephem tak bliskie relacje jak ją z Hetty?

- Spędziliśmy sporo czasu na Półwyspie Iberyjskim. Tak się złożyło, że wszyscy tam mówili do siebie po imieniu, więc do tego przywykłem. Wiem, że to niezbyt właściwe, ale... Cóż, zobaczymy, co będzie, kiedy Joseph się pojawi.

Widział, że Beth jest zaintrygowana zmianą i chce dowiedzieć się nieco więcej o relacji męża z Josephem. Ciekawe, co by pomyślała na wieść o tym, że zrobił to właśnie dla niej. Matka przyjęła odprawę Vernona jak osobistą zniewagę, plan jednak sprawdził się doskonale, gdyż hrabina wdowa skierowała ostrze krytyki na syna, nie na synową. Niechęć do pokojówki Beth została zapomniana, gdyż najważniejsza stała się konstatacja, że hrabia z rozmysłem odrzucił zaszczerpane mu zasady.

Uśmiechnął się do siebie dyskretnie. Obiecywał przecież matce, że poradzi sobie z tą sytuacją, i tak się właśnie stało. W tej samej chwili uświadomił sobie, że nadal trzyma żonę za rękę. Natychmiast cofnął dłoń.

Beth wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

- Czy panna Mountjoy niedomaga? - zapytała lodowatym tonem. - Może powinienam zaoferować jej pomoc?

- Jestem pewien, że zdążyła odzyskać równowagę i - powiedział prawdę, lecz to nie wystarczy, aby Beth poczuła się lepiej. Wiedział, że musi dodać coś jeszcze: - Wątpię, by z wdzięcznością przyjęła pomoc kóregokolwiek z nas.

Beth uniosła brwi. Najwyraźniej mu nie dowierzała.

- Nie zamierzam dręczyć tej damy - podkreślił. - Była przyjaciółką Alicii i darzyły się... hm... szczególnymi względami. Mimo to uważam nieustanną obecność panny Mountjoy w tym domu za przesadę.

Beth szybko odwróciła wzrok. Pomyślał, że to dziwne, i zaczął się zastanawiać, czy żona przypadkiem nie darzy sympatią panny Mountjoy. Dotąd tego nie dostrzegali, zważywszy jednak na to, co łączyło pannę Mountjoy i Alicję, wolał nie dopuszczać do interakcji między drugą żoną a kochanką pierwszej.

- Panna Mountjoy opuści King's Portbury przed końcem kwartału - wyjaśnił. - Uznała, że okolica już jej nie odpowiada.

Uprzytomnił sobie, że niechcący się odsłonił - zdradziła go niechęć w głosie. Może jednak się pomylił? Beth nie wydawała się już spięta, a na jej ustach pojawił się uśmiech. To było zbyt kuszące, zwłaszcza tutaj, gdzie nikt ich nie widział. Jonathan wziął ją w ramiona i mocno pocałował. Zamarła, ale tylko na chwilę, po czym rozplynęła się w jego objęciach i z pasją odwzajemniła pocałunek. To już nie była ta niewinna nimfa z domku we Fratcombe. Zastąpiła ją wytrawna uwodzicielka. Wiedział, że musi przerwać pocałunek, lecz nie mógł się na to zdobyć. Nagle Beth jęknęła i zaczęła rozpinąć guziki jego spodni. Jonathan uświadomił sobie, że za moment nie będzie odwrotu.

- Nie...

Nie rozpoznał własnego głosu, gdy się od niej odsuwał. Od dnia ślubu powtarzał sobie, że musi trzymać się na dystans. Bliskość sprawiała, że mężczyzna stawał się bezbronny i słaby. Beth zarumieniła się; palce, którymi przed chwilą próbowała go rozebrać, wykręcała z zakłopotaniem.

- Usiądź, moja droga - powiedział Jonathan najłagodniej, jak potrafił.

Niepewnie podeszła do ławeczki, zajęła miejsce, po czym popatrzyła na niego wyczekująco, jakby liczyła na to, że do niej dołączy.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Będzie lepiej, jak postoję - oświadczył, starając się mówić neutralnym głosem. Uznał, że skupi się na praktycznych sprawach, a przez resztę dnia będzie unikał Beth. - Wszyscy goście już przybyli... - zaczął, ale urwał, kiedy pokręciła głową. - Wybacz, myślałem, że...

- Pastorstwo przyjadą dopiero za parę dni. Nie pamiętasz? - Pastor Aubrey chciał być pewien, że wikariusz nie będzie musiał zbyt długo zastępować go w gorączkowym okresie przedświątecznym.

Hrabia zapomniał o pastorstwie, co było raczej niezwykle, gdyż wiele im zawdzięczał. Najwyraźniej do tego stopnia skupił się na żonie, że wszystko inne przestało dla niego istnieć. Odetchnął głęboko.

- Teraz, kiedy niemal wszyscy goście przybyli, możemy skierować służbę do dekorowania pomieszczeń - zasugerował. - Świąteczny ogień rozpalimy dopiero w Wigilię, rzecz jasna, ale porozwieszamy jemiolę ku uciechu młodszych osób.

Beth poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Miała świadomość, że mąż coś do niej mówi, ale nie mogła się skupić na jego słowach. Wiedziała, że jeśli jemiola znajdzie się w domu, z pewnością wydarzy się coś okropnego. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale czuła, że tak właśnie będzie. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do wyjścia.

- Beth? Na litość boską, co się stało? Beth!

Za późno, już zdążyła zniknąć. Jonathan usiadł na ławeczce i usiłował zrozumieć, co się wydarzyło. Mówił o świętach, o wigilijnym ogniu w kominku, o jemiole... Wspominał wcześniej, że zamierza unikać jemioly, gdyż ich pocałunki mogłyby stać się zbyt namiętne, tak jak przed chwilą. Gdyby zdarzyło się to na oczach gości, wszyscy czuliby się zakłopotani. Czyżby Beth uciekła dlatego, że odmówił całowania jej publicznie?

Rozdział piętnasty

Ze swojego miejsca pośrodku salonu Beth dyskretnie rozejrzała się, przeliczając gości. Dochodziła szósta i towarzystwo zebrało się na uroczysty obiad. Brakowało jedynie Berncastle'ów. Przez kilka pierwszych wieczorów na posiłki przychodziło niewiele osób i konwersacja była raczej wymuszona, dziś jednak zaproszeni dopisali. Liczyła na to, że dzięki temu przyjęcie będzie udane, tym bardziej że wkrótce należało się spodziewać przybycia pastorostwa.

Robiła, co mogła, żeby nie zerkać na żyrandol i podczepioną do niego gałąź jemioli. Na jemioli rosło mnóstwo perłowych owoców, które wyglądały jak woskowane. Robiło się jej niedobrze na sam ich widok, ogarniało ją też poczucie winy. Dlaczego czuła się tak dziwnie z powodu jemioli? Co to mogło oznaczać? Wzdrygnęła się, zrobiła krok do tyłu i wpadła w męskie objęcia. Od razu wiedziała, że to nie Jonathan, nie musiała nawet odwracać głowy. Dotyk tego mężczyzny wydał jej się odrażający, a w dodatku nieznamy najwyraźniej nie zamierzał wypuścić Beth.

- Pocałunek pod jemiolą, siostrzyczko! - wykrzyknął radośnie, ciągnąc ją pod żyrandol.

Dopiero po tych słowach zorientowała się, że to George, brat męża. Usiłowała wysliznąć się z jego uścisku bez zwracania na siebie uwagi gości, było to jednak niemożliwe. George wydawał się zdeterminowany, by zdobyć to, czego pragnął, i już po chwili jego grube, mokre wargi dotknęły ust Beth. Trzymał ją tak mocno, że nawet nie mogła odsunąć głowy. Próbował wepchnąć język między jej wargi, ale Beth zacisnęła zęby. W końcu obleśny szwagier zniechęcił się i ją puścił.

- Jemiola to znakomity wynalazek - powiedział z lubieżnym uśmiechem. - Dzięki temu mężczyzna ma szansę pokazać zameżnej niewieście, co traci.

- Powinieneś najpierw upewnić się, że kobieta jest chętna, nim oddasz się tego typu rozrywkom. - W progu stał Jonathan, pobladły z wściekłości. Najwyraźniej tym razem postanowił zignorować obecność innych i publicznie skarcić brata.

George jednak ani trochę nie przejął się upomnieniem. Od niechcienia zerwał jedną z białych jagód z jemioli.

- Dużo wilgotnych jagódek, dużo soczystych buziaków dla nas obojga, co? - szepnęła do Beth. - Nie chcę, żebyś je wszystkie oddała mojemu pruderyjnemu braciszкови, moja droga.

Zaszokowana Beth wstrzymała oddech. Ignorując jej reakcję, George odwrócił się do hrabiego.

- Damy zostaną porządnie wycalowane - zauważył. - Dawno nie widziałem jemioly z tyloma jagodami. To zachęta do gwiazdkowych igraszek i zabaw dla nas wszystkich.

Beth przez chwilę liczyła na to, że Jonathan spoliczkuje brata. W pomieszczeniu zapadło pełne zdumienia milczenie, które przerwała panna Rothbury. Weszła pod żyrandol, po czym zabrała się do zrywania jagód i liczenia ich w dłoni.

- Popatrz - odwróciła się do lady Rothbury, która stała przy kominku, lekko rozchyłając usta ze zdumienia - są niczym klejnoty, a ja bardzo lubię klejnoty, prawda?

Lady Rothbury podbiegła do córki i złapała ją za rękę.

- Wystarczy, moja droga - szepnęła. - Jagody należy zrywać po kolei, jedną na każdy całus. Kiedy wszystkie zostaną zerwane, nie będzie całowania pod jemiolą. Taka jest tradycja.

- Nie wolno mi ich zrywać? - Głos panny Rothbury brzmiał niczym głos małego dziecka, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

Beth podeszła do obu dam.

- Jestem pewna, że znajdziemy mnóstwo gałązek jemioly, skoro tak je pani lubi - powiedziała łagodnie. - A może umieścimy jedną z nich w pani sypialni?

Rozanielony uśmiech panny Rothbury wystarczył za odpowiedź. Beth skinęła na kamerdynera, który stał koło drzwi. Wiedziała, że Goodrite się tym zajmie, ona jednak, jako gospodyni, musiała odciągnąć myśli gości od tego, co przed chwilą zaszło, i zająć ich czymś do czasu rozpoczęcia posiłku.

- Panie i panowie, może zastanowimy się, co będziemy robić później? - zapytała. - Mamy święta, pan hrabia - zerknęła na męża - zechce podzielić się z państwem opowieściami o duchach, ja jednak proponowałabym coś bardziej żywiolowego. Może zabawę w żywe obrazy?

Z uczuciem ulgi Beth poprowadziła damy korytarzem do salonu. Uroczysty obiad przebiegł w znakomitej atmosferze, przede wszystkim za sprawą wyśmienitego wina. Kilka starszych pań miało lekkie problemy z utrzymaniem równowagi i Beth domyślała się, że wkrótce przysną w fotelach. Nie miało to znaczenia, młodsze panie mogły bawić się w jednej części pokoju, a starsze drzemać w drugiej.

Zastanawiała się, ile czasu upłynie, nim dołączą do nich dżentelmeni. Liczyła na to, że mimo wszystko nie będą bawić się w żywe obrazy, gdyż pijani panowie bywali trudni podczas takich rozrywek. George wychylał kieliszek za kieliszkiem. Beth miała go serdecznie dosyć już po tamtym pocałunku i z obawą myślała o tym, co mógłby zrobić teraz. Na szczęście, była niemal pewna, że Jonathan dopilnuje brata, a w razie konieczności wyprosi go i nie pozwoli mu wrócić, aż George wytrzeźwieje.

Gdy weszła do salonu, na środku pomieszczenia ujrzała panią Berncastle. Również ta dama sporo wypijała, ale oczywiście nie była pijana. Stała się jednak znacznie bardziej gadatliwa i widać było, że straciła zahamowania. Niektóre z jej uwag sprawiły, że na policzkach Beth wykwitły rumieńce. U boku pani Berncastle chichotała panna Rothbury, wskazując na żyrandol. Beth usiłowała je ignorować, podobnie jak jemiolę, która budziła w niej lęk.

- Jemiola jest śliczna! - piała panna Rothbury. - Te jagódki wyglądają jak najpiękniejsze perły, prawda?

Pani Berncastle przez moment wyglądała tak, jakby trafił ją grom z jasnego nieba.

- Jemiola! Oczywiście, że jemiola! - Obróciła się na pięcie i oskarżycielsko wycelowała palec w Beth. Jej ręka lekko się trzęsła, ale głos był ostry i jadowity. - Wiedziałam, że skądś cię znam! Teraz już wiem! Pod tymi wszystkimi świecidełkami jesteś tylko małą, paskudną złodziejką! Naprawdę nazywasz się Clifford i byłaś dziewczyną do towarzystwa mojej ciotecznej babki, lady Marchmont. Ukradłaś jej cenną biżuterię, klamrę z jemiolą, a potem uciekłaś z hrabstwa, żeby nie trafić do więzienia i na stryczek, na co zasłużyłaś.

Beth stała niczym żona Lota, wpatrzona w oskarżycielski palec. Clifford!

Oczy zasły jej mgłą, poczuła, że pogrąża się w mleczej otchłani, pełnej poczucia winy i bólu. Po chwili mgła się rozwiała, jakby spłukana ulewnym deszczem, i Beth była

w stanie przypomnieć sobie wszystko, każdy moment z poprzedniego życia. Rzeczywiście nosiła nazwisko Clifford. Czuła, że jej ciałem wstrząsają dreszcze. Na chwilę zamknęła oczy, ale kiedy je otworzyła, nic się nie zmieniło. Goście wpatrywali się w nią tak, jakby właśnie wyrosły jej diabelskie rogi.

W drzwiach stał blady jak kreda Jonathan. Na pewno wszystko słyszał. Dowiedział się, że poślubił złodziejkę, i ta świadomość wstrząsnęła nim do głębi. Beth pomyślała, że tak szlachetny człowiek z całą pewnością nie zechce jej dotknąć, i nawet nie miała mu tego za złe. Była wyrzutkiem. Nagły ból głowy stał się tak dojmujący, że niemal zgięła się wpół. Uniosła dół sukni i uciekła z salonu.

Ból głowy nieco ustąpił, lecz Beth i tak nie mogła spać. Opuściła stopy na podłogę i zakradła się do okna. Nadal było ciemno, więc doszła do wniosku, że poczeka jeszcze pół godziny. Przynajmniej nie będzie musiała wyskakiwać z okna, tak jak wtedy, gdy uciekła z domu lady Marchmont. Tym razem klucz znajdował się po wewnętrznej stronie drzwi, a to oznaczało, że jako tako panowała nad sytuacją.

Wróciła do łóżka, sprawdzając po drodze, czy ma wszystko. Przygotowała najskromniejszy i najcieplejszy strój. Porządne buty stały obok łóżka, podobnie jak walizka, w której mieściło się kilka niezbędnych drobiazgów. Musiała się ubrać bez pomocy pokojówki i zniknąć, zanim ktokolwiek w domu się zorientuje, że jej nie ma. Naturalnie, Hetty będzie rozpaczała, i to nie tylko ze względu na utratę posady. Pokojówka robiła, co w jej mocy, by pocieszyć Beth, choć ani w ząb nie rozumiała przyczyny zamieszania. Teraz z pewnością знаła prawdę - wieści o hańbie pani domu niewątpliwie rozeszły się pod schodami niczym pożar.

A Jonathan? Co on myślał?

Wiedziała, że zamknięcie się w sypialni było z jej strony tchórzostwem, podobnie jak odmowa rozmowy.

Jonathan był wstrząśnięty, kiedy się dowiedział, że jego żona jest wyjętą spod prawa złodziejką. Niewątpliwie zgroza zmieniła się w odrazę, a może wręcz w nienawiść. Beth wiedziała, że nie oczyści swojego nazwiska, nie mogła również rozwiązać małżeństwa. Jedyne, co była w stanie ofiarować mężowi, to swoją nieobecność. Miała nadzieję, że któregoś dnia plotki przycichną, a ludzie zapomną o skandalu. Niestety, Jonathan bę-

dzie z nią związany, a dziedzicem zostanie jego młodszy brat. Ale przecież nie wiedziała! Nie wyszłaby za męża, gdyby знаła prawdę o własnej przeszłości. Robiła, co w jej mocy, aby przestrzec Jonathana, on jednak nie chciał jej słuchać. Uważał, że jego pozycja wystarczy, by wszystko się ułożyło.

Ukryła twarz w dłoniach i poczuła chłód obrączki na skórze. Właściwie nie była pewna, dlaczego nadal ma ją na palcu. Postanowiła, że nie weźmie niemal nic z rzeczy, które ofiarował jej Jonathan. Piękne ubrania pozostały w garderobie, a klejnoty w szkatułkach. Przynajmniej nie uzna, że go ograbiła. Wzięła trochę pieniędzy, tylko tyle, by wystarczyło na podróż. Obrączka jednak...

Wczoraj wieczorem zdjęła ją i schowała, ale dziś znów wsunęła na palec. Powtarzała sobie, że skoro chce się podawać za biedną wdowę, będzie potrzebowała obrączki, by udowodnić światu, że tak jest w rzeczywistości - przecież nie mogła wyjawiać prawdy. Raz jeszcze ściągnęła obrączkę z palca i położyła obok listu do męża. Prosiła w nim, by jej nie szukał, choć była pewna, że i tak nie zamierzał. Dlaczego miałby to robić po krzywdzie, którą mu wyrządziła? Na pewno będzie zadowolony z jej zniknięcia. Nie było czasu na pisanie nowego listu, ten był krótki, a i tak zajął jej wiele godzin i wylała nad nim mnóstwo łez. Westchnąwszy, sięgnęła po obrączkę i znów włożyła ją na palec. Nie mogła jej zostawić. Postanowiła, że będzie to jej jedyna pamiątka po ukochanym.

Nadeszła pora, by się ubrać. Wkrótce musiała opuścić posiadłość.

- Mógłbyś przestać krążyć po pokoju? - poprosiła z westchnieniem hrabina wdowa.
- W głowie mi się od tego kręci.

Jonathan usiadł na brzegu szezlongu.

- Przykro mi, mamu, ale muszę z kimś o tym porozmawiać, a nie mam z kim poza tobą - odparł szczerze, choć niezbyt dyplomatycznie. - Beth zamknęła się w sypialni i nie chce nikogo wpuścić. Doprowadza mnie to do szaleństwa. Nie mogę trzeźwo myśleć.

Lady Portbury znowu ciężko westchnęła.

- Beth uciekła, nie powiedziawszy ani słowa w swojej obronie. To wygląda na przyznanie się do winy.

Jonathan przyszedł prosić matkę o wsparcie dla Beth, a nie wysłuchiwać dalszych oskarżeń. Wierzył, a właściwie był pewien, że żona jest niewinna i dobra, jednak nie wiedział, jak jej bronić.

- Mamo, ja...

- Może tak będzie lepiej - przerwała mu wdowa. - Szczerze mówiąc, byłoby ci najlepiej bez niej, gdyby nie dziecko. Mógłbyś...

- Jak to, gdyby nie dziecko?

- Wiem, że twoja żona zaszła w ciążę i tym argumentem przekonała cię do małżeństwa. Zastawiła na ciebie pułapkę. To wyjątkowo niesmaczne, a jeśli jeszcze to nieszczęsne dziecko okaże się dziewczynką...

Jonathan oniemiał, po chwili jednak wybuchnął śmiechem. Hrabina wdowa wyglądała na przemian na oburzoną i obrażoną, lecz to go nie obchodziło. Wreszcie przestał się śmiać i ukrył twarz w dłoniach.

Wyraźnie zaniepokojona, hrabina wdowa delikatnie dotknęła jego ręki.

- Nic nie rozumiem. Zachowujesz się tak, jakbyś był pod wpływem zaklęcia.

Hrabia zerwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju.

- Jonathanie?

Zatrzymał się i odwrócił twarzą do matki.

- Nie mogłabyś bardziej się mylić. Twierdzisz, że Beth jest przy nadziei, że mnie uwiodła i przymusiła do małżeństwa. Co za bzdury! Nie wiesz, do czego musiałem się posunąć, aby przekonać ją do ślubu.

- Nie rozumiem.

- Beth nie zwabiła mnie w pułapkę. Dlaczego coś takiego przyszło ci do głowy? Chyba masz wyjątkowo niskie mniemanie o moim charakterze.

- Przykro mi. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na ciążę. Jej nieustanne zmęczenie, niedyspozycje... Panna Mountjoy była tego całkiem pewna.

Znowu ta przeklęta Mountjoy! Na szczęście już mu nie zagrażała.

- Poza tym świadomy swojej pozycji w wyższych sferach, pośpiesznie poślubiłeś kobietę bez nazwiska i rodziny. Jak miałam to sobie wytłumaczyć, jeśli nie zbliżającymi się narodzinami potomka? - Kiedy syn nie odpowiedział, lady Portbury dodała: - Próbo-

wałam ją polubić, lecz nie potrafiłam przewyciężyć niechęci do niej za to, co ci zrobiła. A ty mi teraz mówisz, że niczego nie zrobiła?

- Właśnie. Gdy się oświadczyłem, odmówiła, i to dwukrotnie - podkreślił. - Gdy wreszcie ją przekonałem, postawiła warunki, które musiałem spełnić. Jeśli w ogóle była jakaś pułapka, to ja ją zastawiłem, nie Beth.

- A więc nie jest w ciąży?

- Z pewnością nie była, kiedy prowadziłem ją do ołtarza - odparł sztywno Jonathan. - Symptomy, o których wspominasz, bardzo ją zawstydzaly. Czowała się winna z powodu tego, że nie pamiętała własnej przeszłości. Czasem ledwie widziała z bólu. Zamknęła się w sypialni, bo dostała migreny, a nie z poczucia winy. Tego jestem pewien. - Patrzył przez chwilę na matkę, po czym odwrócił spojrzenie.

- Jaśnie pani! - Pokojówka wdowy bez pukania wpadła do pomieszczenia, a za nią Hetty. - Panna Martin twierdzi...

Pełen oburzenia okrzyk hrabiny wdowy został zagłuszony wrzaskiem Hetty.

- Zniknęła, jaśnie panie! W ciemnościach! Ona tum umrze!

- Kiedy zniknęła? - wykrzyknął Jonathan. - Dokąd się udała? Mów, co wiesz, Hetty, i to prędko!

Dziewczyna wydawała się przerażona. Jonathan opanował się i powoli zadawał jej pytania. Hetty wyznała, że jej pani najwyraźniej uciekła. Wzięła ze sobą tylko małą walizkę i zostawiła wszystko: ubrania, klejnoty, pieniądze i list.

Odprawił służące, przypominając im surowo o zachowaniu dyskrecji. Nie patrząc na matkę, odwrócił się i rozdarł list. Beth napisała, że zostawia go, by oczyścić plamę na jego honorze, że nigdy nie wróci i Jonathan nie powinien jej szukać. Ani słowa o winie czy jej braku.

Zmiał kartkę i wbił wzrok w okno. Do świtu pozostała mniej więcej godzina, a nawet po jego nastaniu będzie bardzo zimno. Beth tkwiła gdzieś na mrozie. Mogła umrzeć, nie wiedząc, że Jonathan kocha ją z całego serca. Ta świadomość nim wstrząsnęła. Był aroganckim głupcem. Kochał ją niemal od początku, wmówił sobie jednak, że jest dla niego tylko przyjaciółką, miłą towarzyszką i chętną kochanką. Jęknął, czując się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch.

- Jonathanie? - Hrabina wdowa delikatnie dotknęła jego ręki. - Co się dzieje, mój drogi?

- Kocham ją - wyznał wbrew swojej woli.

Zrozumiał, że jeśli nie odnajdzie żony i nie sprowadzi do domu, jego dalsze życie będzie bezwartościowe. Popatrzył na matkę. Miał ochotę strząsnąć jej dłoń, nakrzyczeć na nią za to, jak traktowała synową, ale zboląły wyraz jej twarzy sprawił, że gniew Jonathana zniknął.

- Pojedziesz jej szukać? - zapytała, a kiedy skinął głową, dodała: - Zajmę się gośćmi i wszystkim innym. Najważniejsze, żebyś bezpiecznie sprowadził z powrotem żonę. - Usiłowała uśmiechnąć się krzepiąco.

- Upewnij się, że żaden z gości nie wyjedzie dopóty, dopóki nie wrócę, mamó. Nie wolno dopuścić do skandalu. Jeśli zaś chodzi o to niegodziwe oskarżenie przeciwko Beth, to poradzę sobie z nim po powrocie. Tymczasem nie mów nikomu, że nas nie ma.

Hrabina wdowa skinęła głową.

- Gdybym jeszcze mogła ci udzielić ostatniej rady, zanim wyjedziesz...

Jonathan nie miał ochoty wysłuchiwać rad matki. Jej lodowaty chłód i wrogość sprawiły, że Beth uwierzyła, że nie ma tu żadnych przyjaciół.

- Kiedy ją znajdziesz, powiedz jej, że ją kochasz - powiedziała cicho lady Portbury. - Miłość sprawia, że jest się bezbronnym, ale miłości nie można żądać, można ją tylko zaoferować. Jeśli chcesz zdobyć miłość Beth, to musisz podjąć ryzyko.

Jonathan był zdumiony. Wyniosła hrabina Portbury wierzy w miłość?

- Sprowadź ją do domu, synu. - Jej głos lekko się załamywał. - Kiedy to zrobisz, solennie obiecuję, że powitam ją jak córkę.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia i że musi jak najszybciej wyjechać na poszukiwania.

Było zimno, bardzo zimno.

Beth pochyliła się i brnęła dalej. Tym razem nie siekł jej złodowaciały deszcz, miała na sobie lepsze ubranie i cieplejsze buty. Wiedziała, że nie spotka księcia w lśniącej zbroi, by uratował ją przed ciemnością. Nikt jej nie będzie ratował. Jonathan jest na tyle szlachetny, że pewnie postanowi jej szukać, musiała jednak dopilnować, by jej nie zna-

lazł. Zapewne spodziewał się, że przejdzie osiem mil do Broughton, aby złapać dyliżans na pierwszy etap podróży, i że wróci do Fratcombe.

I tu się właśnie pomyli.

Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, dokąd się udać, ale była pewna, że nie do Fratcombe. Nie mogła żądać od pastorstwa, by udzielili schronienia pospolitej złodziejce, poza tym z pewnością powiadomiliby Jonathana o jej przybyciu. Nie, musiała wyjechać gdzieś, gdzie nikt jej nie znał - może do Bristolu albo nawet do Kornwalii.

Podczas gdy wiatr szarpał jej ubranie, Beth zastanawiała się, czy wystarczy jej śmiałości, by wykonać drugą część planu. Po lewej stronie ciągnęła się długa płaska droga, która mogła ją doprowadzić do Broughton i do przystanku dyliżansów, po prawej zaś znajdowała się dwumilowa ścieżka przez bagna. Gwiazdy świeciły na tyle jasno, by Beth widziała drogę. Tam nikt nie będzie szukał hrabiny.

Mała walizka wydawała się coraz cięższa. Beth przełożyła ją do drugiej ręki i ruszyła przed siebie ścieżką. Z każdym krokiem powietrze wydawało się coraz chłodniejsze, mimo to uparcie parła naprzód. Wiedziała, że potrafi znieść przeciwności losu. Lady Marchmont była niesłychanie bogata, ale jej służba żyła niczym biedacy, mimo że ich chlebobawczyni wręcz spała na pieniądzach i klejnotach - zwłaszcza na klejnotach. Klamra z jemiołą, której grube łodygi i liście misternie wykonano z ciężkiego złota, a jagody z bezcennych pereł, do dnia zaginięcia była dumą starej wiedźmy.

Pokojówka lady Marchmont utrzymywała, że Beth wślizgnęła się do sypialni swojej pani. Mimo braku dowodów, wyłącznie na podstawie słów zazdrosnej służącej, Beth została oskarżona przez lady Marchmont i jej gości, w tym Berncastle'ów, o kradzież. Gdyby nie uciekła z zamkniętego pokoju przez okno, prawdopodobnie skończyłaby w więzieniu albo nawet na szubienicy.

Ścieżka zdawała się ciągnąć w nieskończoność, ale Beth wiedziała, że to zaledwie pierwsze z wyzwania, którym musi stawić czoło. Przynajmniej wiatr nieco ucichł i nie chłostał jej peleryny. Usiłowała uśmiechnąć się na myśl o swojej niewinności i o uczuciu do Jonathana. Robiła to dla niego.

Brnęła przed siebie z narastającą determinacją, myśląc o tym, że powinna znaleźć jakąś wioskę i zostać nauczycielką, panią Clifford, biedną wdową po kapitanie armii, za-

bitym podczas wojen z Francuzami. Wiele było takich wdów. Jedna więcej z pewnością przeszłaby niezauważona.

Znowu drżała. Tym razem nie ze względu na wiatr, ale z zimna i z powodu przenikliwej wilgoci. Popatrzyła w górę, zastanawiając się, czy znów zacznie padać. Nie potrafiła tego ocenić, gdyż nie widziała nieba. Nagle otoczyła ją gęsta mgła, która przyszła nie wiadomo skąd. Beth nie dostrzegała nawet tego, co znajdowało się jard przed nią. Postanowiła, że nie podda się panice.

Wyciągnęła przed siebie rękę na wypadek, gdyby na ścieżce czaiła się jakaś przeszkoda, i szła przez szarówkę, ale jej kroki stały się krótsze i mniej pewne. Ścieżka była coraz bardziej nierówna. Beth potknęła się i przystanęła, nie wiedząc, co znajduje się przed nią. Mgła zgęstniała na tyle, że teraz Beth nie mogła dostrzec własnych stóp. Przeszła jeszcze kilka kroków i znów się zatrzymała. Nie była już pewna, że nadal znajduje się na ścieżce. Przyszło jej do głowy, że powinna usiąść i poczekać, aż mgła opadnie. Wtedy jednak mogłaby zamarznąć, a poza tym straciłaby cenny czas. Musiała dotrzeć do Broughton i wsiąść do dyliżansu, nim ktokolwiek w Portbury dostrzeże jej ucieczkę. Nie mogła pozwolić sobie na zwłokę.

Odetchnęła głęboko i znów ruszyła przed siebie. Nagle czyjaś ręka objęła ją w talii, ale przeraźliwy wrzask Beth zanikł na pustkowiu. Ktoś pociągnął ją do tyłu i wpadła na spocone męskie ciało. Usiłowała się wyzwolić, kopiąc i wierzgając nogami w ciężkich butach, ale napastnik był zbyt silny, aby to cokolwiek dało. Trzymał ją mocno i zaczął wlec w kłęby mgły.

Rozdział szesnasty

Jonathanowi udało się niepostrzeżenie opuścić dom. Ściślej rzecz biorąc, nie widzieli go goście. Co innego stajenni, którzy z wybałuszonymi oczami obserwowali, jak hrabia przytracza do siodła broń palną i dodatkową pelerynę. Naturalnie, nie ośmielili się zadać żadnych pytań, a ponura mina i zaciśnięte usta ich chlebodawcy skutecznie zniechęciły ich do plotek.

Postanowił, że wszystko naprawi, kiedy już sprowadzi Beth do domu. Tylko gdzie ona jest? Zyskała kilka godzin przewagi i nawet piechotą mogła dotrzeć do Broughton, nim zdołałby ją dogonić. Zgodnie z planem, dyliżans powinien odjechać za niespełna pół godziny. A jeśli Beth siedziała już w środku? Cokolwiek by wtedy zrobił, z pewnością wywołałby skandal. Nie mógł przecież zażądać, żeby woźnica stanął i wysadził z dyliżansu hrabinę Portbury.

Saracen poruszył się niespokojnie i rozszerzył chrapy, wyczuwając specyficzną woń trzęsawiska.

- Chcesz galopować i masz rację - szepnął Jon. Jeśli puścimy się tą ścieżką, zaoszczędzimy najmarniej cztery mile. Może nawet zdołamy dotrzeć do Broughton przed odjazdem dyliżansu.

Skierował konia na moczary, zastanawiając się, czy Beth mogła podążyc ścieżką. Uznał, że to niemożliwe, bo zwłaszcza o tej porze roku było to zbyt niebezpieczne. Beth jednak robiła już niebezpieczne rzeczy i otarła się o śmierć, uświadomił sobie Jonathan. Wkrótce dotarł na łąkę, rozciągającą się na skraju jego posiadłości. Tak, jak podejrzewał, wędrowni Cyganie z Fratcombe nadal tutaj obozowali. Czy jednak mogli dostarczyć mu wartościowych informacji?

Już miał minąć wozy, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nim starzec i uniósł dłoń. Prawdopodobnie on tutaj rządził. W oknach wozów pojawiły się zaciekawione twarze. Brudne dzieci stanęły, żeby popatrzeć na przybysza.

- Czego? - Starzec zmarszczył brwi.

- Jestem hrabią Portbury, a wy obozujecie na mojej ziemi. Za moim pozwoleniem.
- Rysy mężczyzny złagodniały, jednak nadal nie przepuszczał Saracena. - Przyszedłem prosić o pomoc w... Na litość boską!

Był pewien, że zauważył twarz Beth w oknie najdalszego wozu. Czyżby pojмали ją siłą? Wyciągnął pistolet i wycelował go w starca.

- Macie moją żonę. Oddajcie mi ją, bo klnę się na Boga, wystrzelam was jak kaczki! - zagroził Jonathan i powoli odciągnął kurek.

Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, ktoś wytrącił mu pistolet z dłoni, a nagłą ciszę przerwał wesoły śmiech. Jonathan odwrócił się i ujrzał przystojnego, młodego Cygana, który z nożem w dłoni opierał się o najbliższy wóz. Sądząc po tym, jak rozprawił się z pistoletem, doskonale posługiwał się tego typu bronią.

- Jakie masz prawo do tej kobiety? - zapytał starzec. - Uratowaliśmy ją z rąk śmierci w Czarcim Jarze. Teraz należy do nas.

Obejrzał się przez ramię. Beth wyszła z wozu i stanęła tuż za nim. Była brudna i rozczochrana, miała podartą pelerynę, a buty pokryte błotem.

- Ja też uratowałem ją od śmierci, równo rok temu. Jej życie należy do mnie - oznajmił hrabia.

Beth ostrożnie pokiwała głową, jakby potwierdzając, że Jonathan mówi prawdę. To napełniło go nadzieją.

- Tu będzie bezpieczniejsza - orzekł starzec. - W twoim domu nazwali ją złodziejką. Zostaw ją tam, gdzie inni ją docenią. A może chcesz dostarczyć ją do więzienia?

- Oczywiście, że nie! - oburzył się hrabia. - Nawet gdyby była złodziejką, dalej bym jej bronił, choćby i własnym życiem. To moja żona!

Starzec wzruszył ramionami.

- Zatem obaj mamy do niej prawo, ale to mój syn trzyma nóż - zauważył. - Dlaczego mielibyśmy oddać ci kobietę?

- Bo ją kocham - odparł Jonathan.

Okrzyk Beth rozszedł się po całym obozowisku. Młody Cygan wbił nóż w ziemię w chwili, gdy ruszyła ku mężowi. Po sekundzie znalazła się w jego ramionach.

- Kochasz mnie? - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nade wszystko w świecie - wyznał i obsypał ją gorącymi pocałunkami.

Przytuleni, zapomnieli o bożym świecie. Kiedy udało im się oderwać od siebie, zauważyli, że są sami. Obok stał tylko Saracen, który spokojnie skubał trawę. Jonathan wyciągnął z ziemi nóż i skrzywił się, przesunawszy po nim kciukiem. Był ostry jak brzytwa.

Beth chwyciła męża za rękę.

- Nie jestem złodziejką, przysięgam - wyszeptała żarliwie.

Ujął ją pod brodę i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Wiem o tym. Jesteś uosobieniem uczciwości i dobroci, nie mogłabyś niczego ukraść ani nikogo skrzywdzić. Znajdziemy sposób, aby to udowodnić. Najpierw jednak musimy wrócić i stawić im wszystkim czoło. Dasz sobie radę, ukochana?

- Z twoją miłością dam sobie radę ze wszystkim - odparła.

Jonathan rzucił nóż na ziemię i wziął do ręki pistolet.

- Jedźmy zatem - zdecydował.

- Czekaćcie no. - Młody Cygan, który ni z tego, ni z owego pojawił się obok nich, podniósł nóż i wręczył go hrabiemu, rękojeścią przodem. - Weź i wbij to ostrze w czarne serce każdego, kto spróbuje skrzywdzić tę kobietę. Jest tego warta.

Jonathan popatrzył na młodzieńca, po czym wziął nóż i wsunął go za cholewę.

- Dziękuję - powiedział. - Możecie być pewni, że dopóki jestem hrabią Portbury, dopóty wasz tabor zawsze będzie mile widziany na moich ziemiach.

Beth przytuliła się do męża. Mimo ciężkiej peleryny, którą ją otulił, czuła ciepło jego ciała. Kocha ją. Nie jechali razem od tamtej nocy w domku we Fratcombe. Na samo wspomnienie zrobiło się jej gorąco.

- Co, na litość boską, robiłaś w Czarcim Jarze, skarbie? - szepnął jej do ucha. - Przecież to daleko od ścieżki do Broughton.

Beth zadrżała.

- Zabłądziłam, kiedy pojawiła się mgła - odparła. - Ten młody Cygan mnie uratował, choć wtedy tego nie wiedziałam. Bardzo mocno go kopnęłam. - Usłyszała chichot Jona. - Powiedzieli, że jeśli potrzebuję schronienia, mogę u nich zostać. Zamierzałam tak postąpić.

Objął ją mocniej.

- Ale zmieniłaś zdanie - zauważył.

- Tak, bo powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Naprawdę cię Kocham, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy. Beth, czy ty...?

- Jak na dowódcę, który miał pod sobą wielu żołnierzy, jesteś niesłychanie mało spostrzegawczy - oznajmiła z uśmiechem. - Kocham cię od chwili, w której wzięłaś mnie w ramiona.

- W domku - zgadł.

- Nie, wtedy, gdy uratowałaś mnie i zawiozłaś na plebanie.

Jonathan pokręcił głową i po dłuższym milczeniu zauważył z rozbawieniem:

- Najwyraźniej mam sporo do nadrobienia. Czy mogę wyznać, moja droga żono, że będzie to dla mnie prawdziwa rozkosz?

Hrabia oparł się o drzwi ich prywatnego saloniku, a stojąca przy nim Beth przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Bała się, że zostanie przyłapana na wkradaniu się do własnego domu. Przecież wyglądała jak obszarpana i brudna Cyganka! Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, oboje uśmiechali się z ulgą.

- Głowa do góry, kochanie - powiedział hrabia. - Nareszcie jesteśmy bezpieczni. Tylko Hetty, moja matka i jej pokojówka wiedzą o twoim zniknięciu. Mama zadbała o to, żeby nikt niczego nie podejrzewał. Możesz jej zaufać, obiecała, że będzie cię wspierać. Przebierz się w coś odpowiedniego dla eleganckiej damy z wyższych sfer.

- Twoja matka będzie mnie wspierać? - powtórzyła Beth z powątpiewaniem. - Przecież mnie nie znosi, A jeśli...

Przerwał jej niespokojne rozważania pocałunkiem.

- Hrabina wdowa została nastawiona przeciwko tobie. Przykro mi to powiedzieć, ale to sprawka panny Mountjoy. Ta kobieta mnie nienawidzi i jest gotowa zrobić absolutnie wszystko, żeby mnie zranić - wyjaśnił.

- Czy panna Mountjoy jest porzuconą przez ciebie dawną kochanką? - zapytała z wahaniem Beth.

- Na litość boską, skądże znowu! - wykrzyknął oburzony. - Dlaczego przyszło ci to do głowy, Beth? Nie mogłabyś bardziej się mylić - dodał nieco spokojniej. - Szczerze mówiąc, panna Mountjoy... Hm, jak by to ująć... Bardzo kochała moją nieżyjącą żonę i

winiła mnie za wszystkie nieszczęścia w jej życiu. Teraz, po śmierci Alicii, ta cała Mountjoy chwyta się absolutnie każdej okazji, żeby mi zaszkodzić. Niedługo jednak wyjedzie z Portbury i nie będzie sprawiała kłopotów.

- Biedna kobieta. Musi być bardzo nieszczęśliwa. - Beth ze smutkiem pokręciła głową. - Bez Alicii z pewnością czuje się osamotniona - dodała.

- Jest twoim wrogiem, a ty o niej tak mówisz? - spytał zdumiony hrabia.

Wiedział, że Beth jest wspaniałomyślna, ale nie przypuszczał, że do tego stopnia.

- Oczywiście - oświadczyła. - Najlepiej będzie, jeśli sam zapytasz pastora, kiedy już się zjawi. Powie ci, że powinniśmy kochać naszych nieprzyjaciół.

Jonathan uznał, że nigdy nie będzie mógł dorównać ukochanej i że nie zasłużył na taki skarb.

- Musisz się pośpieszyć, kochanie - powiedział, prowadząc ją do sypialni. - Kiedy ty będziesz się przygotowywała na spotkanie z gośćmi, ja porozmawiam z Berncastle'em. Gwarantuję, że jego żona będzie cię błagała o wybaczenie, zanim dzień dobiegnie końca. Przyzna publicznie, że wzięła cię za kobietę o nazwisku Clifford, ponieważ była wtedy pod dobrą datą. Zechcesz jej wybaczyć?

Beth roześmiała się z zakłopotaniem, a on ujął jej dłoń i dotknął obrączki.

- Zostawiłaś wszystko poza obrączką - szepnął. - To dało mi nadzieję.

Pocałował Beth z uczuciem, po czym klepnął w pośladek i leciutko popchnął. Szybko zamknął za nią drzwi, żeby nie zmienić zdania.

W salonie panowało wyczuwalne napięcie. Chociaż pani Berncastle wszem wobec ogłosiła, że przyznaje się do błędu i przeprosza młodszą lady Portbury, Beth zdawała sobie sprawę, że żaden z gości w to nie uwierzył. Wkrótce zaczną krążyć listy, a wraz z nimi pojawią się plotki. Biedny Jonathan, pomyślała ze smutkiem. Jak on to zniesie? Odsunęła od siebie tę myśl, po czym minęła grupkę roześmianych mężczyzn i budzących respekt wdów, by dołączyć do lady Rothbury, usadowionej przy kominku.

- Mam nadzieję, że pani córka wkrótce do nas zejdzie, szanowna pani - zagadnęła Beth.

- Tak, uprzedziła, że tego wieczoru planuje mnie zaskoczyć. - Lady Rothbury przechyliła głowę. - Zastanawiam się, czy zamierza zjawić się na kolacji w nowej sukni wieczorowej.

- Byłoby wspaniale - oznajmiła grzecznie Beth.

- O, panna Rothbury! - wykrzyknął w tym samym momencie pan Berncastle. - Jak pięknie pani... A niech mnie drzwi ścisnął - Zakołysał się na piętach i chwycił za oparcie krzesła, żeby odzyskać równowagę. To znaczy, proszę mi wybaczyć, ale przecież to zaginiony klejnot!

Zebrani goście wbili wzrok w pannę Rothbury. Była ubrana w piękny, biały jedwab, a na ramieniu miała wielką klamrę z kutego złota w kształcie gałązki jemioli, ozdobioną wielkimi perłami. Młoda dama uśmiechnęła się niewinnie do zgromadzonych i rozprostowała fałdy sukni.

- Mówiłam, mamó, że cię zaskoczę. Czyż nie jest piękna? - Pogłaskała palcem każdą perełkę z osobna.

Zdenerwowana lady Rothbury podbiegła i chwyciła córkę za ramiona.

- Dziecko, coś ty zrobiła? - spytała łamiącym się głosem. - Skąd masz tę klamrę?

- Chyba zawsze ją miałam. - Panna Rothbury zrobiła zakłopotaną minę. - Wiesz przecież, jak bardzo kocham perły.

Pani Berncastle precyzyjnie się przed tłum.

- Musi pani wiedzieć, lady Rothbury, że ten klejnot należy do mojej ciotecznej babki, lady Marchmont. W zeszłym roku został jej skradziony. - Powiodła wzrokiem po pełnych zdumienia twarzach i wymownie umilkła, niczym aktorka na scenie. - Pamiętam, że w tamtym czasie obie gościłyśmy w jej domu. Pani córka również.

Beth czuła, jak ogarnia ją niepohamowana furia. Jak ta kobieta śmiała wysuwać ciężkie oskarżenia? Panna Rothbury była czysta jak lza, ale pani Berncastle najwyraźniej uparta się, by ją publicznie upokorzyć. Beth postanowiła, że za nic do tego nie dopuści. Przeszła przez salon i stanęła między panną Rothbury a jej oskarżycielką.

- Pani Berncastle, jestem pewna, że wolałaby pani uniknąć jeszcze jednej pomyłki w tej kwestii, prawda? - wycodziła.

Na widok zaciętej miny Beth pani Berncastle pobladła i cofnęła się o krok. Po chwili w milczeniu pokręciła głową.

- Panna Rothbury musiała wziąć ten klejnot przypadkiem - dodała Beth, patrząc wyzywająco na panią Berncastle. - Lubi takie świecidełka i na pewno nie przyszło jej do głowy, że to coś złego. Nie wątpię, że jej mama dopilnuje, aby klamra wróciła do lady Marchmont, wraz ze stosownymi przeprosinami.

- Masz absolutną rację, moja droga - oznajmił stanowczo hrabia, stając przy żonie i obejmując ją w talii.

Sprawa rozwiązała się akurat wtedy, gdy bardzo tego potrzebowali, pomyślała Beth. Cóż, zdobyli potrzebny dowód niewinności Beth, ale kosztem reputacji nierozgarniętej panny Rothbury.

- Mam nadzieję, że nikt z obecnych nie będzie rozpowiadał o tym incydencie. - Beth rozejrzała się wokół, zatrzymując wzrok na poszczególnych twarzach gości.

- Nie wątpię w to, moja droga - dodała hrabina wdowa, uśmiechając się ciepło do Beth. - Wszystkim byłoby przykro, gdyby nasi przemili goście przestali otrzymywać zaproszenia do Portbury Abbey, i to z powodu tak błahej, bezpodstawnej plotki.

Nadal zdziwiona, panna Rothbury głaskała zdobiące kosztowną klamrę perły. Na widok zachęcającego uśmiechu hrabiny wdowy zaczęła chichotać. Powoli pozostali goście przyłączyli się do niej i wkrótce wszyscy się śmiali. Jedynie hrabia nie okazywał wesołości. Zacisnął rękę na talii żony i z poważną miną zaprowadził ją na środek pokoju. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie nabrał przekonania, że postąpiła źle, wspierając pannę Rothbury.

- Są święta - powiedział głośno. - To okazja do pocałowania ukochanej pod jemiola.

Beth wstrzymała oddech z wrażenia, czując na ustach jego wargi. Rozkoszny pocałunek zdawał się nie mieć końca. Oto surowy, nieprzystępny hrabia Portbury całował żonę pod jemiola!

- Przybył wielebny Aubrey wraz z małżonką!

Słyszając donośny głos kamerdynera, Jonathan przerwał pocałunek. Beth wyczuła, że zrobił to wyjątkowo niechętnie. Jeśli o nią chodzi, to mogliby się całować bez końca.

- Coś podobnego! - powiedział pastor, zmierzając ku nim z szeroko rozpostartymi rękami. - Warto było przejechać szmat drogi, żeby to zobaczyć!

Jonathan wyciągnął ostatnią szpilkę i patrzył z nieskrywaną satysfakcją, jak piękne włosy opadają Beth na ramiona. Delikatnie odsunął niesforny lok z policzka żony.

- Wiesz, jesteś bardzo dobrą kobietą, Elizabeth Foxe-Garway - powiedział. - Nie masz w sobie ani odrobiny zła.

- Ja... - Poczula, że się rumieni.

Ubrana była wyłącznie w jedwabne pończochy, a rozpuszczone włosy prawie nie zasłaniały jej ciała. Mąż miał nad nią przewagę, gdyż jeszcze nie zrzucił szlafroka. Postanowiła ukryć się pod kołdrą, ale Jonathan wziął ją w ramiona i patrzył na nią z podziwem.

- Schowasz się pod kołdrą później, moja droga Elizabeth, tymczasem...

- Nie mam na imię Elizabeth - zaproponowała Beth. Jonathan, nie wypuszczając żony z objęć, podszedł z nią do łóżka i posadził na miękkim materacu. Beth ukryła się w jedwabnej pościeli i od razu poczuła się lepiej. Nie mogła trzeźwo myśleć, kiedy ukochany patrzył na nią z pożądaniem w oczach.

- Wyjaśnij, proszę - zażądał zwięźle, marszcząc brwi.

- Nazywam się Bethany de Clifford - wyjaśniła. - Zawsze mówiono na mnie Beth.

- Wróciła ci pamięć, prawda? Wydaje mi się, że znam to nazwisko. De Clifford...

- Sir Humphrey de Clifford był dziadkiem mojego ojca. Papa był młodszym synem bez żadnych perspektyw, a kiedy uciekł z moją matką, córką biednego wikariusza, baronet go wydziedziczył. Po śmierci rodziców byłam bardzo biedną, nic nieznaczącą damą.

- Teraz jesteś hrabiną, moją hrabiną, i możesz robić to, co ci się żywnie podoba.

- Naprawdę? - zapytała niewinnie Beth, widząc, jak oczy męża ciemnieją, kiedy powolnym ruchem odsuwała prześcieradło. Wyciągnęła ręce i rozwiązała pasek szlafroka, aby nacieszyć wzrok widokiem ciała Jonathana. - Życzyłabym sobie odrobiny żywiołowego, męskiego towarzystwa. Rzecz jasna, jeśli nie jesteś w stanie mi go zapewnić, to...

Nie zdołała dokończyć, gdyż ukochany obsypał ją pocałunkami. Ponad wszystko pragnęła, aby kochał ją zarówno sercem, jak i ciałem.

- Kochaj mnie - wyszeptała, obejmując go nogami i przyciągając do siebie. - Kochaj mnie z całych sił. Jestem twoja i tylko twoja.

Epilog

Beth przewróciła się na bok i wyciągnęła rękę.

- Jonathanie? - wyszeptała.

Pragnęła ponownie znaleźć się w jego ramionach, ale męża nie było. Natychmiast się przebudziła i usiadła. Łóżko po jego stronie było puste. Przecież zapewniał, że ją kocha, więc czemu znowu zostawił? To nie miało najmniejszego sensu. Dlaczego znikł?

Zapaliła świeczkę umieszczoną w lichterzu stojącym na nocnym stoliku. Była pewna, że po upojnych miłosnych igraszkach Jonathan jej nie opuści. Postanowiła zapytać go, i to już, natychmiast, co się stało, gdyż inaczej mogło zabraknąć jej odwagi.

Wyskoczyła z łóżka i włożyła peniuar. Nie mogła znaleźć rannych pantofli, postanowiła więc pójść bosą, w końcu za chwilę miała wrócić do łóżka. Zapaliła świecę w kandelabrze, po czym wykradła się do saloniku, który dzielili. Był pogrążony w mroku i ciszy, ogień na kominku wygasł dawno temu. Postawiła kandelabr na stoliku przy drzwiach sypialni męża i przyłożyła do nich ucho. Tam również panowała cisza. Beth odetchnęła głęboko i uchyliła drzwi.

Jonathan leżał na plecach i spał. Wyraźnie słyszała jego głęboki, miarowy oddech. Pchnęła drzwi nieco mocniej i sięgnęła po świecznik.

- Nie! Przestańcie! Puśćcie ją albo was zastrzelę! O, Boże, nie, nie!

Zapominając o świecach, natychmiast podbiegła do łóżka. Nadal spał, ale teraz odychał płytko i szybko, a na jego czole pojawiły się krople potu. Najwyraźniej nawiedziły go koszmary, śniło mu się coś strasznego. Zastanawiała się, czy go obudzić, czy zostawić w spokoju. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

Zdjęła peniuar i położyła się w łóżku obok Jonathanana. Cały drżał, mamrocząc coś niewyraźnie. Niepewnie dotknęła dłonią jego nagiej piersi. Na chwilę drzenie ustało, wobec tego objęła go i przytuliła się z całej siły. Jęknął i usiłował się wyrwać, ale nieoczekiwanie się odprężył i odwzajemnił uścisk.

- Beth? - zapytał dopiero po kilku minutach, kiedy na dobre się przebudził i zdał sobie sprawę z tego, że dołączyła do niego w łóżku.

Pocałowała go w policzek. W świetle świec w pozostawionym w saloniku kandelabrze widziała jego profil, ale niewiele więcej.

- Miałeś koszmary sen. - Musiała zadać mu to pytanie. - To dlatego upierasz się, żeby spać samotnie? Z powodu koszmarów?

- Tak. Liczyłem na to, że nigdy się o tym nie dowiesz, skarbie. To było... - Zadrżał. Beth przyszło do głowy, że półmrok sprzyja zwierzeniom.

- Jeśli powiesz mi teraz, w ciemności, to wspomnienie przestanie cię dręczyć.

- Dobrze zatem - odrzekł po długim milczeniu. - To było po Badajoz. Znajdowałem się w mieście, wraz z dwoma młodymi podoficerami, próbując przywrócić porządek. To okazało się niemożliwe, żołnierze byli kompletnie pijani. Pochwycili kobietę, niewinną Hiszpankę. Zamierzali ją zgwałcić. Próbowałem ich powstrzymać, wymierzyłem pistolet w prowodyra, lecz broń nie wypaliła i te łotry mnie powaliły. Moi towarzysze zanieśli mnie do obozu. Byli zbyt młodzi i wystraszeni, żeby zrobić cokolwiek innego.

Beth przymknęła oczy, wyobraziwszy sobie tę upiorną sytuację.

- A kobieta? - zapytała cicho.

- Znalazłem jej zwłoki, kiedy ustało plądrowanie. Jedyłą pociechę stanowiło dla mnie to, że gwałciciele też nie żyli, przypadkowo zabici przez swoich rozochoconych towarzyszy. Tyle niepotrzebnej śmierci...

- Czy po Badajoz zrezygnowałeś ze służby wojskowej? - Musiała wiedzieć wszystko.

- Tak. - Skinął głową. - Zostawili rannych towarzyszy, żeby się wykrwawiali, a sami pili, co się dało. To było odrażające. Kiedy mama napisała, że George usiłuje doprowadzić rodzinę do ruiny, potraktowałem to jako pretekst do rezygnacji ze służby. Powiniennem był ocalić tamtą kobietę. Nie żyje tylko dlatego, że zawiodłem.

Beth nie musiała pytać, o co mu chodzi. Delikatnie pogłaskała go po włosach i przytuliła się do niego z czułością.

- Zrobiłeś, co w twojej mocy, ukochany. Ryzykowałeś dla niej życie.

- Wellington powinien był to powstrzymać - powiedział głucho Jonathan. - Wiedział, co się dzieje, a jednak palcem nie kiwnął. Przez pełne dwa dni nie zrobił kompletnie nic.

Nic dziwnego, że po takim doświadczeniu Jonathan zrezygnował ze służby wojskowej. Beth jednak nie zamierzała tego komentować. Postanowiła, że będzie się tylko do niego tulić, kiedy będą go nawiedzały upiorne sny.

- Wróc ze mną do łóżka, najdroższy. - Wzięła go za rękę i usiadła. - Tutaj masz koszmary, w moim łóżku znajdziesz czułość i namiętność. Chodź, będziesz spał ze mną do rana. Tam nie dopadną cię te okropne wspomnienia.

- Mógłbym przysiąc, że twoja dobroć uzdrowi każdego i wszystko, ukochana.

Razem przeszli do małżeńskiego łóża, gdzie w swoich objęciach wkrótce zapadli w kojący sen.

Hrabia był w znakomitym nastroju. Miał przy boku ukochaną żonę i dzięki niej udało mu się spać bez koszmarów. Tak dużo jej zawdzięczał. A jednak, kiedy chciał jej przychylić nieba, poprosiła tylko o możliwość pokierowania jego powozem.

Zaczekał, aż dwukółka się zatrzyma, a stajenny pobiegnie przytrzymać konie za uzdy. Beth świetnie się spisała, powoziła pewną ręką. Ujął jej dłoń i delikatnie uścisnął palce.

- Może chciałabyś przejechać się jeszcze trochę po alejkach i wrócić za jakieś dziesięć minut? - zaproponował. - Muszę załatwić sprawę z panną Mountjoy, lecz to nie potrwa długo.

- Pochlebia mi, że oddajesz pod moją pieczę swoje bezcenne konie - odparła.

- Właściwie powiedziałbym, że oddaję moją bezcenną żonę pod pieczę koni - zauważył z szerokim uśmiechem.

Oboje się roześmieli, a na twarzy Beth wykwitł rumieniec.

- Jedź z jaśnie panią, Sam. - Jonathan wyskoczył z dwukółki i powiódł za nią wzrokiem. Potem ruszył ścieżką, aby po chwili zapukać do drzwi domku.

- Hrabia Portbury! - Panna Mountjoy stanęła w otwartych drzwiach.

- Czy mogę wejść?

- Ja... - Zrobiła krok do tyłu i grzecznie dygnęła. - No, cóż, proszę. Przecież to dom pana hrabiego.

Jonathan zignorował tę uwagę i wszedł do schludnego saloniku.

- Chciałem zapytać o pani plany na przyszłość.

- Nasze spotkanie w pana posiadłości miało być ostatnim - przypomniała mu. - Czy źle pamiętam?

- Proszę mi wybaczyć, ale wolałbym, żebyśmy nie wspominali tamtego dnia. Padły wtedy nieprzyjemne słowa i najlepiej będzie, jeśli oboje o tym zapomnimy.

Zdumiona panna Mountjoy zmarszczyła brwi.

- Wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania - ciągnął hrabia. - Dotarło do mnie, że źle panią potraktowałem, i jest mi naprawdę przykro z tego powodu. Nadal uważam, że powinna pani wyjechać z King's Portbury, nie tylko ze względu na spokój mojej rodziny, ale także dla pani własnego dobra. Z tym miejscem wiążą się pani nieszczęśliwe wspomnienia. Nie potrafię zrozumieć pani uczuć do Alicii ani jej uczuć do pani, ale pojąłem, że były szczere. Wiem, że miłość to cenny dar, i dlatego chciałbym zmienić warunki naszej umowy.

Panna Mountjoy wyraźnie zadrżała. Widać było, że się boi.

- Na korzystniejsze dla pani - dodał, wręczając jej zapieczętowaną kopertę z dokumentem. - Oto umowa wynajmu niedużego domu nad morzem. Posesja znajduje się na południowym wybrzeżu, daleko od King's Portbury, niemniej dom jest przeuroczy. Jeśli pani sobie życzy, to może mieszkać w nim do końca życia za symboliczny czynsz. Nie mam żadnych innych oczekiwań. Z pewnością uszanuje pani pamięć Alicii i zadba o jej dobre imię. Wiem, że łączyły was bardzo silne więzi. Nie sądzę, by śmierć mogła je zerwać.

- Pan hrabia nie stawia żadnych dodatkowych warunków? - upewniła się z niedowierzaniem.

- Ani jednego - potwierdził Jonathan i położył umowę na stole.

- Przyznaję, że nie zasłużyłam na tak wyrozumiałe traktowanie po tym, co usiłowałam zrobić. W rewanżu pozwolę sobie przestrzec pana, by miał się pan na baczności przed bratem. To on namawiał do skalania reputacji pani hrabiny. Liczył na to, że w re-

zultacie dojdzie do rozpadu obecnego małżeństwa pana hrabiego i zabraknie dziedzica. Przykro mi. - Zwiesiła głowę.

Jonathan wziął głęboki oddech. Czy George był przyczyną tego dramatu? Jego rodzony brat? Miał prawo pograżyć go towarzysko i finansowo, ale wiedział, że nie potrafiłby tego uczynić. Postanowił ograniczyć się do zagrożenia mu życiem w biedzie i dopilnowaniem, by George w to uwierzył. Na tym jednak koniec.

- Dziękuję, panno Mountjoy. - Podniosła wzrok, zdumiona jego spokojnym tonem, a on uśmiechnął się do niej. - Życzę pani długiego i pogodnego życia w nowym domu. Niech wszystko, co nas poróżniło, pójdzie w niepamięć.

Panna Mountjoy milczała, ale jej twarz się rozpogodziła. Gdy sięgała po dokument gwarantujący jej bezpieczną przyszłość, Jonathan odniósł wrażenie, że jej oczy podejrzanie lśnią.

- Sam trafię do wyjścia - powiedział.

Cicho zamknął za sobą drzwi i wyszedł na świeże, rześkie powietrze zimowego poranka. Czuł się wspaniale. Nagle znikły wszystkie przykrości związane z pierwszym małżeństwem, a stało się to za sprawą dobroci i miłości Beth. Wiedział, że nie będzie mógł się poszczycić tyloma zaletami, co ona, niemniej zamierzał brać z niej przykład. Jego dzisiejszy prezent dla panny Mountjoy był zaledwie pierwszym, małym krokiem na nowej, trudnej drodze. Drugim miało być pojednawcze rozwiązanie sprawy George'a.

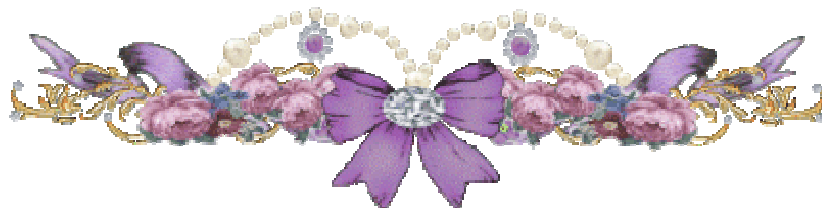
Gdy wyszedł przed domek, od razu dostrzegł dwukólkę i pędzące kłusem konie, które zmierzały prosto ku niemu. Uniósł rękę i znieruchomiał w oczekiwaniu, że Beth zatrzyma zaprzęg. Chciał się przekonać, jak jego żona radzi sobie z wodzami. Po chwili udało się jej doskonale wyhamować, tyle że ponad trzydzieści jardów za Jonathanem, który westchnął ciężko, wziął się pod boki i pomaszerował do powozu, wymownie kręcąc głową.

- Cóż - mruknął - to wszystko, na co cię stać, moja droga?

Wdrapał się do środka i wyciągnął ręce po wodze. Beth uśmiechnęła się przebiegle.

- Ewidentnie potrzebowałaś wysiłku fizycznego. A co do tego, na co mnie stać... - Poprawiła wodze w dłoniach chronionych rękawiczkami, zacisnęła palce na bacie i uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Patrz!

Kilka sekund później hrabina Portbury powoziła galopującymi końmi z taką werwą i zapalem, że jej mąż kurczowo chwycił się poręczy siedzenia i zaniemówił oszołomiony, czując, że jest najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.



TLR